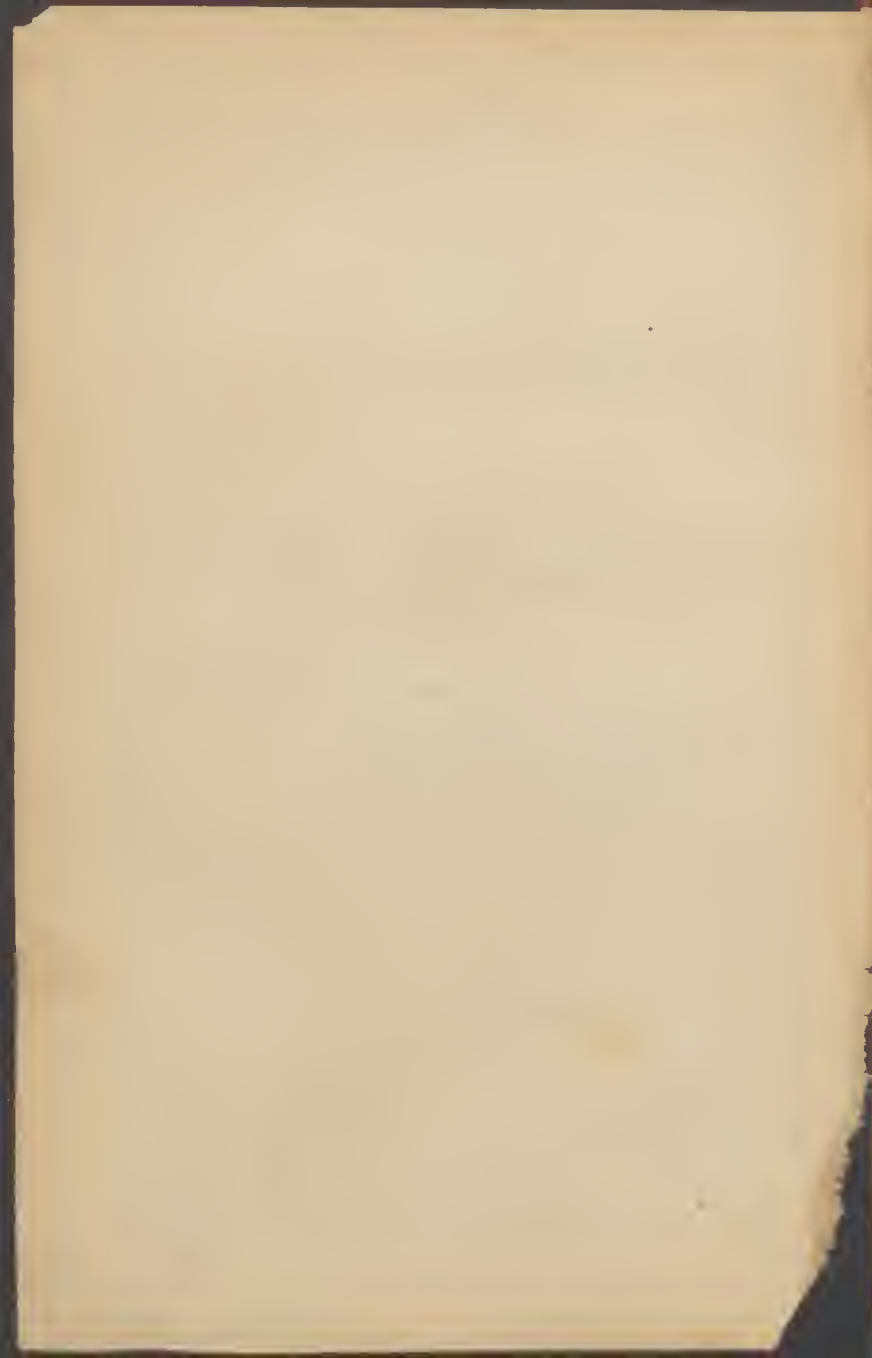


STRZEMIENČYK.



STRZEMIENICZYK.

(Czasy Władysława Warneńczyka).

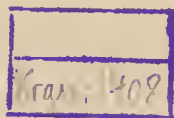
PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1898



Дозволено цензурою.
Варшава, 29 Сентября 1897 года.



I.

Ktoby był wiosennego jednego wieczora 1412 r. spotkał się z panem Cedrem Strzemieńczykiem i zajął mu we krwią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofałdowanemu jego czołu, zaciętym ustom i ręką silnym w kulaki, jakby do boju pościskanym, uwierzyłyby łącznie temu staremu podaniu, które głosiło, że rodu tego ludzie, Strzemieńczycy, głównymi byli i najokrutniejszymi przy zabójstwie św. Stanisława, popędliwego króla pomocnikami.

Temu przypisywano, że ród Strzemieńczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemieńczyk, choć z dobrego szlacheckiego wódł się gniazda, choć pradziad jego jeszcze znaczne majątności dzierżył w krakowskim, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłopiec ziemni pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu ze dwójkiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewską nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych z tym domem związków, Różyce i Śreniawici, polecili go królowi Jagielle, przy którego on dworze się wysługiwał, pełnić różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na rejestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgielt jakiś, do niczego

już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka, niegdyś olbrzymią siłę, wyczerpały.

Niemiał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie zahartowani od młodu trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań, można mu było dać dziesiątkiem więcej, tak podupadł, szczególnie na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać mu już było ciężko i one go słabszym czyniły. Na nogach ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie.

Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemieńczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie świątobliwej niewieście, synaków mu dwóch zostało. Przy ubóstwie wielkiem i siłach ubywających, troska o nich duiem i nocą pokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbyt, stękał, że ani im ma co zostawić, ni ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach.

Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczey króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszlności, tylko służbę na koniu z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wolano, do stanu rycerskiego okazywał powołanie, jakiego ojciec sobie życzył; lecz był też jak przyszły wojak, niepozornie zuchwały, drapieżny, a co gorzej przebiegły, płaszczący się, kłamca, zręczny i pochlebny. Ojciec mu wiele przebaczał i widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej

rokował. Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał.

Ten się ojcu nie wykłamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego nałamać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak choć się krwią oblał, nie pisnął nawet i poprawy nie przyobiecał.

Ojciec krzyczał, że z nim na gałąź potrzeba, bo innej rady niema.

Trudno się było domyśleć o co mu chodziło. Oto Grzes ów, starszy, mimo zakazu, całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami. taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka, bakalarstwo znajdował niepotrzebnem. Śpiewywał też ślicznym głosem w kościele Grzes, co jako babską rzecz, ojciec potępiał.

— Klechy w rodzinie mieć nie chcę i niepotrzebuję — powtarzał ciągle stary.

Grzes teraz dwunastoletni, Zbilut o dwie lecie młodszy, przykazanem mieli od rana dziurytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było jakie chcieli harce wyprawiać, byle nie ślęczyć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy poznawszy się z bakalarzem przy farze, który go polubił, ciągle zbiegał do niego, potajemnie się uczył chętnie pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodcie ciemiężył, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można. Cedra to czasem we wściekłe gniewy wprawiało. naprzód, że nieposłuszeństwa w dziecku ścierpieć nie mógł, powtóre, że nauką jako rycerzowi niepotrzebną się brzydził, a klechów nią się parających nie znosił. Było to może we krwi.

Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, oba piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce.

Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował. Ojcu donosił, gdy co pochwycił, lizał mu się i przypochlebiał nikezemnie.

Zbroił-li co i na karę zasłużył, umiał się zrećznie wyklamać i wyprzysiądz, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skrucę ndawać, choć się potem wyśmiewał z jego łatwowierności.

W młodym wieku w niwecz już był popsuty. Uchwycić coś potajemnie, zlasować, psotę krwawą wyrzadzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć, było dlań najmilszem. Gdy swawolić nie mógł, do góry brzuchem leżeć objadłszy się i próżnować gotów był dnie całe.

Ojcu się przypochlebiając, z tyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności.

Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi. Na zuchwalstwie mu nie zbywało, a mężstwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszym się nie ważył.

Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał. Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałość i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakalarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że Grześ zdawało się jakby sobie przypominał tylko to, czego nauczaono go, tak mu wszystko łącno przychodziło. Dziwniejsza rzecz, byle najmniejszą skazówkę miał, sam już dalej szedł tą drogą, jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany z oczyma dużemi, ciemnymi, w których już nie dziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

W początkach nie był ojciec temu przeciwnym, aby synowie się czytać nancyli, ale klechów z nich robić nie myślał i ta Grzesia namiętność uczenia się coraz więcej, coraz innych rzeczy, okrutny gniew w nim obudzała.

Śpiewanie i brząkanie na cytrze, karał smaganiem nielitościwem.

Zakazał mu przestąpić później próg szkoły, ba-kałarzowi zagroził, jeśliby go śmiał przyjmować, siekl nieposłusznego, ale wszystko to nie pomagało.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tem donosił. Cedro bił, a chłopak wracał do swego i poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągle więc walka była pomiędzy krnąbrnym Grzesiem, a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu talkę z synem przeprawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlaższy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie wiedzieć zkąd kawał papieru czy skóry.

Pochwycono go na uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz zburzony cały, po izbie w dworku swoim się przechadzał, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłonać. Nie mając się przed kim skarżyć, mruczał i kłął pocichu.

Sponiewierany chłopak, z potarganą czupryną, oprócz różeg napytawszy sińców, siedział za węglem dworku, podparty na rękę i dumał.

Boleść mu łzy z oczów wycisnęła, ale na pięknej smutnej jego twarzyczce więcej było zadumy, niż gniewu. Dwunastoletnie chłopię rozmyślało

Z za drugiego węgla niepocziwy Zbilut wyglądał, podpatrywał, aby coś donieść ojcu na brata.

Nie mógł jednak dojrzeć w nim tej złości, jakaby on sam uczuł, gdyby go podobna kara spotkała. Grześ biedny wzdychał i dumał. Widać było, że ojcowską władzę, nawet gdy niesprawiedliwie karmiła, uznawał i poddawał się jej z pokorą, szukając tylko środków, aby pogodzić wolę ojca z tem, czego własna jego dusza pragnęła.

Dawszy się bratu wywzdychać, Zbilut, który zarówno ojca jak jego okłamywał i udawał, że się nad losem Grzesia lituje, zbliżył się powoli do niego.

Twarz uą pół dziecięcą, niezręcznie przybrać usiłowała wyraz serdeczności i współzucia, po za którym kryło się szyderstwo.

— A! a!—szepnął pocichu—mój Boże! jaki ten ojciec okrutny i niemilosierny. . . To cię skatował!

Grześ popatrzał nań i nie odpowiedział. Zbilut stanął przed nim, bacznie w niego wlepiając oczy. Chciał wyzwać uą słowo, któreby ojcu powtórzył. Starszy milczał.

— Poco tobie ta szkoła i głupie pisanie — rzekl.

Ramionami poruszył tylko Grześ. Domyślał się i odgadywał brata, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wicherząc do izby niosła, chłopców na nią wołając. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węglem.

Ojciec też, obejrzawszy się, że go niema przy stole, nawet się nie upomniał o niego. Poczekawszy dopiero, gdy Cedro jedząc ochłonął, Zbilut się odezwał pocichu.

— Grześ za węglem siedzi, kulaki gryzie ze złości, żeby choć zapłakał!!

— Milcz—przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia, widok jego obudzał w nim gniew niepolamowany, chęć złamania uporu tej duszy krnąbrnej, ale dziwił się temu charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczerzy stary jadł mało, mruczał, pić-
scia^o o stół bił, na pochlebę nawet nie spojrzał.
Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakiemiby
nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nie prędko też legł spać Cedro, choć się czuł
zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za
kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do
izby, w której oba sypiali i do snu pośpieszył.

Najpóźniej, na palcach, pocichu, wśliznął się
do komory Grześ i nie rozbierając rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we
dworcu, oczy przetarł już o białym dniu na posła-
niu obok Grzesia nie było

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pe-
wnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do baka-
larza, który był jego opiekunem i powiernikiem.

Nie mylił się chłopak domyślny i byłby może
korzystał z tego, puszczając się za bratem i śledząc
kroki jego, aby o nich donieść ojcu, ale pilniejszego
coś miał do czynienia, bo żarłocznym był i łasym.
a naprzód musiał u gospodyni coś odkraść, aby głód
zaspokoić. Wiedział też, kędy kury się nosły i jaja
podbierał, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywłókł na miasto.

Od dworcu Strzemięczyków do fary spory ka-
wał drogi iść było potrzeba krętymi uliczkami, ale
Grześ miał sobie tylko znaną, bliższą drożyną, mię-
dzy sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Budynek szkolny przy farze, w którym się ba-
kałarz z kantorem mieścili, tak był nędzny i opusz-
czony, jak większa część podobnych domostw w onym
wieku. Wprawdzie nie było znacniejszego kościoła,
któryby szkoły nie miał, choć do niej niewiele dzieci
uczęszczało, ale mało gdzie starano się pilniej o ścia-
ganie ich i regularne nauczanie młodzieży. Szedł
kto chciał i kogo posłali rodzice.

Byli przy Farach scholastycy, którym dozór szkół z obowiązku przypadał, ale ci oglądali tylko, aby bakalarz wedle przepisów synodalnych naukę wpa-jał i religijne zasady. Nikt do szkoły nie napędzał.

W miastach niektóre rodziny, liczniejszem mę-kiem obarczone potomstwem, w widokach poświęce-nia stanowi duchownemu jednego z synów oddawali bakalarzowi. Posyłała dzieci z tąż myślą uboga szlachta. Dla wielu duchowna sukienka wydawała się lżejszą do noszenia od kubraka i zbroi.

Bakalarze, klechy, kantorowie byli to także biedacy, albo wzdyhający do święceń lub klerycy niedouczeni, którzy nie mogli ich otrzymać, głodem przymierali posługując przy kościołach.

Z mnogich jednak widać przykładów, że w ta-kich szkołkach dosyć skutecznie uczono pierwszych zasad, krzewiono początkowe przygotowawcze wia-domości, gdy tacy z nich ludzie wychodzili jak arcy-biskup Wojciech Jastrzębiec, co zaczął od farnej szkółki w Bensowie.

Nie wzdragała się ich szlachta uboższa, synów na księży chcąc sposobić, a osobnego bakalarza trzy-mać do nich nie mogąc.

Za kostnicą, między murowanym domem pro-boszcza a wikarją. stała drewniana szkoła, tak obu-szczona i biedna, że nie lepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży prze-znaczoną, reszta służyła za skład łomu i rupieci koś-cielnych, a komora przylegająca za schronienie kan-tora i bakalarza. Niezawsze nawet szkoła ta nieza-jętą bywała, bo w lecie gospodyni proboszcza roz-kladała się w niej nieraz z zieleń i warzywem, je-sieniem z owocami i nasionami, a szanować musiano co pieczy bakalarza powierzyła.

Dziwnymi też zapachami woniała nieprzewie-trzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zieleninę, stęchłą, dym przywrzały do ścian i kościelnego kadzidła resztki, razem się mieszały.

Światło wpadało skąpe, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu porzniętego przez dzieci, pary półek u ścian i popękanego pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko chyba dzieci przez miłosierdzie zamiotły Bakalarz, posiwiwały już w spełnieniu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprowadzić różgi za piecem w ceberku mokuące, ale częściej je pokazywał dla postrachu, niż używał

Niepozorny, zbiedzony, całego życia niepowodzeniem złamany, dobił się już był do tego skraju, na którym stojąc patrzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc.

Największą dla niego rozkoszą były młode umysły do życia budzić, wpajać im to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, chwytając je i dumać nad niemi. Rękopisem nowego dostawszy, o co naówczas bakalarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce czasem spędzając nad Bołecyuszem lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas do Polski te skarby mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawie kościoła lub dla nauk wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemieńczyka nauczycielem, i wychowawcą tym czuł się dumny. Miał on go za dziecko cudowne, od Boga nbłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakalarz ledwie się był umywszy i pacierz odmówiwszy, przygotował iść na jutrznię do kościoła, gdy spodziwieniem ujrzał wpadającego do komory młubieńca swego, z zarumienionemi policzkami, zdy-

szanego, przełękłego. Nie nie mówiąc chłopak pochwycił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

— Cóżes ty tak rannym ptakiem?—zapytał niepokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakalarz wiedział co chłopiec cierpiał od ojca, ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

— No, mów!— rzekł głosem cichym.

— A! ojczulku! — odezwał się Strzemińczyk, nawykły go tak nazywać — nie wiem co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża. Ojciec... ojciec...

Bakalarz potrząsnął głową znacząco, jak gdyby powiedzieć chciał:

— Wiem ci ja! ale rodziców szanować potrzeba. Chłopak westchnął.

— Dlatego, że ojca szanujcie i gniewać go nie chce, muszę precz ztąd, muszę.

Zachnął się Ryba w tył cofając.

— Co tobie? na Boga miłego! Dokąd?

— Dokąd? albo ja wiem! — szepnął Grześ. — W świat! Do Krakowa. Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mówili mi nieraz, że głosu Bożego słuchać potrzeba, a ja czuję go w sobie!

Bez nauki żyć, wolalbym umierać, dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy chłopiec, czarnemi oczyma bystro spojrzał na bakalarza, który stał smutny i zamysłony.

— Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich, jak ja pacholąt, ludzie są litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

— Dziecko! dziecko! — pochwycił bakalarz. — Bóg ci litościwy jest nad opuszczonemi i ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła, nie wiesz co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsał się dumnie.

— Alboż to ja cierpieć nie potrafię?—zawołał— albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka do głodu nawykłem i chłodu.

Tu pocałowałszy znowu w rękę bakałarza, jakby go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał.

— Nauczyliscie mnie trochę śpiewać, po ulicach pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dają kolacze i grosze. Umiem też, z łaski waszej, pisać nieczego.

Ryba się uśmiechnął klepiąc po ramieniu.

— Al ty! ty!—rzekł weselej—nieczegol Ty malujesz nie piszesz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze starymi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tem niema co mówić, co prawda, to prawda.

Grześ przerwał żywo.

— No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowłókl do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanii nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmia. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będę syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

— A ojciec cicho zagadnął Ryba.— Co powie ojciec, gdy cię nie stanie?

Grześ oczy spuścił.

— Ojcu się Zbilut zostanie—odparł cicho. On go lepiej niż mnie kocha. Zbędzić się, zapomni, lżej mu będzie słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie—dokończył smutno—płakać nie będzie.

Bakałarz zadumany, nie nie mówiąc, głową potrzasał. Stał w niepewności jakiejś, nie chcąc m ra dzić ni odradzać. Dziecka mu ulubionego żał było które się tu mogło zmarnować. Miał to przekonanie, że w Krakowie z nicgo coś nadzwyczajnego zrobią. Z drugiej strony, postradać tego ucznia, tego nlu bieżca, którego sam własnem techniciem wywiódł tak cudownie ze swawolnego pacholęcia, żał mu było.

Grześ pisał tak ślicznie, a wszystkie cbaraktery naśladował tak kunsztownie! W kościele gdy śpiewał, głos miał tak piękny, że do łez poruszał, do modlitwy duszę podnosił!

To dziecię biedne, puścić w świat na stracone imię, na losy, które Ryba znał najlepiej, bo ich sam doznał w wędrówkach po świecie, strach był! żal srogi!

Ukradkiem stary bakalarz otarł rękawem oczy, ale myśl mu przyszła, że Bóg ojciec sierotom.

Na twarzy chłopca malowało się po tęsknocie takie męztwo, takie pragnienie tego, co mu przyszłość gotowała, takie jakieś powodzenia przeczucie, że wstrzymać go, któż wie, czy się godziło?

— Ojczulku! — dodał Strzemieńczyk śmiało. — Myślałem całą noc, modliłem się panu Bogu, prosiłem go o natchnienie. Już to postanowione. Nie przeciwcie się. Idę w świat!, Za ojca wy mi dajcie błogosławieństwo.

I przykląkł przed nim, za rękę drżącą chwytając starego, który głowę jego ujawszy, modlitwę cichą szeptać zaczął. Popłakali się oba. Mówić już nie było co więcej.

Dzwoniono na jutrznię, poszli razem do kościoła, ale ostrożny bakalarz obawiając się, aby stary Cedro nie przyszedł tu szukać syna, ukrył go na chórze i drzwi zarygłował.

Grześ upadł na kolana, złożył ręce i modlił się gorąco.

Mało na jutrzni pobożnych było, oprócz kilku starych kumoszek z różańcami w ręku; mieszczanie na wiosnę mieli dosyć do czynienia w polach i ogrodach. Msza już była przy ofiarowaniu, gdy męskie buty i chód posuwisty usłyszał bakalarz, głowę wychylił i zobaczył Strzemieńczyka starego, który idąc na wszystkie strony się oglądał, niewątpliwie szukał syna.

Grześ się przychylił i za słup schował.

Cedro ukląkł w ławie mszy świętej słuchać, bo bezbożnym nie był, ale domyślił się łatwo bakałarz, że on tu nie dla nabożeństwa, ale dziecka zbiegłego przyszedł szukać.

Zaledwie ksiądz przećgnął, gdy Ryba chłopcu dając znak, aby pozostał na chórze, sam zszedł z niego, następcząc się Strzemieńczykowi, bo wiedział, że go pytać będzie. Sam nie zaczepiając staroego, zwolna, święconej wody wzięwszy u drzwi, wyszedł Ryba na cmentarz.

Cedro za nim pośpieszył, brwi miał ściągnięte i twarz posępną.

— Nie wiecie o Grzesiu moim?—zapytał rzeźko.

— Albo co?—odparł Ryba.

Staremu gniew tymczasem ze krwią do głowy bił.

— Zbiega mi bestja krnąbrna dla tej waszej nauki, która mu się na nic nie zdała. Siekę go, morduję i nic nie pomaga.

Bakałarz poruszył ramionami.

— A ja co na to mogę?—odparł.

— Wy—krzyknął w pasy Strzemieńczyk, rękę podnosząc do góry — wyście mu pierwsi głowę nabili tem przeklętym obiecadłem, a jemu ono do czego? Klechy z niego mieć nie chcę, dosyć jest tych darmożjadów! Heł

Ryba słuchał obojętnie.

— Pocoście go uczyli?—powtórzył Cedro.

— Bo tak pan Bóg przykazał — odparł bakałarz—a bożego przykazania słuchać muszę nie waszych grózb. Dziecko do nauki miało ochotę i zdolność, com go nie miał uczyć?

— Ja lepiej wiem co mojemu dziecku potrzeba—wyrwał się coraz popędliwiej Strzemieńczyk — jam nad nim panem, nie wy.

Nie chcąc dalej rozmawiać z nim, bakałarz ruszył zwróciwszy się ku szkole i zostawił samego, zagniewanego starca, który pluł i kłął, a w końcu nie mając z kim się kłócić, musiał nazad do domu iść.

Po drodze jednak skręcił do szkoły i, nie wchodząc do niej, u okna tylko stanawszy, zakrzyczał na głos.

— Jak mi go tu przyjmować i chować będziecie, szkołę podpale... tak mi Boże dopomóż!! Rąk moich nie ujdziecie.

Ryba zbliżył się do okna.

— Idźcie z Bogiem, a nie krzyczcie! dziecko zamęczone w świat poszło... mieć będziecie je na sumieniu. Nie ojcem mu byliście, ale oprawcą.

To wyrzekłszy zniecierpliwiony Ryba od okna odstąpił i poszedł się zamknąć do komory.

Cedro stał chwilę zadumany, ramionami zżymając, oglądał się czy z kim waśni przedłużyć nie znajdzie, naostatek mruczając powlókł się do domu.

Nie chciało mu się dawać temu wiary, ażeby syn mógł w świat ujść od niego.

Gdy Strzemieńczyk zdala już był od fary, po drodze znajomych zatrzymując i rozwodząc przed nimi żale swe do bakałarza i klechów; Ryba przez zakrystyę do kościoła powrócił, wszedł na chór i wyzwolił ztamtąd Grzesia.

— Nie chcesz do ojca powracać?—zapytał go.

Chłopak wstrząsł się cały.

— Nie mogę — rzekł — wolę głodem mrzeć! W świat pójdę.

Zadumał się Ryba długo. Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jakby tego dokonać.

— Gotów stary jeszcze cię tu szukać—odezwał się stary po chwili — musisz się więc ukryć, dopóki ja nie opatrzę cię na drogę. Choć za mną.

Ryba, mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześliznął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był skład zamknięty rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły. Stały tu rusztowania od przybierającego na wielki tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie,

wschody od wielkiego katafalku rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i cale kupy lampek glinianych, któremi czasem farę oświecano.

Każdy choćby najmężniejszy dzieciak, wieku tego co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytając, czy do wieczora się tu skryć zechce. Grześ odpowiedział wesoło głową potakując i pożegnawszy się wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach złowrogo, na czarnych deskach wytrzeszczające zęby, głowy trupie widać było. Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzedz, gdyby ojciec lub brat go tu szukał.

Miał najmocniejsze postanowienie niepowracać już do domu, choć za nim tęskno mu było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dawało odwagi. Siedział cierpliwie, czekając co z nim Ryba postanowi. O południu otwały się drzwi ostrożnie, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę od ust sobie odebraną, aby go pokarmić kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

— Iśł iśł — począł mruczeć niespokojnie — dobrze to mówić, a wieszże drogę? do Krakowa kawał, gościniec ci jest, ale drogę siła, a jak się obłąkasz?

— Ludzie mówią, droga wszelka na końcu języka — odparł Grześ.

Popatrzał bakałarz.

— A nuż stary w pogoń pojedzie lub pośle? — zapytał.

— Sam pojechać nie może — odezwał się chłopak — posłać niema kogo. Pomyśli, żem już dziś zbiegł, i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku pewnie się niebardzo o mnie zatroszczy.

Ryba podparty na rękę dumiał.

— Żywczak jutro do dnia do Dukli i Starego

Sądca jedzie za kupią, o bodaj i na Węgry. Można by uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam, dokąd sam jedzie. Z Sądca do Krakowa.

— Dam sobie rady — przerwał Grześ śmiało — nie obawiajcie się o mnie.

— Ale czy Żywczak zechce i ojca się waszego nie złąknie? — dodał Ryba.

Żywczak różną kupię z Węgier był zwykł przywozić, człowiek śmiały, czeladź miał zbrojną, bo w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można było się pokazać. Znał go Ryba, i postanowił rozmówić się z nim razem, więc Grzesia znówu w izbie zamknawszy, poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sano-ku, a choć ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakalarz dlań chudziła niewiele znaczył, ale zawsze suknię na nim kleszą szanowano.

Gdy Ryba, Chrystusa chwalać, do izby wszedł, zastał Żywczaka z dwoma współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

Woźnica i kupiec zobaczywszy go, pewien był zrazu, że bakalarz, jak to się kilkakroć do roku trafiło, przyszedł aby sobie gomółkę jaką lub osetkę wyprosić, placąc za nią życzeniem szczęśliwej podróży i obietnicą modlitwy.

Wesolo go jednak powitał i knbek przed nim postawił. Ryba miód przyjąwszy, nie rad temu, że świadków niepotrzebnych tu zastał, siedział długo milczący. Mieszczanie jednak nie bawiąc się porozchodzili.

— Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu — odezwał się bakalarz — korzystając z tego, że zostali sami, ale osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem jak począć.

Staął Żywczak przed nim.

— Mówcież no — rzekł krótko.

— Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie

gospodarzu — poczał bakałarz przypochlebiając się Żywczakowi, — iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgola nie rozumiał, co to znaczyć miało.

— Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby swojej przeznaczył — ciągnął dalej Ryba — a tu ojczyisko uparte uczyć mu się nie daje. Niema innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej niż nasza posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Maryi.

— A cóż ja na to wam poradzić mogę? — spytał zdziwiony Żywczak.

— Jedziecie pono do Dukli, a może i do Staro Sądca — rzekł Ryba.

— Pewnie! — potwierdził Żywczak.

— Tożbyście dla miłości Bożej podwieść mogli biedactwo — dokończył bakałarz, rękę zuiżając do kolan Żywczaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny, głową potrząsał.

— Cóż to za jeden ten wasz chłopak? — zapytał. — Od ojca go odkradać... dziecko własne!! A gdyby mi tak kto mojego chciał wziąć!!

— Wybyście pewnie woli Bożej się nie sprzeciwiłi? boście człekiem pobożnym i rozumnym, a wiecie iż się nie godzi.

Żywczak wciąż głową kręcił, niezupełnie przekonany.

— Czyjżc to chłopiec? — zapytał.

Bakałarz jeszcze się wahał z odpowiedzią i dodał:

— Katuje go ojciec za to, że się uczyć chce, a chłopiec już dziś śpiewa w chórze i pisze tak, jak z nas żaden!

— Może go jednego ma? — wtrącił Żywczak.

— Dwu ich u niego — rzekł żywo Ryba.

Patrzali sobie w oczy, mieszczanin nie okazywał ochoty mieszać się w tę sprawę drażliwą.

— Powiedzcież mi czyj chłopiec jest? — zapytał powtórnie Żywczak.

— Nie zdradzicie mnie przecie? — przebąknął bakałarz.

— Alhom ja taki co za język ciągnie, aby człeka sprzedał? — ofuknął obrażony mieszczanin — po mnie się to nie okazało.

Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

Miejcie litość — rzekł. Potem obejrzał się do koła i szepnął mu do ucha Strzemieńczyka starszy.

Żywczakowi się oczy zaśmiały... wróżba była dobra. Znał on starego Cedre i nie jeden się raz z nim waśnił, a nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczańskim dostatkim głowy ugiąć nie chciała.

— Strzemieńczyka chłopiec — zawołał. — Nie dziwota, że od niego ucieka, bo z tym katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już nie ma, boby z nim codzień przyszło się borykać.

Wóz jeden kryty skórą idzie — dodał — chłopca do środka wsadzić każę i do Dukli, a bodaj i do Starego Sądca powiozę, ale co potem, bo ja na Węgry zawrócę?

Bakałarz ręce aż złożył z wdzięczności i zawołał.

— Z Sądca pójdzie pieszo! radę sobie da... W klasztorze go pokarmią, bo tam pauny od firty nikogo głodnym nie odprawia.

Śmiał się Żywczak.

— Dobrze tak staremu panoszył — dodał. — Jeść nie ma co, a swój szczyt tak nosi, jakby złotym był i ludzi drugich niema za Boże stworzenia. Przekonają się wszyscy co zacz jest, kiedy od niego własne dziecko ncieka.

— Al — westchnął Ryba — chłopiecby srogość ojsowską zniósł, bo cierpliwy jest i poczciwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

— Tak, aby z niego takiego niezdare uczynił jak sam jest — krzyknął Żywczak. — Nic ujmuje ja

ezei szlacheie i panoszoim, toć oni się biją i bronią nas. a na świecie potrzebni są, ale i drndzy też ludzie, choć ziemię orzą i kupią wożą.

— Lub Boga chwałą—przerwał bakalarz.

Żywczak skłonił głowę.

— Chłopea więc weźmiecie?— spytał Ryba uradowany.

— Co nie mam go wziąć!— rzekł Żywczak. — Powiadacie, że to ma być Bodu na chwałę... a no i od kątą wyzwolić też zasługa. Ino mi go jak dzień przyślijcie, bo ja na niego ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę temu czas. Dnie poczynają gorące być, chłodem trzeba do popasu.

— Sam go wam przyprowadzę, dziękując— dodał odchodzący bakalarz.

Spieszył potem do szkoły, aby i dobrą wieść przynieść zamkniętemu i wyzwolić go z izby. Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grzesz do komory przeszedł.

Gdy się to działo w szkole, Strzemienieczyk ciągle na syna powrót oczekiwał. W głowie mu się to nie mogło pomieścić, aby dziecko śmiało od niego niekukać. To ukrywanie się po wczorajszym obiciu wydawało się najsroższej kary godnem. Bić go znowu wstępn miał i własnej popędliwości się obawiał, bo mileżąca cierpliwość dziecka wściekłość w nim rodziła. Postanowił więc, jak skoro się zjawi, w ciemnym łozku zasadzić go na chleb i wodę.

Czekał tylko rychło Zbilut, który też na niego czekał, da znać, że Grzesz powrócił. Lecz oba czekali i wyglądali napróżno i gniew ojca coraz się wzmagał.

Po południu już zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzód i trzymać dopóty, póki by nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł, Grzesia nie było. Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary

Cedro to gniewem się unosił, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie zbierały mu się pod powiekami. Zbilut parę razy próbował zdaleka coś szepnąć do niego, i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą zwróconą w stronę fary stał długo Cedro mrucząc coś niewyraźnego, noc nadeszła. Grzesia nie było.

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie, Cedro nogą uderzył w podłogę.

— Słyszysz! żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!

Zyskał na tem młodszy, że ojciec mając go jednego, z oka już na chwilę nie spuszczał.

II.

We dworku Strzemińczyków, z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy. Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze kłębarnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna i w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać. W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmrnął.

Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nie go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach poprzywiązywane, na grzbiecie koszulinę jedną zgrzebną, kłubraczek szary połatany,

a dla pokrycia głowy czapeczkę lichą, pomiętą i poszarpaną. Bakałarz doświadczeńszy już, myślał, czy się go puścić tak godzi? Wprawdzie wiosna już była i dnie gorące, ale biedactwo odarte, wyglądało prędzej na żebraka, niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna nie płaciła za wszystko. Odzieży sam Ryba miał tak mało, że nie było się czem podzielić, a z niego na Grzesia niebý też nie przyszło. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszym więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekcewżył, byle grzbiet miał przykryty. Wiedział, że żebrać będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieść do Dukli, ale o przekarmieniu mowy nie było, należało więc jaki taki posiłek zapewnić na dni pierwsze.

Trochę soli zawiazanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba odkrajana z bułki bakałarza, którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędnętego sera, w które go opatrzone, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nietknięta i pyłem przysuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i milecząc podał Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba. Była to może największa ofiara ze strony bakałarza, któremu z dni młodości nie nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w nią kaszy lub klusek.

Ryba i Kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrokami i naukami różnemi przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało. Oba

oni przeszli przez te same koleje i z własnego doświadczenia czerpali.

Opowiadali szeroko o swoich szkolnych latach. o życiu studentów ubogich i zwyczajach, do których się potrzeba było zastosować, o żebraniu, śpiewaniu pieśni pod oknami i wydrwiwaniu grosza od przeleśkłych żydów.

Bakałarz na tem największe pokładał nadzieje, iż Grzesiowi długo żebrać nie będzie potrzeba, bo nad wiek swój do pióra był wprawny, pisał bardzo pięknie, charaktery wszelkie naśladował misternie, a przepisywaniem naówczas grosza było można sporo zarobić. Za proste Ojciec nasz płacono grosz, a za Donata dziesięć groszy. Grzesz zaś nie tylko kopijował pięknie, bez omyłek, z łatwością, ale pisał prędko i paliło mu się w rękę, co wziął do roboty. Oprócz tego piękny głos jego i śpiew, którym się zachwycano, mógł być także pomocą, bo pieśni pobożne i inne nauczył na pamięć, na cytrze brząkał, a miał taką ochotę do gędźby, że nawet, gdy go nikt nie słuchał, sam dla siebie wyspiewywał.

Wszystko to mu przyszło bez pracy prawie, ledwie cokolwiek pokazano, sam już potem z łatwością uczył się dalej, a starzy z podziwienia wyjść nie mogli. Wbijało go też to może w pychę, ale dawało wiarę w siebie i to męstwo z jakim się wazył w świat, pewien, że wypłynie.

Bakałarz bojaźliwszy trochę mu rogów przycierał, podszeptując.

— A no! a no! co w Sanoku, to nie w Krakowie. Tam i kaligrafów siła jest i na śpiewkach nie zbywa. Posłyszysz... zobaczysz... będziesz się jeszcze miał uczyć czego.

Ale chłopak się tem nie zrażał. Ufał w to, że przy pomocy Bożej da sobie radę.

Rozmawiając tak przy gasnącym kaganku, który syczał i pryskał w glinianej miseczce, Ryba coraz wyglądał przez okno, czy się brzask nie robi, aby

z chłopcem nie opóźnić się do Żywczaka. Zaledwie na wschodzie szarzcę poczynąło, gdy raz jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokłękawszy na modlitwę, Ryba pustemi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina. Rano było tak jeszcze, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały, spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy z szop powyciągane, a przez okno widać było światło w domu.

Parobcy przy łuczywach smarowali i uprzęż przygotowywali.

Bakalarz z chłopcem, niechęć uprzykrzenym być, stanęli pokornie w ganku i czekali. W tem sam Żywczak wyszedł za czemś z izby, już odziany i podpasany, jak do podróży, a zobaczywszy klekącą i chłopca, któremu o mroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzeć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubee i chustec na głowie półewkę grzała dla męża.

Spojrzał bystro mieszczanin na szlacheckie dziecko, nędznie odziane, ale tak piękną rysów i szlachetną a śmiałą postawą uderzającą, że co miał szydzić z niego, posępniał.

Z twarzy bił rozum i męstwo, zadziwiające w wyrostku. Żywczak odezwał się do niego pytając, czy nie lęka się w świat tak puszczać sam jeden.

— Bóg jest wszędzie — odparł Grześ śmiało. — Gdybym z tego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę bożą chcąc pracować, nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił, a babie swej szepnął, aby mu kubek piwa grzanego dała.

Dostał i bakalarz swoją porcyę i byłby mógł podziękowawszy odejść, ale chciał dotrwać do końca, zobaczyć, jak się Grześ do wozu dostanie i pozegnać go raz jeszcze:

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu. Na pokrytym skórami połubie z przodu siadłszy Żywczak uzbrojony, z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłonięty, że gdyby nawet starego Strzemińczyka spotkali, domyślećby go się tam nie mógł.

Grzesz zapłakał, żegnając bakalarza, wsunął się w kąt, i wozy z przed dworku ruszyły.

Co się tam w tej młodej głowie i sercu działo, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcymi, na łasce ich, odurzony tem co go od dwóch dni spotykało, Bóg jeden wie. Myśli mu się płątały, radby był wyskoczył, wrócił, ojcu padł do nóg, to znowu nadzieja dziwna pechała w świat, otwierając przed nim złote wrota. Dzień się wola boża! Noc spędzona bezsennie, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wprędce twardy sen sprowadziły. Zasnął jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski.

Nie rozpoczynał z nim rozmowy, bo do czynienia miał dużo, a sam doglądał wszystkiego, ba i ręki przykładał, ale głodem mu umrzeć nie dawał, tak że Grzesz chleb swój i ser na dalszą podróż ze Starego Sącza mógł oszczędzić. O niej też przemyślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło i przygotować się na to jak miał radzić w potrzebie.

W Dukli mało się Żywczak zatrzymał, tak, że chłopak ciekawy ledwie miał czas, z pod skór się wydobywszy, rzucić okiem na górę Cergowę i po pięknej okolicy. W miasteczku u rynku, gdzie staceli, ruch był wielki, bo gościniec wtedy wiodł na Węgry, z którymi handel naówczas szedł żywo.

Grzesz po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje

nieznane, a krzątania ich wydała mu się po spokojnym Sanoku, dziwną i niemal straszną. Cóż to dalej być miało na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnice z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziami się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, gdy kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, jak król Władysław Jagiełło, właśnie tych dni z Węgier miał do Krakowa jechać, bodaj na Sądecz Nowy, gdzie świeżo osadzonych Norbertanów klasztor chciał widzieć.

Głoszono też, że od Zygmunta Luksemburczyka, z którym się poprzyjaźnił, wioził w podarku drogie dla Polski skarby, starą koronę Bolesławowską, szczyrbiec, berło i jabłko, które był po koronacji swej zabrał król Lois do Budy. A była z tego radość wielka, gdyż do tych klejnotów jak do relikwii świętych wielką wagę przywiązywano.

Żywczaka mało może obchodziły skarby te, które do Polski powracały, a więcej, że przyjazd króla, gościńce czynił bezpieczniejszemi i łatwiejszemi do przebycia.

Grześ zaś, dowiedziawszy się o królu, jak był umysłu zuchwałego, powiedział sobie, iż gdyby na pański dwór i obóz trafił, będzie za nim ciągnął także. Nie rozważył tego, iż pieszemu za konnemi nadążyć nie było łatwo.

W Starym Sączu z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczysko na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie. Doń miał opiekuna i żywiciela, teraz poczynala się dopiero wędrówka o łasce bożej i własnym rozumie. Serce mu jednak rosło.

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodał od klasztoru panien, do którego chłopak się ehciał wprosić

zrazu dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pośpisał, odkrywszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się zdala z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży podobał go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

— Kiedy taka wola boża i przeznaczenie twoje — rzekł — idźże zdrów... a masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

— Ani denara! — roześmiał się Grześ — mnie pieniądze niepotrzebne. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa jużem tam bezpieczny.

Żywczak głową potrząsł, dobył z sakwy dwa groszaki białe i wcisnął mu je w rękę.

— Niech Bóg prowadzi.

Tak się z sobą rozstali. Grześ kij sobie nad drogą wylamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do wieczora czasu jeszcze dosyć było i wskazaną drogą, zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sącza.

Stał mu na myśli ów przyjazd króla, na który po dzieciństwie rachował wiele. Myślał, że przy królu zawsze księży i pisarzy kilku bywało, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sączu wiadano tylko, że się króla spodziewano, ale kiedy miał przybyć, pewności żadnej nie było i czy stanowniczowie już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana poprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczem mu nie zbywało, karmił gospodarz, a o drogę nie potrzebował pytać, teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i raźniej. Mógł czynić co chciał, odpoczywać, pośpieszać, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wysłania z Sannoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza otaczające, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo, przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go. wszystko zajmowało gorąco. Stawał sam do siebie uśmiechając się i czując wolnym. Słuchał, rozpatrywał się, a świat na podziw wydał mu się pięknym. Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie, ucieczka z domu, droga do Sądcza, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem, dodawały odwagi i ochoty.

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałyby się powodzić dalej?

Na domiar szczęśliwych trafów, spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym, który wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieść ofiarował.

Był to kmieć, świątnik, ze wsi Norbertanom nadanej, który z kolei do posług przy klasztorze i kościele wyznaczony, na służbę jechał, a znał nie tylko okolice, ale w Wieliczce i Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybadał zaraz chłopca, który się taić z niczem nie potrzebował. Zapewnił go, że nocleg pewnie w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem dojechali do miasteczka, a i nowe budynki klasztorne nieopodal widać było. Około zamku na górze, jako też na gościńcu, zbliżając się dostrzegli ludu siłę, kupami stojącego, nie było wątpliwości, że obiecany król albo już przybył, albo też był spodziewanym co chwila.

Sprawdziło się to, gdy do klasztoru podjechali, z którego właśnie duchowieństwo wychodziło na

spotkanie Jagiełły. Ale to, co Grzesiowi pomyslnem się wydawało, na złe mu wyszło.

Księża Norbertanie i co żyło tu, tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedną chłopię nikt nie spojrział.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zszedł, Grześ musiał z wiejską gawiedzią w tłumie stać i woźnicę swego, który mógł mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tem tylko, że widział przeciagający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i lśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało. aby królem mógł być.

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniałe poprzyodziejwana, wozy wielkie ładowane i chłopskie pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc, a koło nich ciurów z obuchami i halabardami mnóstwo.

Gdy Jagiełło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozplýwać począł, pomyślał Grześ o sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo ciśnących się odpędzali pacholćwie, więc do niedokończonego opactwa, które jeszcze murowano, usiłował się dostać.

Tu by mu pewnie innego czasu nie odmówiono gościny, ale teraz tak pełno było tych, co się na zamku nie mogli pomieścić, że Grześ do bramy się się docisnąć nie umiał i musiał na miasteczko iść, do mieszczanina gdzieś wprosić do szopki na siano.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było, i od chaty do chaty chodząc, trafił wreszcie na łitościwą duszę. Starowina mieszczanin w pustym chlewku mu się przespać pozwolił. Trochę słomy znalazłszy w kacie, przeźegnał się Grześ, legł i zasnął — tak, że go dopiero rzenie koni o białym dniu zbudziło.

Wyszedszy z szopy zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę, i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego w ulicy człowieka, że król w dalszą drogę do Kłakowa na Wieliczkę pociągnął, nie tracąc czasu ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił chlebem i serem bakałarza. Pierwszego, który suchym był, gdy mu go dano, byłby nie nkałsił wodą nie odwilżywszy, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował. Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał, gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, pomszczać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i podjadłszy trochę, Grześ w dalszą puścił się drogę.

Tego dnia żaden wóz ani miłosierna ręka w pomoc mu nie przysłała. Musiał iść pieszo, popijając wodę z ruczajów i studni, zmęczony przypadając pod wierzbami i w zaroślach przy gościńcu, i tak pod wieczór przywłókł się do kościelnej wsi, wprost kierując się na plebanie.

Szkoły tu żadnej nie było, kościołek drewniany, niewielki, stary, probostwo pod słomą, a w miejscu plebana wikary gospodarzył. Ten zrazu ostro i szorstko przyjął ubogiego chłopca, zowiąc go włóczęgą i szaloną pałą, a proząc mu, że się zmarnuje i t. p., ale powoli odpowiedzi Grzesia roztropnych i pokornych wysłuchawszy, trochę się ksiądz udobruchał, odesłano go do starej gospodyni na kuchnię, a ta, choć także na darmożjadów i żebractwo wyrzekała, dała trochę ostygłej kaszy ze skwarkami, chleba kromkę i na siano do szopy spać wyprawiła gościa.

Gdy rano zadzwonił dziać kościelny na mszę świętą. Grześ poszedł się też pomodlić, a że trafił na śpiewanie różańca i on też głos podniósł. Pewnie z serca Bogu na chwałę nucił, ale i ze śpiewem rad

się był popisać może, bo wiedział, że głos ma osobliwy. czysty, łagodny, przenikający. Wszyscy ku niemu głowy podwracali.

Po nabożństwie już się miał tylko z wikaryuszem pożegnać, gdy ten sam go zawołał, pochwalił śpiew piękny i zaciągnął z sobą na plebania. Tu na nowo badać go zaczął pilniej, a gdy chłopak pochwalił się, że i pisać umie niczego i wiele modlitw w Sanoku dla księży i ludzi pobożnych przepisywał, wikaryusz zażądał próby, zatrzymując go na ten dzień dla spoczynku u siebie. Nie opierał się Grześ, bo nie wprawny jeszcze do chodu, czuł się dosyć zmęczonym i tak dnia tego, zamiast iść dalej, siadł dla wikarego na papierze wydartym z agendy kaligrafować pod dyktą skład apostolski.

Nie spodziewał się widać księżyna takiego w młodym chłopięciu talentu, jaki Grześ okazał, i zdumiał się pisaniu więcej jeszcze niż śpiewowi. Radby go może dłużej zatrzymać u siebie, przy kościele, ale chłopak miał mocne postanowienie dostać się do Krakowa, i księdzu podziękowawszy, nakarmiony, z podwojoną odwagą następnego ranku wyruszył w drogę. Wikary litościwie świeżym go chlebem i siera gomółką opatrzył, a drogę mu do Wieliczki rozpowiedział tak dobrze, nauczwszy gdzie się miał zatrzymać na spoczynki i noclegi, że Grześ prawie już nikogo o to pytać nie potrzebował.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi, szczęściem różnem, a co pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i szczerząc je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którym łatwiej było zepsuć się niż czegoś nauczyć. Radzili mu niektórzy

rzemiosło, nie wiedząc że szlachcicem był, inni strowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókl się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić do Wieliczki.

Wiedział, że już ztąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedzione miasto, około którego ruch był większy daleko niż w Dukli, bo nieustannie ztąd na wszystkie strony sól wywożono i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców, różność języków, bo Niemców i żydów wałęsało się dużo, w początku Grzesia onieśmieliły. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a mieścina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospód, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się wydały, pod kościół więc podążył, gdzie na młodego wikaryusza natrafił, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grześ taką twarz szczęśliwą, że na niej wypisane stały uczciwość i pojętność, a choć mu na męztwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go z pod strzechy domowej wyгнаła.

Wikaryusz rozpytawszy się chłopca, wziął go do izby z sobą. Sam ubogiego sołtysa syn, o własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego ciskała, lepszego losu spodziewając, nie zdziwił się Grzesiowi, ani mu męztwa nie odbierał. Począł tylko potrosze wybadywać co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go usposobionym nad spodziewanie, rozkował najlepiej.

— Biedy już ciż przecierpieć przyjdzie—rzekł—ale komu Bóg dał cierpliwość a wytrwanie, wybrnie szczęśliwie.

Z Wieliczki do Krakowa codzień wozów tyle idzie z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo. Przybywszy trzeba do bakałarza i mistrza u Panny Maryi zgłosić się, nikogo tam nie odpychają...

Pan Bóg miłosierny. Gdyby u Panny Maryi was nie przyjęto, jest ci oprócz tej, szkół dosyć, u św. Anny, przy kościele Bożego Ciała, u św. Floryana, przy szpitalu św. Ducha.

Machnął ręką.

— Jest prawda i ubogich chłopiąt dosyć jak ty, ale jednym więcej nie ogłodzisz Krakowian.

Wikaryusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przenocować i nakarmił go jak żaden jeszcze. W Wieliczce wszędzie dostatek widać było wielki, mieszczenie, robotnicy, gmin zażywno i wesoło wyglądali. Prawda, że i hałaśliwo też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy krzyki i śpiewanie się rozlegały. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ludzi tyle ścigało, woźnic, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano, po mszy świętej, wikary mając miłosierdzie nad Grzesiem, naraił mu wóz, który kupca z Krakowa tu przywiózł i tak jak próżno powracał. Pozwolono mu się przysiąc z tyłu tak, że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobieć spodziewał.

Z bijacem sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okazać, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie żądał dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały.

Podróż na wozie nie tak jednak była pośpieszną, jak się Grześ spodziewał. Kupiecki woźnica żadne-

go szynku nie pomijał, stawał przed każdą gospodą, zasiadał się w niej i pił, gdy konie głodne, z głowami spuszczone mi razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napiły potem smagał je i ruszał z kopyta, ale hyle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione i on się zatrzymywał.

Grześ w końcu postrzegł się, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasku raz jeszcze stanawszy na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grześ z wozu zlazszy, wielkim gościńcem puścił się ku mianu, którego bliskość czuć było.

Coraz gęstszy przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pacholki, coraz też więcej budowali i szałasów nad drogą, sam gościniec kołami porzućty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny.

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzedz się też czego, bo napiłych a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki też wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grześ dumając, gdzie dziś noc przepędzi. Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samem?

Myśląc tak i niebardzo pośpieszając, krok za krokiem szedł chłopak oglądając się, czy do kogo nie będzie mógł przypytać, gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tego co on wieku. Jeden z nich na plecach niósł wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie miał sobie Grześ wytłumaczyć. Nie było to ani siano jakim bydlę i konie karmią, ani też ziele, jakie gospodynie dla chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej kwiatów widać było niż liści.

Drugi przy nim idący, starszy trochę, także pęk ziela miał w ręku i nakopanych korzeni.

Strój obu tak był niemal ubogi jak Grzesia, kubraki wyszarzane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie strojąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciężyło im owe zielsko, i rzuciwszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak zbliżający się powoli wpadł im w oko. Swój swego najłatwiej wszędzie dopatrzy. Drewniana miseczka bakałarza, wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzała swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

— Ani chybi—odezwał się idzisz pewnie do szkoły.

— A dokądżeby, jeśli nie do niej — odparł Grześ. — A juściż?

— Zkad?

— El zdaleka bardzo!

— A no, nie z Tatarszczyzny pewnie?—zaśmiał się starszy.

— Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się. Niewiele myśląc Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Oba studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął.

— Bosy!

— A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? — przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

— Umiesz że choć obiecał?—zapytał.

Nie bójcie się, jużem i Donata kosztował i z par-

tesów śpiewam i z piórem się obchodzę jak należy—
rzekł Grześ z pewną dumą.

— Daj go katu!—roześmiał się starszy—a czegoś się tu myślisz uczyć?

— Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim baka-
larzem albo i mistrzem zostanę—śmiało odparł Grześ.

.. Ho! ho! wysoko patrzy bosonogi! -- rzekł
drugi.

Śmieli się wszyscy, a Grześ z nimi.

— To mi sam Pan Bóg was w dobrą zesłał
godzinę—odezwał się po małej chwili. — Nie odmó-
wicie mi głuptaszkowi, co ani miasta, ani ludzi nie
znam, pomocy i rady potrzebuję.

Starszy w oczy mu zaczął patrzeć.

— Pójdiesz z nami — rzekł—nie na wiele my
ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

— Przydacie mi się, byleście chcieli, na bardzo
wiele—odparł Grześ-- a Bóg wam zapłaci.

Wtem starszy z podcłba zerknął.

— Nim Pan Bóg się rozrachuje z nami, gdybyś
tak piwa albo podpiwku kazał dać, nie byłoby od
rzeczy. Masz za co?

Zarumienił się Grześ mocno, bo kłamać nie
chciał, a groszy jedynych, jakie miał od Żywczaka,
bardzo mu żal było.

— Całe moje micnie dwa grosze w kalecie —
rzekł wzdychając—dla siebiebym ich nie ruszył pe-
wnie, ale dla was..

Starszy się namarszczył.

— Za podpiwek, cienkusz nie zapłacisz wiele,
a znajomość oblać potrzeba. Przyszedłszy do szko-
ły będziesz i tak musiał zmienić swój skarb i wku-
pić się do trzody. Zrobiu tutaj początek.

Kad nie rad Grześ z węzelka u koszuli jedne-
go groszaka dobył, a starszy z nim poszedł do bliz-
kiego szynku na piwo, obiecując odnieść resztę pie-
niędzy.

Pozostawszy sam na sam z młodszym, zapytał

Strznieńczyk na co ziele to zbierali i dokąd je niesli.

— Nie taki to łopuch i zielsko paskudne jak się tobie zdaje—odpowiedział chłopak śmiejąc się.— Masz wiedzieć, że to wszystko do leków i dla zdrowia ludzkiego przydatne będzie, gdy ks. kanonik Wacław, dla którego my zbieramy kwiaty i korzonki, przyprawi je jak należy.

Pokazał nam on, jakie rośliny mu są potrzebne i dla niegośmý je wykopywali i zbierali. Są takie, których sam kwiat obrywać każe, innych korzonki kopać, innych same liście osmykać.

Tu chłopak począł z kupy wyciągać co niósł i zdumionemu Grzesiowi ukazywać.

Tymczasem starszy, któremu imię było Dryszek, powrócił z piwem i pieniędzmi, wiernie denarów resztę Grzesiowi oddając. Zasiadli do podpiwka i rozmowa się dalej toczyła. Z początku niewiele sobie przybysza tego ważyli, już poduczeni studenci zwłaszcza, że z takiego zapadłego kąta jak Sanok przybywał, ale gdy bliżej go poznali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grzesz, nie mając się z czem chwalić, przyznał się, że na niem wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad niem dobrze przysiadawać było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

— Z tem się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie, w Krakowie też niegorszem będzie—rzekł starszy.— Mistrze i bakałarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro rażno w ręku chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów, albo i Prisciana przepisywał. Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą.

Grzesz na to nie odpowiedział, nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc cienkusz dopiwszy, który ich pokrzepił, ziele zabrawszy, dalek do

miasta ciągnęli. Nie sam więc i pod opiekę rówieśników, miał się do niego Grześ dostać, co mu śmiałości dodało.

Gdy wreszcie ukazał się oczom ich Wawel piętrzący się na wysokiej górze, wieże kościołów, miasta mury i bramy a baszty potężne, a budowle w zielonych ogrodach rozsiadujące się szeroko, chłopak nie mógł się wstrzymać od wykrzyku, zdjął czapkę, przczegnął się i począł modlić.

Strach go ogarnął.

Uśmiechali się z niego Dryszek i Samek w początku, lecz i im na myśl przyszło, jak oni pierwszy raz tu się dostali i drżeli a płakali, zwątpiwszy o sobie.

Gród wielki, który chłopak miał przed sobą, nie dawał się ani porównać do tego, co w życiu swem widział, do ubogiego Sanoka, większej już Dubli i Wieliczki, malejących wobec tego olbrzymia w zbroi kamiennej, wieżycami nasrożonej.

Zdała już dychało to miasto głośno i jakby zmordowane wyziewało dymy i opary. Dzwony wieczorne odzywały się nad niem jęcząco i wesoło. Wybiegające w nicbo dzwonnice i wieże, zdawały się stać na straży i wdał patrzeć. Gościniec pod wieczór, im bliżej ku wrotom, tem był pełniejszy.

— Cóż wy ze mną zrobicie? — zapytał ich Grześ. Jak myślicie? gdzieby mi o nocleg prosić i gospody szukać?

— Na tę noc — rzekł Dryszek — chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno. Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca niema, a gdyby było, mój stary niełatwoby niezajomego wpuścić.

— Ja — dodał Samek — w komórec u księdza Wacława nocuję, za co mu służyć muszę. Ten także ładakogo nie przyjmie, a pod noc rozmówić się z nim nie łatwo. Ze studentów wielu nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych

szopkach. Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi gdzie przebyli!

— A gdzież was jutro napytam? ja, co miasta nie znam?—odezwał się Grześ.

Samek podumał.

— Idź ze mną — rzekł — przy ulicy św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam tarcice o parkan oparte, pod któremi na trawie jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę, albo wy mnie koło szkoły św. Anny.

Gwarząc tak pominęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto, o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka ziele przejąć i korzenie i nieść za nim, bo starszy około Panny Maryi u mieszczanina miał przytułek.

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzeć tego, co mu się nastręczało i nieustannie Samka pytał, który śmiejąc się tłumaczył mu każdą rzecz, na pół po prawdzie, pół drwiąco. Baczniemu chłopcu nic nie uszło i straconem nie zostało.

Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dlań, aby się tu nie czuł obcym.

Po drodze do mieszkania ks. Wacława kanonika krakowskiego, Samek pokazał towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić. Ale, stało się inaczej.

Ziele i korzonków nakopanych nie mógł wszystkich do komory kanonika zanieść Samek, Grześ je dźwigał za nim. Mieszkanie ks. Wacława na piętaku było. Weszli już na ciemne wschody niewygodne, których nie znając Grześ, macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy szelest usłyszawszy niespokojny księżyna, wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne połajac spóźnionego posłańca, gdy razem w oko mu wpadły i ziola, których zapach

aromatyczny do niego dochodził i twarz piękna, z ciękawemi czarnemi oczyma nieznanomego człowieka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce, zaczął rozpowiadać gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia.

— A tyś zkąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już z gadatliwością dziecinną, paplał o spotkaniu na gościńcu, a ksiądz kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, przyglądał mu się ciekawie.

— No, i cóż ty myślisz! gdzie będziesz nocował?— odezwał się kanonik.

— Pod tarcicami—odparł śmiało przybyły.

Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do Samka.

— Weź go na ten raz do siebie—rzekł—miej-sca nie ma, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi, tylko żeby mi żadnej swawoli nie było.

Pogroził palcem. Grześ. nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w-rękę pocałować. Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby dopilnować rozłożenia ich, i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fiziognomia przybłądy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał dla indagacyi. Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których cheiwi umiejętności ludzic, chwytały wszystko co ich na drogę nowych odkryć lub dla przeświadczenia się o podaniach zawartych w pisarzach starożytnych, mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyniem różnem, kośmi, szczątkami zwierząt i nieznanemi narzędzmi, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Stał z dala, pokornie u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej wła-

dzy. Naganił to chłopcu więcej z obowiązku, niż z przekonania.

— Nauka, moje dziecko—rzekł w końcu—piękna rzecz, ale *ars longa, vita brevis*, to znaczy, że więcej jest do uczenia się niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być poczciwym człowiekiem. Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumę wbija.

Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie.

Samek niemal zazdrośnym był, że się tak Grzesiowi powiodło. Położyli się więc spać milczący, a choć biedny wędrowiec miał o czym myśleć, młodość zwyciężyła i ledwie legli, zasnął mocno.

Rano obudził go Samek. Kanonik bowiem wstawał do dnia. Grześ razem z towarzyszem poszedł na mszę do świętej Anny.

Tu wpadł niespodzianie między całą gromadę przyszyłych współuczniów, którzy także na ranne nabożeństwo się stawili. Stał z boku nie śmiejąc się do nich przyłączyć, a wszystkich oczy skierowały się na niego. Wytrzymał te szyderskie i nie zbyt przyjacielskie wejrzenia.

Wyglądał biednie i oszarpano, ale tego nie miał się co wstydić. Inni też nielepiej byli odziani. Wielu miało podarte chodaki, kurtki i kubraki łatanne, koszule niebielone i twarze wynędzniałe. Niemal wszystkim jednak z oczów patrzała odwaga, oswojenie się ze swym losem, pewność jakaś, której Grześ nie miał jeszcze.

Studenci zaczęli śpiewać pieśni pobożne w czasie mszy, znane dobrze Grzesiowi, nie miał za grzech i on głos podnieść. Być może, iż i tu rachował na ten swój śpiew w Sanoku sławiony. Jakoż oglądano się na niego, ale i drudzy zawodzili niegorzej a wprawniej i piękny głos jego zagłuszono.

Ubogich tych chłopców spora była gromadka, tak różnego wieku, że niektórzy pod wąsem już, do-

rośli stali obok berbeciów, którzy im i do pasa nie dochodzili.

Zuchwałe miny starszyny tej dowodziły, że ona tu przewodzić musiała. Wiedział z doświadczenia Grześ, iż wszędzie przybywający obcy i guzami i pokorą opłacić się musiał, był do tego przygotowany. Reszta groszy od Żywczaka otrzymanych była już na to przeznaczoną, aby pierwszą burzę odwrócić.

Przy wyjściu z kościoła otoczyli go zaraz studenci, ale Samek im coś szepnął i dali powrócić do kanonika, który zapowiedział, że się z Grzesiem rozmowi, a poniekąd opiekę mu swą przyobiecał. Ciężka więc ta pierwsza godzina do przebycia, odroczoną została.

Ks. Wacław powracał do mieszkania, a Grześ w ślad za nim dążył...

III.

Dobłą godzinę stał ciekawy Samek podedrzwiami kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tem się tylko niepokoił, że badanie trwało zbyt długo.

Znając Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwali się z pismem nieborak, księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało. Zasadził chłopca na próbę a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter w rękopiśmie sobie ukazanych.

narysował ich kilka bardzo zręcznie, ksiądz Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło, ani wzbijać w dumę, pochwalił chłodno. Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia korzystać.

Kilka odpowiedzi na zadanie z Donata i gramatyki dowiodły, jeśli nie wielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak nie chciał dla własnej wygody.

Ogólnemi więc słowy poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprowadził z tem, żeby się szkoły świętej Anny trzymał, gdzieindziej nieszukał pomieszczenia.

— A teraz pierwsza rzecz—dodał—kiedy z jałmużny żyć musisz, abys się do ojca żebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc kanonik drzwi otworzył i Samka chciał zawołać, a stało się tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Nadbiegł Samek przestraszony.

— Idź mi z nim do Patra mendikantów (*Pater mendicantium*)—rzekł kanonik—powiedz mu, że ja go posyłam, i że do szkoły przy świętej Annie ma chodzić. Niech go sobie zapisze i wyznaczy kędy ma jałmużnę pobierać.

Odebrawszy rozkaz ten, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną. Obawiał się współzawodnika.

Ledwie zeszli na dół, gdy Samek niewytrzymawszy, zawołał srożąc się do wczorajszego przyjaciela.

— Ty! Lizunie jakiś! Już się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on dla ciebie mnie przepędzi, nie masz tu co popasać. Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

— Czego ty chcesz odemnie? — odparł. — Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw.

— Chodź ze mną — dodał — kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do Patra, ale pamiętaj!

Pogroził mu.

Owego ojca zebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nietylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych, co najmniej kilkaset chłopców się znajdowało ubogich, pod zwierzchnością Patra zostających. Wszyscy oni na jego skinienie gotowi byli, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego.

On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny czyli karceresu sadzić i niepoprawnych z miasta wysławiecać.

Żurawek miał pewnie lat do trzydzieści, szkołę elementarną [dawno skończył i zapomniał czego się w niej uczył, sam nie wiedział jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, władzę przywłaszczoną zostawiono przy nim.

Chodził Żurawek obyczajem wieku w sukni kleszy, niby duchownej, ale o powołaniu tem wcale nie myślał, ani o przyszłości, bo mu z tem ojcowstwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby pauprom niedozwalał znęcać się nad niemi, mieszczenie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi się nieraz dopuszczali bójki z czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, trzymać.

Choć w czarnej sukni kleryka chadzał, posta-

wę miał wcale nie kleszą, i więcej na pachółka lub viertelnika wyglądał. Nie wolno było uczącym się nosić żadnego oręża i do sukni duchownej on nie przystawał, ale przez szpary patrzano na to, że Żurawek zawsze chadzał z obuszkim lub nawet kordem pod połą. Potrzebował on ich, bo często zważnionych gołemi rękami rozerwać nie było można, trzeba było bić kijem lub płazować.

Plecu szerokich, słuszny, kościsty, niskiego czoła, oczu wpadłych, twarzy zawsze skrzywionych i nadąsanej, Żurawek strach wzbudzał w dzieciakach. Głos też miał taki, że gdy na rynku krzyknął, niemal go u Florjańskiej bramy słyszeć było.

Chodził poważnie, nie śpiesząc, ale nogi mając długie, dognął zawsze kogo mu pochwycić było potrzeba.

Gdzie się żywił i czem odziewał, on sam wiedział tylko, nie stosował się nigdzie, ale głodny nie był, i na piwie, które lubił, nie zbywało, karmili go i poili wszyscy, od żydów począwszy do duchowieństwa.

Z podwładną sobie młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy (tak się nieprzyzwyczajony wyrażał) zjadłyby go, gdyby ich nie karmił. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe.

Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszym spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można.

Nie folgował nikomu, i wiedziano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł o tem Grzesia, co go u Żurawka czekało, zły już na niego był i życzył mu, co ominąć nie mogło, aby Pater zażył go z małki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka, z obuchem w ręku i twarzą zarumienioną. Pośpieszył więc biegiem naprzód, aby poselstwo sprawić od kakonika i Grzesiowi wskazawszy Patra sam drapnął.

Namarszczony stał Żurawek, oczekując zapowiedzianego paupra. Począł ostro go pytać. Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało, Pater jeszcze mocniej się nasrożył słuchając.

— Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry!—zawołał Żurawek w końcu.—Rozumiesz to ty? He? Zbiegłeś z pod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał oczy spuściwszy.

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby. W końcu nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby ukazać te domy i ulice, w których prosić o jałmużnę wolno było.

A jak mi cię gdzieindziej złapią moje stare paupry—dodał—takie dostaniesz cieżgi. że do sądnego dnia popamiętasz

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony.

Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, ale ze złą wolą, nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa wydobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprawił go z fukiem

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którym go Pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem wczorajszy Dryszek nastreczył, który nic o losach jego nie wiedział. Poznał go zaraz, a bodaj piwo wczorajsze przyjaźnie go dlań usposobiło.

— Coż się z tobą dzieje?—spytał.

Grześ opowiadać mu zaczął.

Nie taił się z tem, że dnio z wczorajszej stracił odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, Pater za to za boże stworzenie nie miał.

Rozśmiał się Dryszek ramionami ruszając.

— Nie bój się — rzekł — więcej on burezy niż kasa, a byłeś ze studentami się poznał i z nimi trzy-

Strzemięńczyk. T. I.

niał, nie zrobi ci nic. Że czasem za czuprynę pocawyci, lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz ze studentami starszemi od świętej Anny pomódz zrobić znajomość.

Obyczaję i u pauprów już naówczas naśladować szkół wyższych tradycyę, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod pozorem okrzyszowania nieuków, zadawano nowicyuszom.

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym, przybywającem, rogi odpilowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby oglądy nabrały.

W Grzesiu zapowiedź tych obrzędów wstręt i strach obudzała. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wzięwszy chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie lekko.

Otrząsiny miały się odbyć nad wieczorem. Trzeba jeszcze było iść do preceptora żebrzących i temu się też stawić. Dryszek miejsce i godzinę wskazał. Rozstali się, na wieczór odkładając drugie spotkanie.

Grześ nieszczęśliwy, głodny, zmęczony, w końcu musiał pomyśleć o sobie i trafiwszy na owo schronienie pod tarcicami, ostatki chleba i sera tam spożył. Były to początki wprawdzie, ale nie rokowały one drogi łatwej.

Cofać się już nie czas było.

Czuł, że w Samku miał już nieprzyjaciela, a grozę, jaką obudzał ojciec, tu obcy budził w nim. Pomodlił się, lzy otarł, posiedział w kryjówce i do był się z niej w końcu.

Dnia tego miał jeszcze zapoznanie się w gospodzie z towarzyszami i zaszeregowanie do tej gromady, której musiał być częścią posłuszną.

Dryszek był mu pomocą niemałą. Zarządził tak, aby dla starszych więcej piwa zostało, iż młod-

szych do gospody nie zawołano. Skończyło się na kilku posztuchańcach, na pytaniach podstępnych, na nauce potem jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i smarzone w smole, nikomu nie powiadaj co się działo w szkole. Piwo i pocałunki braterskie dokończyły obrzędu, po którym Grześ wolniej odetchnął!

Samek, który się stawiał na otrzesiny, dodał przestrogę od siebie, że gdyby broń Boże kanonikowi się przyliżał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi.

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

— Słuchaj no rzekł—jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał. Zaprowadziłeś mnie do niego. Nie będę się z tem tał, że mi kazał pokazać sobie jak piszę, a pisanie mu się podobało. Jeżeli mi potem, za opiekę nademną, każe sobie przepisywać, czym winien?

— A ja ci to tylko powiadam, słysz—przerwał Samek—że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł.

— Nie pójde do niego, chyba mnie sam zawoła—rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czem innem, a Samek mrużąc w kąt poszedł. O noclegu nie myślał dotąd Grześ, albo pod tarcice znowu wleźć, lub gdzie się pod kruchtą wcisnąć, zdawało mu łatwem. Tymczasem godzina wieczornej zebrany nadeszła, głód dokuczał i trzeba było poraz pierwszy iść odedrzwi do drzwi z miseczką.

Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto tam mieszkał i jakie go tam nieznajomego czekało przyjęcie! Bóg wiedział tylko.

Z bijącym sercem, miseczkę swą odjąwszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworu... ale tak nieśmiało, że nikt go nie posłyszał, czekał długo, po raz wtóry uderzyć nie śmiał i odszedł z prózną miską.

W progu drugiego domostwa, patrząc na to, stała średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dziewczeczkę za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącym, w rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dziewczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupcząca nóżkami, także przystrojona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi zdaleka, i gdy z kolei zbliżył się do nich zdejmując czapczynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała, i chcąc lepiej mu się przyglądać, pod brodę go wzięła.

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnemi oczyma uderzyła ją i litość wzbudziła.

Nim się odczwał, poczęła mówić żywo złamanym językiem, poczem poznał Grześ, że rodem Niemką była.

— A ty zkąd! Jeszcze cię nigdy tu nie było.

Małe dziewczę śmiejąc się, pieszczoszka zuchwala przybliżyła się także do Grzesia i naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciło go za podbródek. Chłopak zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swoich, pocałował ją, co w dziewczęciu śmiech głośny wzbudziło.

Matce oczy się zaświeciły.

— Cóżes ty za jeden? mów!

Nim się na odpowiedź zdobył Grześ, mieszczka po namyśle skinęła na niego i za sobą wprowadziła do dworku. Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, drzewo i mosiadz, cyna i szkło świeciło, jakby tylko co z rąk kunsztmistrza wyszło. Woń jakaś zdrowa i miła napęlniała mieszkania.

W krótkich słowach, od pokłonu począwszy, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kuflem, pod-

party na łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna, przysłuchiwał się też opowiadaniu.

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiaśc mało widywał i to takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z niemi obchodziły; łago dny głos i wyraz twarzy matki i dziecka serce mu otworzył, dobył z niego i uczuć i słów wcale różnych od tych, którymi tłumaczył się przed innemi ludźmi.

Poskarżył się na swoją dolę.

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u litościwych wypraszać ludzi.

Mieszczka słuchała, dziewczeczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad niem. Co więcej, siedzący opasły nad kufem mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś niezrozumiałego.

Grześ stał ze swoją miseczką jeszcze, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i biegnąc a śpiesząc się przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecię i opasły mężczyzna siedzący w czapce za stołem, z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ ośmielony wesoło rozповідаł o sobie. Dziewczeczka, niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co chłopiec mówił o sobie.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swoim schronieniu pod tarciami mówić zaczął, mieszczka załamała ręce białe, a gruby mleczący człek z za stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł w końcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

— Nie może być, abys tak na podwórzu spał—

rzekła. — Pan Bóg cię nam zesłał, trzeba cię dopomóc. Jest komórka u nas próżna, gdzie się przespąć możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec jak dziękować. Zajęto się nim zaraz pilno. Dzieweczka równie, a może więcej od matki. Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której kilka próżnych fas stało, a knecht Niemiec, przysadzisty, karłowaty, słomy mu w kątku posłał.

Izdebka była prawda przyciemna, z jednym okienkiem małym za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię lepszego kąta nie mógł chłopak pożądać. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł rychło, a choć z nim dziwne marzenia, w których studenci mu dokuczali, przeleciały także. Grześ się przespał do rana, i jak tylko w podwórku ruszać się zaczęto był na nogach.

Stara służąca zobaczywszy go wychodzącego, z polecenia swej pani, dała mu jeszcze kuwałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i porządek robili, czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągając się powoli zaczęła, choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obeszło się bez potękań i psot, bez pytań i śmiechów. Krakowskim pauprom ten przybłąda z Sano-ka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydzili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stał już do mszy świętej w szeregu z innemi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli liłościwsi od starszyszy.

Z mszy wprost potoczyło się co żyło do szkoły, która podzielona była na kilka części, a do najostatniejszej ledwie Grzesia przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiędy, z głową zaciśniętą, bezzębną i policzkami wpa-

dłemi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach ławeczki się mieściły, w nich studenci. Grześ le-dwie się do ostatniej docisnął. Poczęła się nauka od modlitwy, po której rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasynsz senior dojrzał nieznajomego Grzesia. Powołano go na środek. Gotowali się towarzysze wyśmiać nienuka, ale Sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasynsz tedy przystąpić mu bliżej rozkazawszy, wziął się do indagaeyi. Okazało się naprzód, że chłopak czytać dobrze i pisać umiał lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Prisciana, których że Grześ parę razy przepisywał, umiał expedite obu i z gramatyki wyszedł zwycięzko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milezeniem ponurem. Senior usta jeszcze mocniej zakąsił. Dystychy Katona, z którym ofiarował się popisać chłopak, do reszty towarzyszków jego przybiły.

Na wiek swój, nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemięczyk ubogi był cudownem dziecięciem. Zazdrość obndziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Proceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia, wyegzaminowawszy chłopca sięść mu kazał i spozierając na niego zdala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazywał się dumnym, a przy wykładzie seniora pilno uszu nastawiał. Tem go sobie pozyskał.

Godzina nauki przeszła ze zwykłemi epizodami, kar. strofowania i powtarzanych lekcyi, a gdy dzieci rozechodzić się miały, Blasynsz dał znak Grzesiowi aby się zatrzymał. Poglądził go po głowie, pochwilił, i z tem odprawił, że nazajtrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

W dziedzińcu pozostała gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go inaczej powitała. Nie szydzono sobie



z niego, ale widocznie mu zazdroszczono. Samek koso nań patrzył.

Miał polecenie od kanonika Wacława, aby go z sobą do niego przyprowadził. Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko i powzdychując, żali się na swój los, w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokoił go chłopak jak mógł i umiał, zaręczając, że z nieczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i samby się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją opatrność cudownie naraiała.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław, rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego starego księżyny śmiałość wielką i wszystko mu opowiadał co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał.

— Panu Bogu dziękuj, pannu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj.

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafię dziecka wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust, pióra, pulpit, wzór, i stanąwszy za Grzesiem kazał mu w oczach swych modlitwę, przywiezioną przez pewnego pątnika z Jeruzolimy, przepisywać.

Nie była ona długa, ani ten co ją kaligrafował wprawna ręką, nie żałując rubrum i popisując się z rozmaitemi wykrętami, zrobił ją jakby popisowym obrazkiem.

Grześ takich elegancyi nie widział jako żywo, długo się naprzód przypatrywał, ale o sobie nie zwątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem zlekka pooznaczał miejsca, wreszcie przeźegnawszy się zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tem wyraźniejszy, bo w XV w. już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenia się mnożyły, Grzesiowi więc łatwo przyszło wiernie powtórzyć co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiętka wierszy

niedługich. Około Amen piszący naplątał linii naśladowujących niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniejszym wydawać, a Grześ i z tego wyszedł zwycięzko, i rubrum potem wzięwszy, czerwone litery podpisywał bardzo zręcznie.

Kanonik patrząc za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał.

— Chwat! gracko! Daj go katu.

W tem nagle zapytał:

— Wieleż liczysz lat?

— Liczyli mi dwanaście skończonych.

— *Mirabile!* — zamruczał ks. Wacław biorąc modlitwę do ręki. Ucz się ucz, chleb mieć będziesz.

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprządz, ale za modlitwę dał mu kilka pieniążków i kazał się dowiadywać do siebie.

— Ucz się łaciny—dodał—wyjdiesz na czło-wiekall

Izba była pełna rękopismów u ks. Wacława, wziął się więc je pokazywać Grziesiowi jedne po drngich, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Ale tu już były i takie, na które się chłopak wcale porywać nie mógł bo i pierwsze ich karty i nagłówki i boki stały farbami cudnie malowane, jakby w kwiaty żywe, a wielkie litery tak były misternie budowane, że się w nich mieściły całe obrazy... Boga Ojca z Duchem świętym, krzyż synowski trzymającego na łonie, Zwiastowanie Bogarodzicy, Wniebowzięcie, zesłanie Ducha świętego itp.

Grześ podziwiał tę sztukę, z jaką miuiaturzyści wszystko to w maleńkich rozmiarach tak ślicznie umieli pomieścić, nadając życie postaciom drobnym. Oprócz tego kunszt był nie mniejszy w złoceniu i malowaniu kwiatów i zwierząt takich, jakich żywych nigdy ludzkie oko nie widziało.

Z tych śliczności poznał dopiero Grześ, jak mu wiele brakło, aby się mógł zwać kaligrafiem, a na-

wet w duszy przyznać musiał, że malować tak nie potrafi nigdy.

Nie zraziło go to jednak od pracy. Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał, Grześ, choć z pewną trwogę pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miany był za bogatego, i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowemi, sklep miał w Sukienicach i ławnikiem był wybrany.

Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkałszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka jedy-naczka nauczyła się trochę po polsku.

Stał on oto, aby języka nabył i sam choć łamaną mówił polszczyzną.

Jeszcze Grześ był od dworku Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dziewczeczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jakby się go spodziewała. Jakoż poznawszy, pobięła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuшек chlebem przykryty, uśmiechając się do niego.

Balcer, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było, jejmość tylko i słudzy. W czasie, gdy się posilał pauper, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczęła go, dopóki nie począł z nią rozmowy.

Dziecko było jak piękne tak rozumne, wesołe i śmiałe a gadatliwe. Szczebiotało nie gorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grze-siem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawiać ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono.

Takie były początki studenckiego życia Strze-mieńczyka.

Nadzwyczajne zdolności bardzo wprędce do-zwolily mu się odznaczyć i zająć miejsce w szkole między najstarszymi. a być nawet pomocą nauczy-

cielom. Rokowano mu wielką przyszość, tembardziej, że pokornym był i w dumę się nie wzbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu dopiero. Siegał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić. Chłopczy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i szkodzić byli radzi, uciekali się teraz o pomoc do niego, której im nie odmawiał. Mało jednak z nich umieli mu być wdzięczni, był im solą w oku, bo seniorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

U Balcerów, choć im ciężarem nie chciał być, tak się złożyło, że mu już odejść nie dano. Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego i matka i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której stół się znalazł i ławka.

Ks. kanonik Wacław posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą koszulę i suknię przenoszoną, którą przerobił krawiec na tak piękną, iż jej pauprzy zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej przyzwyczajając. Uczył wciąż Grześ po polsku przy matce córkę, a stało się, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie, począł po niemiecku szwargotać.

Miał i pamięć doskonałą i łatwość uczenia się wielką, tak, że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło rażno i dystychy Katona przeszedłszy, dalej retoryki już poczynał kosztować Grześ, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i przy kantorze stawał, młodszych musztrując.

I tu go podziwiano, a lubowano się dyskantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał jak błyskawica... nie zmieniło

się nie, oprócz że Grześ pewnicjszym coraz był siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Radby był prędzej przebył tę przestrzeń, którą drudzy mierzalnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tę porywczosć młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i zwyrastków przystojnych, czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie wdzięcznego dopomagał. Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna choć trwa tyle co kwiatek i niewiele ważyć się zdaje, przecie serce i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzyły rozumem, miała wdzięk jakiś, którego siłę nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na ucztę, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczem.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak, że domownikami ich stał się i jakby do rodziny należał.

Miseczkę drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował. Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława zawsze jaką godzinę spędzał za pulpitem, coś mu przepisywując, więc się do coraz nowych charakterów przyzwyczajając, nabył wprawy jeszcze większej i nie tylko kopiował co mu dano, ale począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Uparli się nawet, trudne i zawiłe znaki notaryalne w dokumentach tak przerysowywał, iż ci, co je kładli, ze strachem się przyglądali ich powtórzeniu, i krzywym okiem patrzali na chłopca, który, gdyby nie pieczęcie, każdy akt mógł tak naśladować, że najwprawniej oko fałszerstwaby nie odkryło.

Grześ jednak wcale o złem nie myślał i dla popisu tylko sztuki te okazywał.

Drugiego roku chłopak znowu podrośł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwycił od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym. Samo przepisywanie, gdy z łaciną coraz się więcej oswajał, szło mu na korzyść, bo choć nie wszystko rozumiał, gdy o objaśnienie zapytał księdza, kanonik mu je chętnie dawał, i miło mu było wiedzieć tę ciekawość amanuensa.

Lecz ks. Wacław też wpajał w niego, że natura pełną jest niezbadanych tajemnic, i że człowiek w jej wielkiej żywej księdze, zaledwie czytać się uczył, tyle tam było rzeczy zakrytych, których nigdy może rozumem swym dobadać się nie potrafi.

Czasem, gdy się starowina rozgadał, a był nieposobionym, poczynął Grzesiowi prawić o tych cudach, jakie w owych wiekach po księgach i w tradycjach obiegały, głoszone za prawdę. Więc smoki, gryfy, bazyliszek, inne stworzenia bajeczne, własności dziwne kamieni, istoty powstające sponte, odradzające się na stosach jak fenix, przesuwwały się w tych opowiadaniach, jak poemata przed zasłuchanym w powieści staro Grzysiem. Świat ten nęcił go nadzwyczajnie, lecz wiedział, że nie był on dostępnym wszystkim, i że arkana te tylko dla wybranych się otwierały. Jemu naprzód potrzeba było tych skrzydeł, które go podnieść miały tam, z kąd dalekie mógł horyzonty oglądać. Nauka języków była najpierwszą i najtrudniejszą. Jednego pisarza starożytnego poduczywszy się rozumieć, z jego mową oswoiwszy, Grześ postrzegał, że gdy nieznanego potem wziął w rękę, na nowo jego język musiał sobie przyswajać. Gramatyka, co wszystkim wrota otwie-

rać miała, doprowadzała tylko do progu, Donat, Aleksander i Priscian nie starczyli mu.

Ale głowa się chłopcu otwierała, a im więcej się uczył, tem się nauki pożądliwszym stawał.

Kanonik patrzył nań z poiechą i z trwogą.

Przy takich zdolnościach i takiej chciwości wiedzy, zdawało się niewątpliwem, że chłopię to do innego stanu jak do duchownego przeznaczonem być nie mogło.

Świeccy ludzie, w życiu czynnem, które szło wybitemi kolejami, nauki w ogóle nie potrzebowali. Była ona wyłącznym monopolem duchowieństwa.

Nie podlegało wątpliwości, że ów Grzesz musiał w końcu księdzem zostać, ale kanonik zagadując go o powołanie, nie mógł w nim odkryć dotąd ani myśli, ani szczególnej chęci obłeczenia sukni duchownej.

Grzesz jakoś o przyszłości w ogóle weale nie myślał, i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tem dziwniejszem.

W początkach po przybyciu do Krakowa, nie jeden raz myśł Strzemięńczyka zwracała się ku dworkowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nie ludzko obchodzono, trochę serea przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którem naukę było czerpać łatwo.

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchał się o Niemczech dużo, o miastach, w których i bogactwa wielkie i nauki skarby były nagromadzone. Przybywali tu ludzie zdaleka, powieści przelatywały z całego świata, Tu zasłyszal o Włoszech, do których jeżdżono po naukę i z Polski, o krajach na Zachodzie, z których do Polski wyroby tak piękne i misterne przywożono, jakich tu nikt robić nie umiał,

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanycb krajach i gorącą chęć ich poznania. Na

mężtwie do rzucania się w podróż nie zbywało mu. Tał się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy w domu, w Krakowie Collegia były otwarte, w których nauki wszelkie wykładano, i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak, że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tem Grześ, a przecież myśl wędrówki go nęciła.

U Balcerów rozpowiadano o tem często, jak w Niemczech dla nauczycieli różnych, młodzież od miasta do miasta wędrowała, od każdego z nich coś nowego się ucząc. Pełne były naówczas Niemcy tych ubogich pątników, których Vagantami zwano, a że nie wszysej trzeźwo żyli, Bacchantami też ich szydersko mianowano.

Nie wiedział on, iż znaczniejsza część tych pielgrzymów, którym statku brakło i prawdziwej miłości nauki, włóczyła się od furty do furty, od gospody do gospody dla chleba, kradnąc gęsi po drodze, i wyzyskując postrachem mieszczan i włościan, lecząc i czarą odprawiając bałamutne. Zdawało mu się, że ich taka żądza gnała w świat, jaką on sam czuł w sobie.

Do tej wielkiej ochoty uskokczenia w świat, przed nikim się nie przyznawał, choć ją w sobie żywił. W tej myśli też korzystał z pobytu w domu Balcerów, coraz się pilniej ucząc niemieckiego języka, który mu za Łabą miał służyć.

Gospodarzom swym nawet nie wyjawiał żądz, która umysł jego opanowała.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa, i szkołę trywialną Grześ dawno skończywszy, uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie gdzie mógł i zapas sobie przysposabiając na drogę.

W piętnastym roku wás mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły na-

brał, a nie o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz, że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu

Uciec jednak nie opowiedziawszy się nikomu nie godziło się. Współuczniom, którzy zawsze zawistnym nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał poeząć, ale Baleerów tak opuścić, kanonika porzucić serec wzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne go kochała, przywiązał się równie jak do starego Baleera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny. Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grzesz przyezynił się do ułatwienia tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy do mówienia po polsku, on ją na eytrze grać i śpiewać poduczył, jemu winną była, że ojcu mogła pomagać w rachunkach, a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę nadzwyczaj było pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małym się ograniczały, naturalny rozum, dowcip, domysłność z tego ziarenka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązana, boleśnie przychodziło... ale też sama żądza, co go wyгнаła z Sanoka, parla dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrówkę. Pierwszemu z tę myślą zwierzył się kanonikowi Wacławowi, który przyjął zdumionem milezieniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że chłopaka przeznaczeniem było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania.

Mimowolnie zwiłżyły mu się powieki, nie rzekł

słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i w czoło pocałował. Chłopak przypadł mu do kolan.

— Jeżeli ezujesz w tem wolę Bożą, idź—rzekł. Szkoda mi eiebie, ale któż wie? może podróż ta będzie pomyslną, a ty z niej wrócisz, abyś był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Baleerom. Cicho naprzód powiedział o tem samej jejmości. Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecień swe kochała więeej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego przywiązania ubogiego ehlopea do swej jedynaczki.

Niebardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskiem staraniu o wybór do tej podróży, na którą Grzesia chciała wyprawić zaopatrzonego we wszystko, eo ją mogło ułatwiać.

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ spojrzawszy na wesołą dziewczę, nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonego dziecieńcia, które wie, że mu nie odmówionem być nie może, Lena zaczęła badać o przyczynę zaehwurzenia.

—Al—odezwał się chłopak—jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał precz ztąd iść.

Lena poskoczyła w ręce uderzając.

— Dlaczego? dokąd?—krzyknęła.—To być nie może.

— Być musi—rzekł smutnie Grześ—eałym majątkiem to co umiem i ezego się nauczę, muszę więc w świat iść szukać mądrości.

Lenie lzy stanęły w oczach, nie mówiła nie, rękami tylko strzepując.

Grześ, jako starszy, począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie.

Dziewczę nie wiedząc jak go przekonać i od Strzemińczyk. T I.

tego zamiaru odwoździć, na skargę pobiegło do matki, ale znalazło ją już przygotowaną.

Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała. Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała i nie mogła.

Plakała w swej izdebce, a matka nie mogąc inaczej, pocieszała ją tem, że dobry przyjaciel powróci.

W komórec chłopaka leżały już węzélki gotowe, bielizna trochę odzieży, żywność i kaletka z groszakami uzbieranemi. Grzcsiowi ścisnęło się serce. Obawiał się pożegnania i własnej słabości, i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka, w którym Sanok opuścił, wyszedł z tłumoczkim na plecach, z kijem w ręku, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze. Pocichu otworzył i zamknął drzwi za sobą. Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziom i, budząc w sobie męztwo, puścił się ulicami pustemi miasta ku Flo-ryańskiej bramie.

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy, dostał się na przedmieście. Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemem pożegnaniem, i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

— Powrócę! powrócę.

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, wieść się zaraz rozeszła, że zbroiwszy coś, uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV.

W pięć lat po owej mniemanej Grzesia ucieczce, w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego, suknie pyłem okryte, uznojona twarz, buty zbłocone i zbiele od kurzu, o długiej wędrowce powiadały.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak jak w Niemczech, naówczas chadzano nie wykwinicie ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż dowodziło, iż niezamożnym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokazne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wskazywał twarz i postawa wędrowca kłam zadawały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny, nie godził się z wyszarzanym kubrakiem. Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się dziwnym uśmiechem ścigały.

Gospoda przedmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy, i to co w mieście albo się pokazać nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka.

Przed wieżą siedział ociemniały starzec na ziemi z wyciągniętą ręką i oczyma białemi podniesionemi do góry, głosem schrypłym nucąc pieśń jakąś. Przy nim małe chłopię, zwinięte i zgarbione ze znużenia, drzemało.

Dalej roztruchacze opatrywali konie chluć, naj-

pewniej gdzieś z paszy skradzione, które im obdarci ludzie narzucali za bezcen.

Z izby słyhać było buchający gwar pijanych i krzykliwe zawozone śpiewy. W sionce ująwszy się pod boki niemłoda kobieta, z zarumienionemi mocno policzkami, przechylała się z nogi na nogę, jakby wzywała do płasów.

Wozy włościańskie zatrzymywały się na chwilę i kmiacie nie zsiadając, wołali do gospodarza o piwo.

Gospodarz, człek wzrostu wielkiego, obrosły strasznie, z czarnemi oczyma, które patrząc bodły jak noże, wybiegał coraz, w niskich drzwiach się pochylając, to z drewnianym kubkiem, to z blaszaną miarą, wynosząc napój, a łając tych, co się po niego z wozów ruszać nie chcieli.

W koszuli, fartuchu, z nogami bosemi w chodakach odartych, zabrukany, karczmarz był niezmiernie czynnym. Oka jego nie nie uszło, a wszyscy co się zatrzymali pud wiechą jego, zdawali mu się być znajomi. Odzywał się wołając ich poufale po imieniu, naprędce dawał rady roztrucharzom, groził sprzedającym marchę, śmiał się z pijanych, a nie zapominał denary odbierać i wysypywać je do skórzanego worka, który mu wisiał u pasa.

Był to sławny Dziegiel, człek, którego za rany i sińce wyświecono z miasta, znany gwałtownik. Przyjaciele i krewni jego wyrobili mu to, że choć w mieście się pokazywać nie mógł, tuż pod niem jednak trzymał gospodę, na co przez szpary patrzano.

Dziegiel już parę razy rzucił był okiem na podróżnego, który na przyźbie odpoczywał, a niczego od niego nie żądał.

Sądził że się domyśli w końcu, siadłszy pod strzechą, zapłacić za gościnę, czy napojem czy jadłem.

Wprawdzie ostatniego u Dziegla było dostać trudno, bo tu ludzie więcej pili niż jedli, ale chleb, ser i mleko było w komorze.

Podróżny zdawał się gospodarza nie widzieć

wcale, albo na niego nie zważać. Dziegiel miał już odejść skrzywiony, gdy w tej samej chwili konno od miasta nadciągnął wasaty młodzian, z mieczykiem u pasa, wyglądający na miejskiego lub szlacheckiego sługę. Konia zatrzymał pod wiechą, pot otarł z czoła i pochylając się krzyknął.

— Dziegiel, piwa! człowiek pod te gorąco beczkęby całą wychłął, gdyby mu ją nachyłono.

Głos ten nłyszawszy podróżny, który w inną stronę miał zwróconą głowę, drgnął i począł się przybyleln przyglądać pilno.

Ten też spostrzegłszy go, zdawał się zdumiony, niepewny, jakby sobie w nim jakąś starą przypominał znajomość, konia trochę naprzód podpuściwszy rękę przyłożył do czoła i mruczeć coś zaczął.

Podróżny tymczasem z ławy wstał.

— Jak Bóg żyw—odezwał się po polsku, choć suknie miał niemieckie—toć Dryszek.

Ten posłyszawszy imię swe jnż ze szkapy się zsunał.

— Grześ Strzemieńczyk!—krzyknął.—Żyw więc jesteś, a my cię tu już pogrzebali.

Podali sobie ręce.

— Choć w ostatnie czasy nie byliśmy przyjaciółmi — począł Dryszek — boś ty nas wszystkich twoją nauką zbłądził, a no miło mi, że cię żywym widzę! Kędyżeś bywał... taż to pięć lat temu.

— Pięć lat, które mi przeszły jako pięć dni — rozśmiał się Grześ.—Kędym bywał za długoby było opowiadać. Prędzej ty pono powiesz mi, jakęś z ławki szkolnej dostał się na konia i do miecza przypasał. Toś ci się bakalarzem albo seniorem być chciał.

Dryszek się skrzywił i ręką w powietrzu zamachał. Ponieważ Dziegiel właśnie mu piwo podawał, nim się zebrał na odpowiedź, począł od wychylenia całego kubka tehem jednym; otarł wasy rękawem, rzucił na dłoń nastawioną gospodarza pieńiążek i zwrócił się dopiero do Grzesia.

— A no, prawda — rzekł — chciało mi się ba-
kalarzem być, ale nauka do łba nie laża, ani węz.
W końcu mi się wás sypał i wolę Bożą czuć zaczą-
łem, a do *quadrivium* nie mogłem się dobić. Tym-
czasem trafiła mi się bogatego soltysa córka, dziew-
ka jak łania... wołałem ją niż *ciziojany*. Komu co
przeznaczono, nie minie. Gospodarzę przy ojczymie
i drę z nim koty.

Ruszał ramionami i śmiał się.

— Teraz jak na papier spojrzę—dodał—ciarki
po mnie chodzą, a jak wspomnę szkołę, albo mi się
ona przyśni, tom na cały dzień zły i kwaśny. A ty?
z czem powracasz!

— Ja? — odparł Grześ, pokazując mu węzełek
pod strzechą leżący. — Ja wiozę pierwszego może
Virgiliusza do Krakowa.

— Cóż to za kat ten Wirgi...nusz? — odparł
Dryszek.

Grześ się rozśmiał.

— Wolę go niż twoją soltysównę — rzekł wc-
soło. — Przez całe pięć lat uczyłem się, a uczył wę-
drując. Poszedłem naprzód do Wrocławia, gdzie pi-
wa prawda było podostatkiem, ale nauczy cieli bra-
kło, potem do Lipska. Było się i w Magdeburgu
i w Norymberdze i dalej nad Renem aż po całych
Niemcach. A co to za osobliwy świat, a jacy lu-
dzie! Było na co patrzeć i czego się uczyć.

— No i sakwy pełne mądrości przynosisz z so-
bą—dodał szydersko Dryszek— a groszy dużo?

— Prawie tyle—odezwał się ramionami poru-
szając obojętnie Grześ—co naówczas, gdyście mnie
z Sanoka idącego spotkali.

Dryszek pogardliwą zrobił minę.

— Miałeś po co chodzić tak daleko — zamru-
czał—goliznę miałeś i w Krakowie,

— Aleń tego rozumu, com go nabył między
ludźmi, nie miał—rzekł Grześ.

— I cóż z nim robić myślisz!—wtrącił szyder-

sko Dryszek, oglądając się ku swemu koniowi. — Pewnie na klekę kroisz? No, toby jeszcze było pół biedy, ale i ci panowie kolegiaci nasi, profesorowie i doktorowie, choć kapłani i mądrzy ludzie chleba siła nie mają. Pójdź na ulicę św. Anny, a choćby i do większego kolegium, zobacz jak mieszkają i jedzą! a jak pracują. Bóg z wami, ja wolę soltysią córkę i moje gospodarstwo.

— Jak co komu służył! rzekł Grześ.

Popatrzyli na się wzajemnie takimi oczyma, jakby sobie powiedzieć chcieli, że się pono nigdy nie zrozumieją.

W tem Grześ żywo wtrącił.

— Żyw kanonik Wacław?

Dryszek się musiał namyślać nad odpowiedzią, bo mało co się troszczył o tych ludzi, którzy Grzesia najczęściej obchodzili.

— He? medyk? — spytał — a no! żywi postarzał trochę, suwa nogami, ziele zawsze zbiera, ludzi morzy i leczy.

— A z Samkiem co się stało?

Samek też wyszedł pono był z pamięci Dryszkowi, bo długo się namyślał nim go sobie przypomniał.

— Ten już suknię kleszą nosi, ale mu święceń nie dają, bo nie umie co potrzeba — rzekł po chwili.

Kilku współuczniów wspomniawszy, o których Dryszek niewiele wiedział, Grześ się w końcu nieśmiało jakoś, wahając, odważył spytać o to, co go najbardziej obchodziło.

Cóż się z Balcerami dzieje!

Dryszkowi oczy błysnęły złośliwie.

— He? — zawołał — toż się był powinien napród o nich pytać? Balcerom twoim wiedzie się jak się wiodło, pobogacieli tylko jeszcze. Kamienie Niemczyśko nakupował wiele i utył tak od świdnickiego piwa, że brzuch przed sobą ledwie dźwiga. Sama Balcerowa też nie schudła, a córeczka ich wyrosła na najpiękniejszą laleczkę w mieście. Ludzie do niej

idą jak do cudownego obrazu, bo prawda, że na podziw urodziwa, a mówią, że i rozumna. Przytem jedyna u rodziców i wszystkie kamienice Balcera spadną na nią, więc tam bodaj pan i szlachcie gotów w swaty.

Grześ smutnie i na pozór obojętnie słuchał tego opowiadania; Dryszek jedno oko przymróżwszy przypatrywał mu się. Zwrócił się potem oczyma ku niebu, aby się ze słońcem obrachować i wczas do domu dojechać.

— Jechać muszę — rzekł — a i wam też nim wrota pozamykają pośpieszyć trzeba, aby na Kleparzu nie nocować. Radbym z wami gadał, ale gdy późno przyjadę, teść będzie łajał, a żonka posadzi, żem się z dziewczętami na Okółu zabawiał. Z nią sprawa nie osobliwa, wolę licha nie drażnić.

Zabierał się do siodła, rękę podawszy Grzesiowi.

— A cóż się tak z żoną szczęśliwym mienił — odparł Strzemińczyk — gdy ci się jej i teścia obawiać trzeba?

Dryszek zrobił minę dziwną.

— Niema chleba bez ości, niema ryby bez kości — odparł cicho. — Wolę już, żeby mi żona nałajała i teść nagroził, niżbym głodem miał umrzeć i głowę łamać nad pisanem.

Bywaj zdrów.

Tak się rozstali. Grześ powrócił na przyźbę i dobywszy chleba z serem postaremu, kazał do nich podać miarkę cienkusz, którym wiecezrę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz porównyując pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do niego po latach ośmiu, ważył i rachował co zyskał, a miał z tego powód być dumnym. Czuł, że czasu nie stracił i że jego węzelek, na który tak pogardliwie Dryszek spoglądał, więcej zawierał w sobie, niż to co tamten zyskał po dziewczynie w po-

sagu. Przebył wiele, przemęczył się niemało... wśród obcych, ale płon mu za to nagrodził.

Teraz już mógł śmiało do Akademii się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nank tych świadomym. Bakalarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegium zasiąść i młodzieży wykładać co mozolnie zdobył.

I suknię wdziać duchowną—myślał w duchu — a czoło mu się zachmurzyło. Piękna Lenka stanęła przed nim i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty.

Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klastrum nauki, albo teatr czynnego żywota. Od dawna już walka tych dwóch niezbytch i niepojednuanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała... a gdy śnił o tem, iż trzeba było jedno wybierać, w końcu odtrącił oboje, bo zawsze po czemś płakaćby przyszło.

— Czasu mam dosyć—mówił sobie Bóg wskaże co czynić. Wiódł mnie dotąd... natchnie w chwili stanowczej.

Już na pacierze wieczorne dzwoniło do miasta, gdy Grześ przebywszy wrota, wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zasianych pamiątkami tyła, rozweselił go.

Wracały mu żywo spędzone tu lata.

Ale napróżno zwracał oczy ciekawy ku ludziom, których spotykał, twarzy znajomych nie było. Nikt go tu nie witał, spoglądano jak na obcego. Na Florjańskiej, Niemiec stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać nie było podobna. Odpowiedział niemieczyzną taką, iż mu mieszczanin rękę podając, do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną.

Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamannika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemińczyk też nie sądził potrzebnem wydawać się z tem, kim był i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła.

Nie mógł zostawić w tym błędzie gospodarza Grześ i przyznał mu się, że na naukę do akademii przybywał.

Nie było to już rzadkością w Krakowie podówczas, że cudzoziemcy tu do młodej macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a szkoła Jagiellońska zażywała w świetle sławy niemiejszej od najstarszych sióstr swoich.

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznem kolegium, życie wielkie, gorące, młodzieńcze, czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już ze świątobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostołskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamannik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się to osobliwem, iż z tak daleka się przywłókl.

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była wszędzie naówczas obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko. Rozповідаł im za to o dalekich krajach i o miastach, za którymi tęsknili.

Nazajutrz rano, tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko, zostawiwszy, przebrawszy się Grześ pośpieszył naprzód do kościoła św. Anny.

Tu już między studentami, po leciech pięciu, ani jednej znanej nie znalazł twarzy, bo dziatwa po-

wyrastała i zmieniała się, a starsi w świat poszli. Kościół za to pozostał niezmieniony, jak gdy Grześ z niego wyszedł wczora.

W progu zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława. Gdy zapukawszy do drzwi, wsunął się na próg, staruszek siedzący w krześle nad ogromną księgą, podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego, i nie poznał.

Był-li temu winien uczeń, co się tak odmienił, czy żrenice, które tak osłabły?...

Dopiero, gdy do pocałowania ręki przybliżył się Grześ, odezawszy ze zwykłym — Laudetur, kanonik na obu poręczach się oparłszy, uradowany porwał się na nogi.

— Grześ! — zawołał — Bogu wielkiemu niech będą dzięki... Cały żywi! a zmężniałeś? a rozumiesz nabył? a nauki przyspożyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo.

Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z pocięgą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wyrwały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowemi.

Strzemińczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić.

Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezya, zwłaszcza starożytne najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał co uczono z historyi natury. Była to na nieszczęście nauka w kolebce, nie wchodząca w programy i Grześ tylko spotykając się z lekarzami, mógł mało-co zdobyć wiadomości, które się ograniczały do odgrzebanych z pisarzy starożytnych. Z tych zaś łacińscy tylko byli przystępni znaczniejszej części uczonych, bo język grecki zaczynał dopiero poznawany być lepiej

i o Grekach wiedzano tyle, co się przez łacinników o nich dowiedzieć było można.

Kanonik zaś nie tyle teologią i historią, poezją i retoryką się zaprzątał, co rzeczami nauk przyrodzonych tyczącemi. Był to, jak dawniej ich zwano, człowiek ciekaw natury, (*naturae curiosus*) w całym znaczeniu tego wyrazu.

Grześ też miał skłonność badać te tajemnice, ale dla niego kluczem do nich była nauka języków bo razem z wielu swojego czasu ludźmi, pojmował, że naprzód należało przyswoić to sobie, co ludzkość od wieków zdobyła, aby iść dalej na drodze odkryć i postępu.

— Cóż teraz myślisz z sobą czynić? — zapytał w końcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

— Ojcie kochany — rzekł Grześ wahając się — spełna nie wiem, co czynię. Poproszę Boga o natelnienie, jaką mam pójść drogą, to pewna, że się uczyć chcę, że się w naszej akademii rozszlucham i rozpatrzę i dobijając się będę bakalarstwa a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

— Tak, tak, nie może być innem przeznaczenie twoje — rzekł ks. Wacław — musisz przywdziać suknię naszą i będziesz filarem kiedyś tej Jagiellońskiej szkoły, która świata zaświeci blaskiem wielkim.

Nauka, kto z nią raz ślub wziął, staje mu się wierną do zgonu życia towarzyszką.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata, zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta osobliwe, jakie mógł widzieć lub słyszeć o nich w podróżach. Lecz pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanem było.

Miał za to Wirgilego, Owidyusza i Statusza w tłumoczkę, którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w średnich wiekach Wirgiliusz uchodził

za czarnoksiężnika i świadomego wielkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy z staruszką, ruszył się w końcu Grzesz, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Była już naówczas, obycajsem w innych akademiach zwykłym, bursa Isnera, zwana ubogich, lub królewską Jagiellońską, przy Wiślniej ulicy, o której pomyślał ks. Wacław, czyby w niej Grzesia nie umieścić, ale ta podczas, jak prawie zawsze, przepelniona była, a Strzemińczyk też nadzieję miał, nikomu nie będąc ciężarem, przepisywaniem sobie zarabiać na życie.

Kunszt ten, z którym już na wędrowkę się puścił, w czasie niej doprowadził do takiej doskonałości, iż śmiało mógł z najpierwszymi kaligrafami ozdobnością pisma iść o lepsze.

Tak samo w muzyce uczynił postępy wielkie, a że pamięć miał nadzwyczajną, więc pieśni kościelnych, sekweneyj, hymnów, równie jak łacińskich i niemieckich piosenek wesołej treści, zapas z sobą wielki przynosił. Gra na cytrze i głos, który z wiekiem się zmienił, ale na brzmieniu nie stracił, czyniły go na owe czasy muzykiem niepoślednim. Na organach też umiał sobie towarzyszyć. Z temi wszystkimi talentami, umysłem żywym i bystrym, odwagą i powierzechnością ujmującą, ubogi szlachetka, któremu i pochodzenie ułatwiało zdobycie miejsca między ludźmi, mógłże zwątpić o sobie?...

Wyszedłszy od kanonika, który żądał, aby rychno do niego powrócił, bo mu chciał miejsce znaleźć przy sobie i izdebkę wyprosić w domu, który zajmował, Grzesz miał postanowienie udać się do Balcerów.

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przecucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć.

Szedł i zwalniał kroku, zatrzymał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu? Dawną

towarzystwę zabaw, którą siostrzyczką nazywał, wypięknioną, dumną, zmienioną? Dryszek mu o niej mówił, że ludzie za nią biegali. aby na piękność jej popatrzeć!

Grześ może, sam o tem nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzeć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z jej obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na męztwo zebrał i skierował ku ich domowi.

Zdala widział dom, wcale niezmięiony, taki jakim był, gdy po cichu, rankiem wymknął się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mogąc zrazu zrozumieć, wstrzymał się na chwilę. Na progach wszystkich dworców, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu śmiechu i radości pełno.

Zdala dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w benbenki, okrzyki, jakieś i ręk klaskanie.

Oprócz tłumu ciekawych, który napełniał ulicę i chodniki, wpośród niego dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jupkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach spiczastych.

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko się to ścierało i skupiało, Grześ nie mógł się omylić, był dworek Balcerów.

Uderzyło go to i pobladł. Domyśleć się było łatwo, iż nie się tam innego tak wesołego odbywać nie mogło, chyba zaręczyny albo wesele, nie czyje inne jak Leny.

Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrekowiny lub ślub, mógł się zebrać chyba człowiek tak bogaty jak Balcer.

Stary to zwyczaj był szlachecki równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak najwspa-

nialsze i trwać jak najdłużej. Ci co nie dawali wia-
na za dziećmi zmagali się na to, aby dzień ten uro-
czysty uczynić dla nich pamiętnym.

Musiałojż naówezas prawo zapobiegać, aby
się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt liczne,
na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen! I trzeba było, aby los wła-
śnie Grzesia sprowadził t go dnia i godziny, gdy
się ono odbywało?

Stanął z rękami załamaneimi biedny, a głos we-
wnętrzny mówił w nim.

— Tak chciał los twój, aby ci wskazał drogę
i przeznaczenie!

Choć się nie przyznawał do tego sam sobie,
Strzemięńczyk żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim
będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie? w zapale pierwszym wyrzekł
się dla niej nauki, zdobywszy jakie już zyskał i przy-
szłości...

Wszak Dryszek tak poświęcił wszystko dla soł-
tysówny?

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszyst-
ko było jakby zawczasu wyznaczonem dla niego,
potęga jakaś wskazywała mu drogę, którą on iść
musiał. Opierać się jej nie mógł...

Podniósł oczy i patrząc zdala na wesoły tłum
oblegający dworek..., wśród którego osób nie można
było rozcznać, ważył czy powinien zejść na wesele,
czy uciec od niego?

Lecz po co było uciekać? Wszakże zapomnia-
no tam o nim i nikomu serce się nie krajało z tę-
sknoty. Lenchen nauczyciela i towarzysza nie pa-
miętała weale... A on?... Miałże być słabszym od
nich i jak dziecko płakać straconej załawki?

Miał ważniejszy cel w życiu...

Tak myśląc Grześ powolnym krokiem zbliżać
się począł do dworów Balcerów, powtarzając sobie,
iż było cudem Bożym, zesłanie go w tym dniu i go-

dzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał . powołania usłuchać...

— Suknia kleszał cela klasztorna! samotne życie do zgonu to przeznaczenie moje.

Szedł coraz większego śmiałka udając ku dworcowi, a choć gorzko mu było w duszy, jakby piołunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

— Grać im będąc i śpiewać i śmiać się jakbym był najszczęśliwszym — mówił w duchu — inaczej po co iść do nich?

Do progu dworku trudno się było docisnąć, wielka część gości stała na ganku i w sieni, a ztąd widać było stoły zastawione, nawet na podwórku wewnętrznym, które oczyszczono i zielem pachnącem posypano. U progu stała muzyka przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale jej też nikt nie słuchał, bo podochoceni już goście nncili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostаточно z niemiecka był przyodziaany i pięknie wyglądał, nie poznawał nikt.

Patrzano na niego dorozumiewając się przybysza. Balcer, Balcerowa i panna młoda byli wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, jak obejrzała się przypadkiem, zobaczyła go, osłupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była.

Nadbiegła na brzęk i szczęk Balcerowa, nie wiedząc co się stało... i ta poznała zaraz Grzesia... Pobladała, zaniemiała, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy zbliżyła się do niego.

Strzemięńczyk tymczasem robił co mógł, aby twarz okazać wesołą.

Zrobiło się tak, iż nim mieszcza mogła się docisnąć do tego tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do

stołu na miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła. Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się pani młoda strwożyła. Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że na poły omdlała, matka i pan młody ledwie od upatku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie.

Cudownie była wdzięczną i śliczną jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, któremi okryta była, podniosły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych, wyróżniającą się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

Obok niej domyślił się Grześ w młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku, którego młodość i zdrowie, a jakaś dobrodusznosc twarzy wesołej i pocziwej, czyniły dosyć miłym, przyszedłgo męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Szlązku, którego Frączkiem po imieniu zwano.

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo. Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda zabobornie się wydawała przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek już wiódł przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z Grzesią wejrzeniem, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła do stojącego u progu, z tak przymuszonym uśmiechem jak córka.

Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

— Chodźcież bliżej—rzekła, wprowadzając go

do środka.—Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego..

Wiecież? myśmy tu was już za zginionego mieli. Chodziły wieści różne. Zapewniano nas, że nieszczęście was spotkało.

Lena nauczyciela swego oplakała. Wszak ci to pięć lat!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia, cały był jakby z łaźni, wyszedł czerwony i mokry, szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony jak inni.

Student tymczasem ze wszech sił swych starał się okazać bardzo wesołym. Śmiał się głośno umyślnie, żartować poczynął i udawał takiego lekkoducha włóczęgę, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo wesele po większej części się z Niemców składało, Grześ musiał ich języka nazywać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chcieli, gdy się Polakiem opowiadał.

— Co dziwnego—wołał do Niemców otaczających—byłbym niezdarą, gdybym pięć lat po Niemcach się włóczę, ich mowy sobie nie przyswoił.

Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie.

Nierychło po tych pierwszych szarniylach, ze drzwi Balcerowa podprowadziła Grzesia do pani młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma oddawna ściagała, a gdy podszedł, wyciągnęła rękę do niego, do męża się odzywając.

— To mój nauczyciel, o którym wam rozpowiadałam, patrzcie abyście sobie przyjaciółmi byli dobrymi.

Frączek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściśkać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem pocziwym i wyraził to z prosta, jak się cieszy, iż na weselu Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

— Bóg widzi—odezwał się Grześ, ciągle wesołość udając, że czyste losu zrządzenie mnie tu przyniosło, eudem prawie. Wszakże w ulicę wchodząc o weselu prawie nie wiedziałem, a Dryszek, którego wczoraj spotkałem na drodze, choćem go o państwa Balcerów pytał nie mi o tem nie wspomniał.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nieopodal, dobre dając mu miejsce, z którego się pani młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna, ale to wiadoma rzecz, iż męczątka na weselu swem zbytnej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało więc to nikogo. Frączek za to, jakby go na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, nalewał, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze garścią sypał do nastawionych kołpaczków.

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w nim kilku znajdowało. Ci dowiedziawszy się kto był Strzemińczyk i przypomniawszy co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przylgnęli. A że wina i miodu w bród było i w głosach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczyty, przypominano sobie śpiew Grzesia i głos jego.

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę. Cytra się znalazła pod ręką. wetknięto mu ją gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, pani młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom.

Nakazano milezenie trefnisiom i muzyce, a Grześ palcami po strunach przebiegając począł od niemieckiej piosenki.

Wybierał ją długo w myśli, bo miał z czego, nie chciał smutnej, nie mógł wesołej, zaśpiewał więc obojętną o siedmiu życzzeniach:

Hält ich siben Wunsch in meiner Gwalt...

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia, nawet dla

tych co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław, biegnąc bliżej, aby go lepiciej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, z takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli, osłupieli.

Nikt tu, jak żyw takiego śpiewu nie słyszał nigdy; wprawnego, śmiałego, długiem doświadczeniem uczynionego posłusznem narzędziem pana.

Pieśń nie zdawała się nie kosztować tego, co ją nucił, przychodziła mu łatwo, bez wysiłku, jak ptakowi na gałęzi.

Gdy skończył swych życzeń siedm, pomiędzy którymi była i miłość pięknej kobiety, ale wciśnięta między takie pospolite życia potrzeby, że jej tam wstyd mieścić się było, niewiele zważając na słowa, podziwiali wszyscy śpiew cudowny.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać. Nalegano na jedną z tych niemieckich pieśni miłosnych, któreby do śmiechu i do rumieńców pobudziły. Grześ uległ, ale wybrał skromną i smutną, śpiewał ją z oczyma spuszczone na cytrę i choć głos chwalo, żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta.

Oparł się temu.

— Wesołej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką... ale po łacinie. Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświeciły, usta gwałtem zmusiły do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął silnie i... silnym począł głosem:

Vinum bonum et suave,

Bonis bonum, pravis prave...

Cunctis dulcis sapor, ave!

Mundana laet tia!

Choć nie wszyscy rozumieli, wesoła, szalona nuta starczyła za słowa, wszyscy poczęli wtórować Grześowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy.

Wtem nagle, jakby wysiłek ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napelnięny wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniła się, udawaną radością się zadławił.

Poruszył się z ławy, chcąc wyniść, tłumacząc nużącą podróżą, skwarem i potrzebą spoczynku.

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił zdala wejrzeniem tęsknem ku pannie młodej, jakby ją żegnał, wmięszał w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiedziano kiedy wysliznął się z domku Balcarów.

Tymczasem wesele z muzyką i płasami, do białego dnia trwało.

V.

W tych czasach, gdy Grześ przybył do Krakowa, w młodej akademii stawiał się starszy od niego wiele, ale rozkwitający do życia Ambroży Boner.

W dwudziestu kilku latach zdobył sobie pierwszy laur akademicki i gdy inni rówieśnicy jego uczyli się jeszcze, on już pisał komentarze nad Piotrem Lombardem.

Dziecię zamożnej rodziny, mógł się spodziewać, okazawszy chęć obleczenia sukni zakonnej, najwyższych dostojenstw w kościele. Prorokowano mu nadzwyczajną przyszłość. Świecił jak dyament, nie tylko pomiędzy młodszymi, ale w gronie starych teologów.

Radzili się go doktorowie, podziwiali łatwość argumentowania, dyalektykę i styl piękny wszyscy owych czasów styliści.

Z nauką, młodością swą, stosunkami rodziny mógł sobie prędko obiecywać infułę, a nikt nie wątpił, że ona go czeka.

Lecz świętny ten początek całe co innego wróżył, dwudziestokilkuletni księżyna nagle zamknął się na Kazimierzu w klasztorze ks. Augustynów Eremitów, u św. Katarzyny, przywdział habit, odbył nowicyat i objawił niezłomną chęć poświęcenia reszty życia na chwałę Bogu i usługę biednych ludzi.

Cudowny młodzian, który w zakonie nosił imię Izajasz, stał się jednym z tych mnichów, jakich tylko stare dzieje pierwotnych wieków znały.

Posty, modlitwy, włosiennica, nocne nabożeństwa, odwiedzenie chorych, grzebanie umarłych, posługa ubogim pochłonęły całego. W chwilach odpoczynku zatapiał się w ascetycznych księgach. Z tego życia, którego celem było zapanowanie nad sobą i osiągnięcie chrześcijańskiej doskonałości, nie go wyrwać nie mogło.

Uczony młodzian, którego umysł bystry i erudycja cudownie nabyta, zawstydzali mądrych profesorów, posiwiących nad księgami, nie znalazł u Augustyanów ludzi, co by go ocenić umieli, przecież z pokorą wielką korzył się przed przełożonymi, rozumem i wolą. Był to wzór zakonnika i naówczas już widziano w nim za żywota ubłogosławionego.

Grześ w czasie pierwszego pobytu w Krakowie, gdy Izajasz zwał się Ambrożym i był jeszcze świeckim kapłanem, widywał go i miał u niego łaskę.

Boner cenił żywy umysł chłopaka, pojęcie łatwe i posługiwał się nim do przepisywania.

Od tego czasu lat upłynęło kilka, Bouer się zamknął w klasztorze.

Grześ powróciwszy nie słyszał o nim jeszcze,

choć w całym Krakowie na wzór świątobliwości go wskazywano.

Zaraz nazajutrz po weselu, gdy przechodził ulicą zadumany, ten traf, który w życiu Strzemińczyka grał tak opatrzną rolę, nastąpił mn... Izajasz, który od grobu świętego Stanisława do swego kłasztoru powracał. Miał on do świętego męczennika szczególne nabożeństwo.

Pod tą suknią nową nie byłby go Grześ poznał pewnie, zwłaszcza że i twarz, niedawno rumiana i świeża młodego Izajasza, umartwieniami, postem, dobrowolnemi męczeństwami nadzwyczaj zmiecioną była.

Blady z policzkami zapadłemi, w starym habicie wytartym, bosi, z nogami poranionemi, nie zwrócił nawet na siebie uwagi zamyślonego studenta, który pograżony był od wczora w smutnych jakichś dumaniach o przyszłości, walcząc z sobą i wahając się jeszcze co poczuć, ale Boner z tem jasnowidzeniem dusz wybranych, które szukają wszędzie boleści, aby ją pocieszać, wątpliwości, by ją rozjaśnić, przypomniał go sobie, wyczytał w twarzy jego utraćenie, przystąpił do niego i pozdrowił.

Grześ nie mógł go sobie przypomnieć. Głos i twarz były mu znane, ale człowiek wydawał się obcym.

Mnich położył mu rękę na ramieniu i uśmiechając się łagodnie, szepnął, iż był tym, dla którego on przepisywał niegdyś wyjątki Boecjusza.

Strzemińczyka teraz dopiero poznał go i zawołał zdziwiony.

— Ale cóż z wami się stało?... ta suknia?

— Dała mi spokój, dobiłem do portu... jestem szczęśliwym—rzekł nśmiechając się Boner. —Dwu panom służyć nie można, wybrałem więc tego, ku któremu wielka mnie miłość ciągnęła.. baranka skrąwionego na krzyżu...

Z zazdrością prawie i poszanowaniem skłonił przed nim głowę Grześ i westchnął.

— Widzę z tego oblicza smutnego—dodał ojciec

Izajasz — żęć... na rozdrożu, a w niepewności dusza twoja. Chodź ze mną, zwierż mi się, ażali nie przemówi przez niegodne usta Duch święty, może ci pociechę dam, a przynajmniej zaboję z tobą...

Szli tak razem ku klasztorowi św. Katarzyny na Kaźmierz, a Grześ powoli opowiadał o swych wędrówkach.

Choć się ze stanu duszy swej nie zwierzał przed Izajaszem, łatwo mu było z samej powieści go odgadnąć. Milczał mnich nie przerywając. Razem weszli do celi mnicha.

O. Izajasz z umysłu zajmował i wyprosił sobie najędźniejszą, ciemną, wilgotną, małą, a spojrzenie na nią malowało człowieka, który na świecie żył jeszcze, lecz nie dla świata.

Nie było tu ani łoża, ani pościeli, bo asceta sypiał kilka godzin za ledwie, krzyżem leżąc na podłodze.

W kącie stał klęcznik twardy, a około niego zaschłe krwi krople rozprysłe, świadczące o biczowaniu. Krzyż i trupia głowa koronowały go.

Było to schronienie męczennika.

Z wesołą twarzą wprowadziwszy go, mnich zwrócił się do Grzesia.

— Tu szczęście moje! — zawołał — nie ma go gdzie indziej!

Trwoga jakaś ogarniała studenta, który stał zaniemiał.

Mów jako przed bratem, co cię boli — dodał zakonnik.

— Znacie trochę żywota mojego — począł Grześ. — Uszedłem z domu rodzicielskiego dla nauki, bom do niej czuł popęd wielki, dla niej o głodzie i chłodzie włożyłem się po świecie. Nie jestem syty, nie wszystka nauka słodką mi się wydaje. Powróciłem w rozterce z sobą samym.

Mam-li wdziąć suknię duchowną, czy w życiu czynnem, do którego pochop też czuję, starać się służyć ludziom i Bogu?

Co czynić? co przedsiębrać? nie wiem. Świat mi się śmiecha jeszcze, nie mam siły się go wyrzec, a potęga jakaś z góry zdaje się mnie popychać na inną drogę.

Wy, ojczyźnie szczęśliwi jesteście, bo głos, który mówił do was, inne zagłuszył, a ja...

Izajasz słuchając go, stał z rękami złożonemi do modlitwy i zdawał się więcej może modlić, niż słuchać go, prosić o natchnienie z góry.

— Cóżś przyniósł z tej wędrowki po obczyźnie?— spytał łagodnie.

— Ten sam niepokój z jakim wyszedłem ztąd, wątpliwości niewielkie, niepewność wszystkiego, do czego się dobijałem tak usilnie. W tej mądrości ludzkiej, którą zdobyć pragnąłem, zaledwie kielich jej ust moich dotknął, ambrozja się w żółć zmieniła. Co zdala jaśniało im, zbliżka wydaje się nikczemnem. Gdzieś się spodziewałem ziarna, pustą znalazłem łupinę.

Izajasz milczał.

— Uczyć się pragnę zawsze, lecz są chwile, w których nauka wstrętną mi jest, bo ją czuję zawodną. Mam-li wdziąć suknię duchowną?

Mnich dumął, dał znak ręką i poszedł do klęcznika, padł na kolana, złożył dłonie, pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Grześ stał patrząc nań z podziwieniem i trwogą.

Na tej rozmowie z Bogiem Izajasz zdawał się o nim zapominać, nareszcie powstał z wolna... spojrzal na oczekującego miłosiernie.

— Nie śpiesz z tem — rzekł — co powinno być dziełem przekonania i natchnienia. Walczą w tobie nieukołysane żywioły, a walka ta, jak każda w życiu, może być płodną. Ale w tym ducha stanie do bożkich ołtarzy przybliżać się nie godzi. Pomnij, że pierwsi chrześcijanie katechumenami długo stać musieli po za zgromadzeniem wiernych, niż do agapów byli przypuszczeni.

Lepiej jest nie wchodzić tam, zkaąd wyjść się nie godzi, niż wnieść ze sobą nie już zgoršenje, ale wątpliwość. Wzrok twój mgła ziemská jeszcze zaciemnia, nie widzisz jasno. módl się i pracuj.

Gdy człowiek jest bezsilny, naówczas, na goðnego pomocy spływa łaska... z łaską spokój ducha, a z nią spadają z oczów łaski.

Nie, nie kwap się! — powtarzał Izajasz.

Grześ odetchnął swobodniej.

— Widzisz—dodał Boner—sam kapłan i zakonnik, nie ciągnę cię do tego, co dla mnie portem jest i szczęśliwością, albowiem wyznę się trzeba ze starego człowieka, aby nowym być, a w tobie kipi krew i bije serce.

— Skazany więc jestem—rzerwał Grześ smutnie.

— Na walkę, jak wszyscy ludzie—odparł Boner,—Jedni z nich przez klasztor idą do niego, inni przez świata drogi cierniste. I purpura bywa włosiennicą i korona cierniem bywa. Różnie powołuje Bóg i sobie służyć każe.

Jak mądre dziewice, czekaj z lampą zapaloną, patrząc aby ci ona nie zgasła.

Strzemińczyk zbliżył się wzruszony i w rękę go pocałował. Boner zamilkł.

— Pozostaniesz w Krakowie? — zapytał po chwili.

— Sprzykrzyły mi się wędrówki—odparł Grześ, chcę słuhać nauk w akademii naszej i jej służyć... Pozwolicie ojezc, abym w godzinach zwątpienia i ntrapienia o pociechę i pomoc was prosił?..

— Widzisz — rzekł Boner — żem sam pierwszy zwrócił się do was. Jako słuę wszystkim, tak i tobie radą a pocieszeniem chcę służyć. Idź z Bogiem w pokój.

Uściskał go zakonnik okazując mu jakby miłosierdzie wielkie, w czym Strzemińczyk, choć widział pewną pociechę, czuł też przypowiednię ciężkich walk, jakie go na świecie czekały, a które błogostawiony mnich przeczuwał wcześnić.

Pokrzepiony wszakże radą tą i umocniony w postanowieniu czekania, aby się powołanie do stanu duchownego silniej w niej objawiło, wyszedł Grześ z klasztoru i powrócił do miasta.

Zostawało mu wiele do czynienia, a naprzód samo opatrzenie mieszkania, gdyż ks. Wacławowi ciężarem być nie chciał.

W tych myślach na rynek krakowski wchodził, gdy jednego z współbiesiadników wczerajszych, dawniej też sobie znajomego syna kupieckiego, którego Gąską zwano, ujrzał w wesołym humorze kroczącego ku Sukiennicom

Poznał go zdala Gąska i stanął.

Z wczorajszego wesela i biesiady jeszcze mu coś dobrej myśli pozostało. Począł wabić ku sobie studenta.

Toście wczoraj nam z pola zbiegli niedotrzymawszy placu rzekł wesoło. — Szukano was nadaremnie.

— Ani się dziwiecie temu — odparł Grześ — com miał smutny i znużony robić między wesołymi?

— Bylibyśmy cię upoili i rezechocili?

— Albo ja was otrzeźwił i zasmucił. Trosk mam dosyć i do czynienia wiele.

— Ktoby temu wierzył! — rozśmiał się Gąska — albośmy to cię dawniej nie znali, żeście nmieli podobać wszystkiemu, tak i dziś. Nie darmo macie głowę na karku.

— I głowa nie pomoże wiele, gdyż rąk niema za co zaczepić — smutnie odezwał się Grześ.

— No, mówcież jaśniej, czem się tak frusujecie?

Strzemięńczyk z prawdziwej troski mu się spowiadać nie chciał, człowiek był nadto lekki, aby go zrozumiał, więc tłumacząc się od niechcenia, rzekł, że nawet gospody sobie nie znalazł jeszcze.

— Tak-żę mów przerwał Gąska i chodź ze mną. Wiecie lub nie, żeś po ojcn dom odziedziczył

przy Grodzkiej, żyję w nim sam z matką, izb dosyć próżno stoi. Wybierzcie sobie jaką zechcecie.

Najmiecie mi ją?

— Dam lub najmę, jak wola—odezwał się Gaska — Wiem to, że wy pisać musicie, a do pisania światła potrzeba, nad gankiem izdebka jest, wschody do niej nieosobliwe, ale nogi masz młode.

— Chodźmy—rzekł Grześ.

Tak się mieszkanie znalazło rychło. Komora była prawie próżna, a służyła dotąd tylko znajomym gościom do Krakowa przybywającym.

Gaska nie żądał za nią wiele i dodał śmiejąc się, iż Grześ za komorne czasem mu pieśń zaśpiewa.

Zeszli potem na dół do staruszki, matki Gaski, która w swej izbie siedziała, niebardzo się już poruszać mogąc, bo niemoc w nogach miała i z krzesła służby i gospodarstwa dozierała,

Pomimo wieku i osłabienia, babina wesołą była, nudziło się jej samej w domu z dziewczkami, syn rzadko przesiadywał, powitała nowego komornika bardzo rada, że ich w domu więcej będzie.

Strzemieńczyk też miał to szczęście, że się powierchownością niewiastom podobać umiał. Stara jejmość dla gościa i dla syna, chcąc ich zatrzymać dłużej, wina zagrzać kazała.

— Chwalić Boga, że was mój Maciek złapał—rzekła — w domu nas więcej będzie. Nie chce mu się żenić, choć go proszę i swatam; a ja stara już w domu podolać nie mogę. Pomożecie mi może, aby go do wesela namówić.

Tu babuś przerwała sobie.

— Nie napatrzyłeś tam kogo na weselu? — spytała i, nieczekając odpowiedzi, ciągnęła dalej. — On i tę, Leuchen Balcerów, gdyby był jeno chciał, byłby miał jak Bóg żyw, a dziewczę śliczne i wiano piękne.

— Ale! ale—przerwał Gaska—Balcerówniej dostać nie było łatwo. Prawda, że piękna i bogata,

ale za mąż iść wcale nie chciała, i rodzice ledwie ją na pół uprosili, wpół zmusili.

— Cóż to jej było w głowie? — spytała stara.

— Pewnie sobie rola panka. Wojewodzica czy kto ją wie kogo—mówił Gaska — A i to pewna, że choć mąż chłopak ładny i nieubogi i rodzina pocziwa, ledwie nieledwie ją matka skłoniła.

Staruszka kiwała głową.

— Drożyła się—wtrąciła—jak to one wszystkie; a takie małżeństwa przecie najlepsze bywają. Z wielkiej miłości zawczasu, potem tylko kwasy i swary.

Grześ, który słuchał z uwagą, tknięty tem, iż o Balcerównie powiadano, jakoby za mąż iść nie chciała, poruszył się ciekawie.

— A zkądże o Balcerównie wiecie, iż do ko-bierca ochoty nie miała?—zapytał.

— Całe miasto wie o tem — rzekł Gaska. — Osobliwa była dziewczyna, bo jej pan Bóg wszystko dał, a tak chodziła zawsze zateśkniona i smutna, jakby najniešťeśliwszą była. W końcu kumoszki matce otworzyły oczy, że ją koniecznie za mąż wydać trzeba.

— No, i dobrze ją wydali — odezwała się matka Gaski. — Mąż, chłop dorodny, dobry, stateczny i szpetny nie jest.

Słuchający syn, palcem się w czoło uderzył, babina to postrzegła.

— To co?—przerwała — albo ona za dwoje ro-
rumu nie ma. Wszyscy przecie o tem wiedzą, że ona na kobietę aż nadto oleju ma w głowie. Nie wiem czy nie kłamią, ale rozpowiadali, że pisać i czytać ktoś ją potajemnie nauczył.

Zarumienił się Grześ i spuścił oczy.

— A co jej potem — dodał Gaska — wołałaby żyć i kuchni pilnować.

Matka zaprzeczała temu. Strzemieńczyk się nie mięszał do rozmowy. Wtem gospodarz wstał i odezwał się.

— Nie pójdziecie dziś do Balcerów? Wesele trwa i pewnie jeszcze dni kilka się przeciągnie. Ja zajrzę też, chodźcie ze mną.

Zawahał się Grześ, ciągnęło go tam bardzo, obawa jakaś odpychała. Iść tam, aby mu serce bolało więcej? Nigdy on wprowadzić na wielkiej przyjaźni do swej uczennicy, nadziei żadnych nie pokładał; wiedział, że ubogie chłopie, choć szlachectwo jego coś ważyło, do zamożnej kupcowej nie mógł się posunąć, a jednak teraz, gdy ją widział zamężną, zazdrość i jakieś uczucie niewystawionej boleści serce mu uciskało.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gaska nalegać począł mocniej.

— Chodź ze mną. Wczoraj za wami tam wszyscy się oglądali, będą wam radzi.

— Wyście też byli na weselu?—zapytały stara.

— A jakże! — rzekł Gaska — Stary pono znamy Balcerów i bardzo go tam witali serdecznie.

Strzemińczyk z gorzkim uśmiechem zwrócił się do gospodyni.

— Tak—rzekł—gdym pauprem przybył do Krakowa lat temu już sporo, pierwsi mnie żywili Balcerowie.

Staruszka potrząsnęła głową. Gaska tymczasem za rękaw go ciągnął i nalegał.

Chodź ze mną.

Rozum iść nie kazał, a słabość ludzka ciągnęła. Grześ w końcu dał się skusić.

Dnia tego wprowadzić już wczorajszego ścisłu i tłumu nie było, ale wewnątrz dworek pełnienteńki, i muzyka i ochota a okrzyki około stołów, z których miski i dzbany nie schodziły.

W progu ich powitała Balcerowa z twarzą zmęczoną i posępną.

Grześ wsunął się nieznacznie szukając pani młodej oczyma. Siedziała sama otoczona męczatkami, a mąż jej wesół w drugim końcu izby poił gości.

Żona, jak matka, zdawała się znużoną, bladą była jak wczoraj, i roztargnionym wzrokiem toczyła po izbie, gdy niespodzianie Grześ się jej nastreczył.

Lekki rmmieniec okrył jej twarzyczkę, i jakby się lękała, aby gość ten jej nie uszedł jak wczoraj, wstała żywo, śmiało się zbliżając ku niemu.

Uśmieszek zjawił się na jej ustach.

Strzemieńczyk widząc ją wprost idącą ku sobie, musiał też naprzeciw niej kilka zrobić kroków. Goście weselni, których pełno było, podwieszeni, mało na co zważali, tak byli sobą zajęci. Wśród nich więc mogli tak swobodnie rozmawiać, jakby się na osobności znajdowali.

— Długo, długo was w Krakowie nie było — poczęła cichym głosem Lena. — Wam w podróży czas biegł pewnie prędko, nam tutaj powoli. No, i wy mnie porzuciliście dzieckiem, a znaleźli w czepcu.

Westchnęła. Grześ się silił na wesołość.

— W sam czas przybyłem — rzekł — aby wam powinszować.

— Nie wiem czy jest czego — przerwała — bo mnie się iść za mąż serdecznie nie chciało. Ale ojciec kazał, matka prosiła i płakała.

Spuściła oczy, jakby je ukryć chciała.

Zostaniesz w Krakowie? — spytała.

— Muszę — rzekł Grześ — powróciłem jak wyszedłem z sakwy próżnemi, pracować potrzeba, a między swemi jakoś lżej i ochotniej.

Oczy Leny podniosły się teraz i długo uparcie wlepione pozostały w Grzesin. Zdawała się porównywać żywego z tym, który został w jej pamięci.

— Nie zapominajcież o nas — odezwał się spokojnie — gdyście Bogu dzięki wrócili. Stara przyjaźń nie powinna umierać.

— Wdzięczność tem bardziej — przerwał Grześ. — U waszego progu pierwszy znalazłem chleba kawałek i miłosierdną rękę.

Na tę rozinową poczetą ledwie, młody mąż Bal-

cerównej nadszedł, szukając jej niespokojny, wesołą twarzą witając wczorajszego gościa. Z drugiej strony przysunęła się matka, a tuż i niektórzy z gości, przypomniawszy śpiew Grzesia, targać go zaczęli, znowu się o pieśni dopominając.

Dlaczego Strzemięczyk znalazł się teraz usposobionym lepiej i prosić się nie dając, wziął cytrę, sam on pono nie wiedział. Kołem otoczyli go wszyscy, cicho się w izbie zrobiło i miłosna pieśń stara niemiecka zabrzmiała. Grześ wprawdzie zdawał się na struny cytry patrzeć tylko, lecz ukradkiem wzrok jego biegał po izbie.

Smutek ranny, niepokój i zwątpienie, które go do celi Izajaszki zawiodło, wszystko, co od niego słyszał, zapomniane zostało. Świat mu się wydał nie tak czarny, życie w nim nie tak utrapione, przyśłość nie tak groźna.

Mógł zdaleka patrzeć choć na cudze szczęście. Nie sami źli ludzie byli dokoła. Śpiew przynosił pociechę, a grzechem być nie mógł.

Czemu nie miał pozostać takim śpiewakiem ptaszyną, co nucąc drugim i sobie żywot osładza?

W tych myślach dokończył piosenki, i natychmiast drugą rozpoczął. Cały teraz był znów, jak nieraz w chwilach niedoli wędrownego życia, w pieśni, która go przenosiła jakby gdzie wyżej i dalej, a nie dała boleć nad tem, co było blisko.

Cudowna moc poezji i muzyki upaja jego samego powoli, a siła jej też ze śpiewaka promieniąc, owładывała wszystkiemi.

Kobiety miały na oczach łzy, mężczyźni dumali, wzdychali starzy, rozmarzali się młodszy, on zapominał. Stąpano coraz ostrożniej, szeptało coraz ciszej, i gdy on nareszcie zamilkł, długo jeszcze czekali, czy nie rozpocznie na nowo.

Wtem pani młoda, która z innemi razem zasłuchiwała się w pieśniach, jakby rozbudzona, poszła do

stołu, naląła kubek i przyniosła zadumanemu śpiewakowi.

Grześ się porwał.

— Za zdrowie wasze! za szczęście! — zawołał głośno, ale ze drżeniem jakimś.

Obstąpili go wszyscy, rozmowa na chwilę przerwana, stała się gwarną, a student korzystając z nowego napływu gości, wysunął się do nowego swojego mieszkania.

W kilka dni potem był już obeznany ze wszystkimi i oswojony ze swem położeniem. Na tulaństwie wielu rzeczy liznął i zakosztował, do wielu skarbnic zajrzał, nie miał czasu nigdzie czerpać do dna. Wszystkie strony słabe nauczania i nauki bystry wzrok jego pochwycił, a poważnych zaniedbał. Potrzeba było czas niestracony, ale dopiero teraz mający się na korzyść obrócić, spożytkować, biorąc się do studyów gorliwie. Wiedział już Grześ, że łupin znajdzie wiele, że powłoki mu zacieżą, formy zużują, wywody zdadzą się niepożyteczne i długie, lecz rozumiał i to, że wykłady nie dla samych bystrych i pojętnych przeznaczone były, ale też dla nierozbudzonych i leniwych, którzy nie o własnej sile nie mogli zdobyć, a wedle wyrażenia gwinnego, wszystko im łopata w głowę kłaść było potrzeba.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszków, za protekcją kanonika Wacława, nie trudno było przyjętym zostać na słuchacza w kolegium mniejszem, które sam wybrał sobie.

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegia, i akademia rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy jeżeli głodem nie marli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom. W kolegium większem i najstarszem, na stół (*mensa vere philosophica*), któ-

rym się tylko filozofowie mogli zaspokajać, zbierano co tydzień grosz wdowi. Jadano razem i wesołość, a chrześcijańska wstrzeźliwość stanowiły potraw ubogich przyprawę.

Mieszkali tu sami teologowie i filozofowie, a życie było istotnie klasztorne i reguła surowa...

Kollegium mniejsze, w którym Grześ miał słuchać nauk, założone i wyposażone przez dobroczynnych ludzi, mieściło się w skromniejszym, drewnianym budynku, było uboższe jeszcze, ale życie w niem mnożyło się i rosło. Miłość nauki je ogrzewała i karmiła. Tu więcej przeważnie zajmowano się poezją, retoryką, gramatyką... wymowy profesorów płacił zapis Nowkona, astronoma Stobnera, a poetę Meżykowa wojewodzina ruska. Inni profesorowie żyli prawdziwie łaską Bożą i manną niebieską. Nikomu to wówczas nie zdawało się ani dziwnem, ani uwłaczającym, owszem znajdowano, że zgodnie z powołaniem swem filozofowie i poeci, którym marność świata tego były obojętne, zatopieni w kontemplacyi piękna i prawdy, łatwiej od innych bez chleba i dostatków obejść się mogli.

Było to logicznem, licowało z pojęciami wieku i nie odstręczało wcale od nauki i poświęcenia się jej całkowitego.

Grześ nie potrzebował wkupić się do gromadki studenckiej, która go znała i wiedziała, że wielekroć wprzód Beanusa z niego otrząśnięto, rogi mu opito wano, myto, golono i uczono *participiów* szczypa-niem.

Tylko się bez uczty, *propiny*, nie obeszło, na którą Strzemińczyk zaprosił współtowarzyszów... i sam smutny dosyć, wesołością się ich cieszył. Położenie jego było zupełnie odrębne i wyjątkowe. Umiał więcej od wszystkich współuczniów, a równie może z wielu profesorami; nauka jego, pochwytała łatwo na rozdrożach, szerzej sięgała, uż szczerze zakresy programów ówczesnych, lecz jak w sakwach

ego podróży leżał Virgiliusz obok Staciusza i Plaut z Gualterem de Vino Salvo, tak i w głowie młodej zapasy nie były uporządkowane.

Współuczniowie profesorowie zarówno byli przybysza ciekawi, lecz Grześ w początku, z wyjątkiem kanonika Wacława nie otwierał się nikomu. Chodził pilno do lektoryów, słuchał uważnie, a gdy stawało czasu, zbiegał i do collegium większego, wciskając się między teologów, i do collegium lekarskiego na ulicę Kanonną.

Z tego, co się w jego umyśle działo, z procesu ducha, który potrzebował ovladnąć sobą i przyjąć do równowagi nie spowiadał się nikomu.

Im więcej trapiły go wątpliwości, im mniej był zaspokojony pokarmem duchownym, jaki mu z katedry podawano, tem uparciej mileżał i z poszanowaniem przyjmował, co było na dziennym porządku.

W oczach jego tylko baczniejszy postrzegacz mógłby był pochwycić coś jak ironię i zdumienie, jak rozczarowanie i czasem zwątpienie.

Niektórzy z nauczycieli bystrzejsi, zdawali się przeczuwać w nim sceptycyzm i krytykę, lecz nie wydał się przed nimi.

Składało się zresztą wszystko pomyślnie dla niego, nauka nie wymagała zbyt wiele czasu, bo był do niej przygotowanym, resztę więc poświęcić mógł przepisywaniu, które się opłacało, a znużony grał i śpiewał sobie lub drugim.

Śpiew był dla niego jakby napojem Letejskim, zapominał nucąc o tem, co mu ciążyło, w świecie poezyi chmury zwątpień znikwały przy jej słońcu.

Rozweselał się czasem aż do młodzieńczego szału, który trwał u niego niedługo. Jedno nie czyniło go poważnym i chłodnym.

Zapraszany do zamożnych mieszczańskich domów, ugaszczany dla głosu tego, ulubieniec kobiet, bo piękność jego zyskiwała mu serca równie jak talent.

Grześ czasem dawał się wciągać między ludzi, a niekiedy zamykał i dziczał.

Pomimo zapraszań swej dawnej uczennicy Leny i jej męża, Strzemieńczyk widocznie domu ich unikał i wyraźne chyba wezwanie, na chwilę go tam sprowadzało.

W kilka miesięcy po przybyciu do Krakowa, dnia jednego wychodząc z kościoła, w którym na chórze śpiewał, spotkał grześ u drzwi otającą i jakby oczekującą na kogoś starą Balcerową. Byłby ją pominął skłoniwszy się, bo mu pilno było, ale go sama zatrzymała.

— Patrzajcie niewdzięcznika!—odezwała się do niego—żebyś to choć zajrzał do nas?

Grześ ruszył ramionami.

— Roboty mam siła—rzekł chłodno.

— Nie plótlbyś, kiedy wiem, że u innych gościś, u Keczerów i Sowki godzinami siadujesz? Córka i zięć prosili cię, ja także, i doprosić trudno. Masz co do nas?

— Uchowaj Boże—zawołał Strzemieńczyk zmieszany.—Byliście dla mnie jakby rodzice drudzy, sercem zachował wdzięczne.

— A okazać nam tego nie chcesz?

Grześ głowę spuścił. Przyparto go do ściany, zamyślił się i podniósłszy oczy, śmiało spojrzął na Balcerowę.

— Byliście mi matką—rzekł poruszony—nie dla was tajnego mieć nie chcę. Nie przychodzę do was aby sobie serca i Lenie nie rozraniać, alboż nie wiecie, żem ją kochał i kocham? Trudno miłość utaić, a ludzie są źli...

Balcerowa trochę się zmieszwała.

— Kochaliście się dziećmi—rzekła powolnie i niewyraźnie—no, to cóż? została przejaźń. Lena za wami tęskni... ciągle was wygląda, przypomina i widzieć żąda. Bez złej myśli, jako przyjaciel i brat, czemubyście przyjść nie mogli?

Zatrzymała się trochę stara i dodała głosem cichszym jeszcze.

— Choruje, Bóg widzi z tęsknoty za wami. Nie dziwaczcie.

Grześ jeszcze chciał coś mówić, ale stara go za rękę pochwyciła i dodała żywo:

— Przyjdźcie a prędko. Powinniście.

Grześ stał chwilę jak upojony, i zebrawszy myśli nierychło, z głową zwieszoną do domu się powlókł.

Tego dnia jednak do Balcerów nie przyszedł. Nazajutrz w biały dzień, bo mu się to właściwsem zdało, zjawił się we dworku.

Zastał Lenę z matką, starego Balcera i męża nie było. Zobaczywszy go stara, aż do progu podszła witać i usadowiwszy przy córce, sama z izby się wysunęła.

Z początku słowa do siebie przemówić nie mogli.

— Któraż was mieszcza oczarowała, tak, że już o nas zapomnieliście?—odezwała się Lena.

— Bóg widzi, żem na te czary zbrojny, i przystępu one do mnie nie mają — odparł Grześ. — Albo w kolegium siedzę lub w domu, rzadko mnie wyciągną z niego.

Lena poczęła mu patrzeć w oczy.

— Czy dlatego, żem za mąż poszła —dodała—nie chcecie mnie znać? Ależ was pięć lat nie było i o was ani słuchu, ojciec naglił, matka prosiła, opierałam się długo... wreszcie musiałam dla nich do ołtarza iść.

— Albożem ja mógł mieć jaką nadzieję?—przerwał Grześ smutnie.—Dlatego właśnie zeszedł wam z oczów, że jej nie miałem. Chcę widzieć was szczęśliwą i dla tego smutnej twarzy mojej tu nie przynoszę.

— Oh!—zawołała Lena — a ona przecie jedna rozweseliłby mnie mogła. Dopóki was tu nie było, choć tęskniłam, alem znosiła lżej samotność, teraz gdy o was wiem, słyszę, tom zazdrosna.

Jam przy was wzrosła i żyć poczęła.

Głos jej drżał.

— Szczęśliwe to były czasy — rzekł student — a co dawniej było wolno, dziś wzbronione...

— Nie chcę o tem wiedzieć — przerwała kobieta gorąco — jakośmy byli tak być powinniśmy! Chcecie chyba, abym wam w oczach zmarniała?...

— A Frączek co powie? — zagadnął Grześ.

— Frączek? — z lekceważeniem dodała Lena — to tylko powiedzieć może, co ja mu pozwolę! Ani się go boję, ani się przed nim kryć myślę. Wie on dobrze, żeśmy przyjaciółmi byli i musi was za mego przyjaciela przyjąć!

Ja was widywać chcę i przychodzić musicie do mnie!

Rozkaz był stanowczy...

— A ludzie? — szepnął Grześ.

— Co mi do ludzi, a im do nas! — odparła Lena.

Nadeszła na to Balcerowa na misce niosąc wino i owoce, aby gościa jaknajdłużej zatrzymała. Pod ręką trzymała cytrę, która też miała swe znaczenie.

— No, proszę dobrej myśli być, abyście mi Lenę rozweselili — rzekła. — Pij, zakąsuj i śpiewaj. Będziemy was we dwie słuchały.

Strzemieńczyk dłużej już nie walczył z sobą i nie opierał się. W istocie myśl dobra przyszła i śmiech na usta, proszony czy dobrowolny, poznać było trudno. Lenie też twarzyczka się zmieniła, pojaśniały oczy, zarumieniło lice, dziewczęcy humor, dawno nie widziany, powrócił. Z tej zmiany Balcerowa tak się czuła szczęśliwą, tak wdzięczną, że po pierwszej piosence pocałowała w czoło zawstydzonego Grzesia, a potem córkę.

Zapomniała o wszystkim zobaczywszy ją na chwilę szczęśliwą, odmłodzoną, taką jaką oddawna nie była.

Od tego dnia Strzemieńczyk się nie mógł już obronić zaproszeniom do Balcerów i w końcu się im nie

opierał. Przychodziła po niego Balcerowa, czasem otyły kupiec przez nią wysłany, a nawet Frączek, który najnatarczywiej właśnie nalegał i tak był zawsze wesół, a wcale niezazdrosny, iż Grzesia zupełnie ośmielił.

Młode mieszczyki wprawdzie mówiły o tem dużo, śmiano się z Frączka, szeptano i zazdroszczono Le-nie śpiewaka, ale głośniejszy nikt nie ośmielił się złe-go rzec słowa.

Obyczaje tamtych czasów, wiele swobodniejsze, dopuszczały w stosunkach poufałości większych, nie biorąc ich za złe. Grześ zresztą jako śpiewak wszędzie chwytny i pożądanym, miłością muzyki się tłumaczył. Ciągnęli go i panowie i duchowni do chórn, a nawet na dwór królewski go ściągano.

Wśród współuczniów i kolegium swem, Strze-mieńczyk, jakeśmy mówili, stanowisko sobie zdobył odrębne. Jeżeli spór i trudność jaka zachodziła, o których rozstrzygać było potrzeba, rzadko się obe-szło, aby go starsi nie zapytali o zdanie. Grześ wstrzymywał się od zbyt rzeźkiego sądu, starał się pojednawczo występować, chociaż ludzie o ironię go posądzali.

Usta mu się czasem ściągają jakby do śmiechu, który hamował.

W wielu przedmiotach nienka udawał, ażeby sporu uniknąć.

Po dwu latach już mu bakalaureat przepowia-dano rychło, ale on zdobyć go nie śpieszył.

Postarzały ks. Wacław zajmował się nim szczegó-lnie i ciągle nakłaniał, aby kleszą suknię, którą już nosić musiał jako student, na duchowną zamienić.

— Nie nagliście ojeze—odpowiadał Grześ.—Sam ja wiem i czuję, że ją wdziać muszę, ale zawczasu nie chcę, aby mi młodych ramion nie paliła. Baka-larstwa też dobijać się nie śpieszę, dopóki nie zba-dam wszystkiego, nie wysłucham do końca i nie nzbroję się w męstwo wielkie.

Kanonik patrzył ciekawie, nie spełna rozumiejąc.

— Od wielu bakalarzy i mistrzów umiesz więcej—rzekł—a zdaje się jakbyś z nauką tał się i zachajał. Przecz to czynisz.

— Boć i obóz, do którego żołnierz się wpisuje—rzekł Grześ śmielej—i nieprzyjaciela, z którym się walczyć ma, dobrze poznać trzeba, nim się wyda wojna?

— Wojna? komu?—zapytał ks. Wacław.

Strzemińczyk się zawahał.

— Kto wie z kim wojować przyjdzie? może właśnie z tymi, których ręce żywiły... i którym wdzięczność należy.

— Nie rozumiem—odparł staruszek.

Wszakci — dodał Grześ — bakalarstwo jest ślubem i przysięgą prawdzie, której sprawy bronić przeciw wszystkiemu jest obowiązkiem?

Kogo tym laurem uświęca, ten jak rycerz prawdzie służyć musi. choć przeciw rodzonemu?

— Nie rozumiem! — powtórzył kanonik. — Są między nami prawdy nieprzyjaciele?

Uśmiechnął się Grześ.

— Są może tacy co sądząc, że jej służą, męczą ją i katują — zawołał. — Sądziecie ojcze, że nauczanie u nas takim jest jakby być powinno? że ci co oczy otwierają drugim, sami widzą?.. że nie nie potrzeba naprawiać, nie burzyć, i z żadną nieświadomością a przesądem walczyć?

Staruszek podniósł głowę i widać było, że się uląkł.

— A któż mówi ci, że ty jeden widzisz od wszystkich lepiej? i że burząc z gruzów potrafisz odbudować gmach nowy?..

Pomnij na to, że pod dziurawym dachem lepiej czas słoty mieszkają, niż nie mieć żadnego. Cóż, gdy przed burzą dom wywrócisz?

Grześ stał zadumany gzyząc usta.

— Dlatego też sięgnąć po bakalarstwo nie śpieszę, ojcze mój.

Mylić się mogę, zataić w sobie wątpliwość sumienia nie dozwala. Naówczas walka rozpoczęta posłuży na to, aby prawda zwyciężyła. Unikać jej grzechemby było.

Ks Wacław zamilkł, zwieszając głowę na piersi.

— Czyń więc—rzekł—jako cię natchnie Duch boży, a com naglił do pośpiechu, mówię ci teraz, rozmyślaj i rozważ nim rozpocznieś bój, bo w gmachy światła i pokoju wnieść pochodnię wojny, odpowiedzialność wielka.

Grześ w rękę go, pochyliwszy się, pocałował i zamilkł, tak jak był zwykł dotąd milczeć wyzywany. aby myśli swych nie zdradzić.

I stał znowu posepny a uważny na każde słowo w lektoryach i gorliwiej niż kiedy uczęszczał na wykłady, a pytany odpowiadał chłodno i niejasno, jakby siebie niepewnym był.

— Zagadkowy człowiek!—mówili starzy profesorowie.

VI.

Tak biegły lata, nadszedł wreszcie r. 1433, który w życiu Strzemieńczyka miał być taką chwilą przełomu, co jedną epokę zamyka, a drugą otwiera.

Sięgnął po dawno mu należny laur akademicki, po który schylić się tylko potrzebował. Wszyscy wiedzieli, że otrzymać go był godnym, a jednak dysputa

stanowcza, w której pokonał wszystkich swych przeciwników, napełniła ich zdumieniem, wprawiła niemal w osłupienie. Młodzieniec ten milczący, pokorny, skromny, nagle zmienił się im w oczach, w zuchwałego, wymownego, pewnego siły swej człowieka.

Przy rozprawach okazał taką umysłu dojrzałość, uczoność i samoistność przekonań, tak nowe i śmiało rzucał zdania, że ludzi trwożliwych, szanujących tradycje, napełnił niewymowną trwogą.

Wybuchło to nagle jak lawa z wulkanu, która się w łonie jego oddawna zbierała.

Spodziewano się zawsze po nim wiele, ale nie tego nowatora, jakim się im teraz objawił.

Od lat dwóch pozyskał już był sobie sławę z pracowitości i erudycji, był wyrocznią w kwestiach piśmiennictwa starożytnego, lecz nie wynosił się z tego i pytany, odpowiadał treściwie i skromnie.

Wiedziano, że wiersz łaciński płynął mu z pod pióra, jakby go nie kosztował, że wyzwany mówił wytwornie i z łatwością, a pisarzy łacińskich nie tylko znał dobrze, ale ich prawie na pamięć umiał wszystkich.

Trafiło się dawniej, że wstrzemięźliwy w mowie i skromny, czasem jakby mimowoli strzelił sarkazmem, rzucił słowo obosieczne, dowcipnym sądem rozstrzygnął zawile zadanie, ale natychmiast hamował się i w ostrożnem zamykał milczeniu.

Nikt wielkiej myśli nie miał jak on w krótkich pomieszczeniach wyrazach. Słowa jego były jak cięcia szabli ostre i zabijające.

Ale dotąd nie szafował niemi.

Starsi, chociaż był dla nich z poszanowaniem, przeczuwali w nim wroga i patrzeli nań z obawą, która się teraz usprawiedliwiła.

Laur akademicki uczynił go nowym człowiekiem, spadły zasłony, odkrył się cały, jakim był. Wyglądał jak wyzwoleniec rzymski, gdy z niego zrzucano kajdany.

Wzrok, postawa, mowa, wszystko w nim było odmienne. Wczoraj jeszcze nieśmiały i zamknięty w sobie, pokornie sądzący *in Verba magistri*, teraz z dziwną stanowczością mówił z siebie, nie oglądając się na nic.

Zwykła *wesola biesiada*, na którą młody bakałarz mistrzów swych zaprosił, dała miarę tego czem być miał nowy profesor poetyki w kollegium mniejszem.

Przy miodzie i winie, które starym kollegiatom usta otworzyły, rozmowa wszczęła się żywą i poufną.

Spodziewano się, że wedle modły przyjętej wyklądać będzie jednego z tych poetów, którzy w średnich wiekach niezasłużoną wziętość mieli, Statiusa lub Alana *de planctu naturae*, opierając się na silnej podstawie gramatyki Aleksandra i Prisciana.

Na wspomnienie o gramatyce zaczął się Grześ uśmiechać.

— Nie godzi się nią pogardzać — odezwał się wesół — ma i ona swą wagę a dobrą stronę, ale nią samą nauki języka ograniczać nie można.

Cobyśmy powiedzieli o człowieku, który bramę do miasta mając otwartą, drapałby się do niego przez mur wysoki? Zaprawdę gramatyka tym murem bywa, gdy poeci i pisarze są drzwiami. Przez nich do wnętrza mowy wnijść łatwiej.

Starzy pedagogowie spoglądali po sobie. Strzemieńczyk mówił dalej.

— Z poetów też wybierać potrzeba takich, co w czasach gdy naród żył, śpiewali, a nie pogrobowych lub tych, co łaciny się uczyli, gdy Latium i Romy nie stało.

— Więc kogo? — spytał nieco obrażony stary profesor, który słuchając usta wydymał.

— Niech na to odpowiedzą dzieje nie ja — odezwał się Grześ. — Złotego wieku Augusta poeci są najpiękniejszą literatury ozdobą; dalej gdy państwo za cesarów pod ich purpurą krwawą chyli się do upadku... z obyczajami języka się psuje. Jak w chorym

człowieku ciało się wydyma, żółknie i marszczy, tak w chorym narodzie mowa się staje zgrzybiałą.

Potrząsano głowami, ale nikt zaprzeczać nie śmiał.

— Pytam—odezwał się po chwili stary—kogóż weźmiesz do wykładu?

Grześ milczał trochę, jakby nie namyślał się, ale ciekawość chciał tem większą rozbudzić. Oglądał się i nśmiechał.

— Jak myślicie?—zapytał.

— Widzimy już—wtrącił drugi z panów kollegiatów—że was, mości Grzegorzu, odgadnąć trudno. Pragniecie nowości i one wam smakuja.

— Zaprawdę! pragnę ich tak, jak nowych butów, gdy stare chodaki nogi cisnęły i podarły się na nich—odparł Strzemińczyk—nowość ma to do siebie, że umysły rozbudza i nęci. i to coś warto. Cóż dopiero, gdy jest prawdziwie piękną i pociągającą?

Możeż piękniejszym językiem, wierszem dźwięczniejszym pisać kto, a raczej śpiewać, nad czarodzieja Vergila?

Szmer powitał to imię znane, lecz w szkołach nieupowszechnione. Nie czytano w nich ani Sielank, ni Georgik, ani się ważono pokusić o Eneidę.

Starsi ramionami ruszyli. Czytać Vergila? to była zuchwałość niesłychana. Nowy bakałarz miał się naprawdę porwać na tego puęć? Niedowierzano.

Starym wygodniej było powtarzać to, co słyszeli, nie łamać sobie głowy nad trudnościami nowego wykładu.

— Od Eklog rozpocznę — odezwał się Grześ śmiało. — Eklogi i Georgiki w kraju rolniczym jak nasz, łatwe będą do pojęcia i umiłowania. U nas też wieś i rola życie stanowią.

Przez poezję tę trafię do gramatyki i obojga zrozumienie ułatwię.

W pierwszej chwili, przy biesiadzie wzięto oświadczenie za przechwałkę. Za plecami Grzesia

starsi ramionami ruszając, wiary nie dawali jego obietnicom.

Lecz nie w tym jednym przedmiocie, czasu pamiętnej wesołej biesiady. Strzemieńczyk zdumiał zuchwalstwem swem siwowłosych mistrzów.

Pomimo lat wielu nauki, które go ukołysać i obuzdać były powinny, świeżo uwieńczony baka-larz zdawał się młodo i nazbyt gorąco zapatrywać na wszystko, za mało okazywać poszanowania dla tych zasad i pewników, które miano za niewzruszone.

Wszczęła się u drugiego stoła dysputa filozoficz-na, w której dwaj przeciwnicy zapuściwszy się w scho-lastyczne formuły, poczęli sobie docinać boleśnie.

Szło o dystynkcyę tak subtelne, o definicyę tak wyrafinowaną, o jakąś naturę, istotę, byt, schwycone w chmurach nie w rzeczywistości, że spór rozstrzy-gniętym być nie mógł, bo był logomachią, któremu brakło rzeczywistej faktów podstawy.

Zamilkli wszyscy, podziwiając nieporównaną dyalektykę dwóch filozofów teologów.

Grześ także słuchał, ale z szyderskim na ustach uśmiechem, jak tę niezwykłej wagi kwestę miał za spór *de lana caprina*.

Nie śmiał głośno wyrazić zdania swojego o przedmiocie, dla którego samo nieposzanowanie mogło być za herezyą poczytanem, ale twarz i rysy jego zdradzały, że mu się śmiać chciało.

Stojący przy nim młodzian trącił go, ciekaw będąc czyją weźmie stronę. Zapytał go o to. Grześ ramionami poruszył, schylił mu się do ucha i szepnął po łacinie.

— *Vigilantum somnia!* Sny na jawie! Omac-kiem szukają Prawdy —dodał. — W tych subtelnych myśli wywodach, jak pajęczyna cienkich i kruchych, nie ma nic tylko to, co z siebie owe uczone pająki wysnuły.

Nie patrzą oni na człowieka, ani na naturę, roją i marzą.

Naukę ja inaczej rozumiem; potrzebuje ona podstawy doświadczeń i zbierania ich. Dopiero gdy ludzie nagromadzą dosyć danych, coś z nich na pozyskanie wyciągnąć będzie można. Wiemyż my co? zdobyliśmy sami choćby ziarno. Nawet z tych pichlerzów starych, które Grecy i Rzymianie nasypywali, myśmy zapasu gotowego nie wyczerpali. Bawim się nie uczymy!

Młody słuchacz, może nie dobrze rozumiejąc całe zuchwałstwo tych twierdzeń, na ów czas zbyt śmiały, milczał niemal osłupiony.

— Czegóż i jak uczyć się waszem zdaniem potrzeba?— spytał nieśmiało.

— Wszystkiego co nas otacza— rzekł Grześ. — Żyjemy zamknięci w świecie bajecznym, któryśmy sami stworzyli sobie, gardząc naturą i tem, co onaby nam łatwe dać mogła. Od mrówki do wielbłąda, wszystko to są przedmioty dla nauki. A i ten świat starożytny, co nas poprzedził, przysypany gruzami, któreby odgarnąć potrzeba.

Wszystko co dnia tego mówił bakałarz młody, tak nie licowało z tem, co zwykle było w obiegu, iż po części na upojenie przy biesiadzie dziwne jego zdania składano, a niektórzy brali je za trefne żarty.

Jeden ze starych mistrzów, który mistrza Wincentego (Kadłubka) czytał, począł się rozwodzić nad pięknością tej kroniki, błogosławionego i świętobliwego męża skreślonej ręką.

— Mąż świętobliwym był i przed jego pokorą zakonną a cnotą uchylić potrzeba czoło — odezwał się Grześ — ale kronika, widzi mi się, do wykładu w szkołach niebardzo się nadała.

Zmarszczyły się czoła, podniosły ręce. Napaść ta na czczonego mistrza wydała się targnięciem na sławę narodu i niemal zbrodnią.

— Łacina w kronice— rzekł Grześ — wzorową nie jest, styl napuszony, retoryka to nie dzieje. Gorzej zaś nad to, że ucząc historyi tej, bajek uczymy, które jawnie są zmyśleniem, ho rachuby czasu łamią.

„To co mistrz Wincenty w historyi swej pisze o początkach narodu naszego, nie tylko bajecznem jest, ale poczwarnem. Wywodzi starożytne pochodzenie nasze od potopu, mieni nas być Scytami, którym Aleksander Wielki wojnę wydawał, a rzymskiego Graeccha chce mieć u nas grodu założycielem, mierzając o powinowactwie z ubóstwionym Julinszem, co ani z miejscem, ani z czasem, ani z rzeczami dokonanemi przez Rzymian i Aleksandra się nie godzi, a podobniejsze do babskich bajek przy kądzieli“ *).

Poruszył ramionami.

Nastąpiło milczenie groźne niemal. Sam bakałarz zmiarkował, że na początek zaszedł zadaleko.

Staruszek ks. Wacław tuż siedzący, podniósł głowę sędziwą

— Wszystko to dobre jako igraszka — rzekł — lecz sądząc zbyt surowo, na wiele się oglądać należy. Nauczywszy się obalać i burzyć, przeczyć i negować, dojdziemy do tego, że będzie *tobula rasa*, nie pozostanie nic, oprócz uczucia nieświadomości i nicestwa.

Młodym jesteś — dodał. — Nanki te, których treść ci się zdaje ułomną i jest nią może, są to przecie narzędzia, które umysły rozwijają, są to bodźce, co dają życie. A nauczysz się kto bajki, jeśli razem posiadasz rozum i bystrość, z fałszu się łatwo otrząsie.

Grześ nie odpowiedział. Starsi mistrzowie głośno ks. Wacławowi potakiwali. Jemu żal się zrobiło młodzieńca i wnet się poprawił.

— Radhym od niepomiernego burzenia was powstrzymać — rzekł — ale tej żywości umysłu, jakiej dajecie dowody nie powściągać. Chwalebna to kuś się o zdobycie prawdy... jak Tytani do niebios szturmowali, więc — tu podniósł kielich w górę —

*) Dosłownie z życia Grzegorza, przez Kallimacha.
Przyp. Aut.

naszego Tytana prze zdrowie, a niech go Jowiszowe głązy nie strąca z wyżyny i nie biją.

Starsi radzi z tego pojednawczego głosu, zwrócili się też ku bakalarzowi, który kłaniał się i dziękował. a ks. Wacława uściskał.

Postarali się potem niektórzy biesiadnicy, aby rozmowa na te cierniami najeżone manowce nie zesłała powtórnie. Ten i ów wesołym żartem starał się dać jej obrót nowy; zawołano o pieśni, przyniesiono cytrę laureatowi, który ją wziął do ręki i przywiezione z niemiec zanucił, nieznane tu jeszcze

Gaudeamus igitur...

Starsi słuchali tylko z uśmiechem na ustach. Była to pieśń młodości, która im stare dzieje, dawne czasy przypominać mogła. Po niej inne pieśni łacińskie się ozwały i wieczór skończył się w pokoju, zgodzie. chociaż odchodzący do domu kolegiaci wynieśli z niego przeczucie trosk, na jakie Strzemińczyk miał ich narazić.

Nigdy i nigdzie bez boleści nie nowego na świat nie przychodzi. Tu się zapowiadały drogi nowe, ruch i życie, którym starszkom wydolać było trudno.

Pocieszano się tem, że co *inter pocula* młodzian wygłaszał, tego uspokojony, ochłonawszy do skutku nie przyprowadzi.

Stało się inaczej. Grześ spytany nazajutrz czy w istocie Eklogi Wirgiliusza czytać zamierzał, potwierdził to, oświadczając, iż od nich rozpocznie.

Wieść o tym fackie rozbiegła się nietylko po uczęszczających do collegium mniejszego, zaniecono ją na ulicę św. Anny, do collegium nowego, prawniczego. a nawet lekarskiego. Imię łacińskiego poety nie było nikomu obcem, bo w średnich wiekach używało ono sławy wielkiej, nikt jednak go nie czytał i nie wykładał.

Zapowiedź była nowością ponętną, a że literatura łacińska naówczas była jedyną europejską, na to nazwanie zasługującą, chociaż z niej już wykluwały się

inne, Virgili w kolegiach obudzał takie zajęcie, że ktokolwiek się poezją i literatura zajmował, do wykształcenia rościł prawo, świeccy, duchowni, starzy, młodzi, wszyscy chcieli posłuchać tego wykładu pierwszego tu, niebywałego, nowością swą pociągającego.

Imię Grzegorza Strzemińczyka, lub, jak go tu ponaście zwano, Grzegorza z Sanoka, znalazło się na wszystkich ustach.

W ulicy spotykający się z sobą zapytywali.

— Kiedyż ten Virgili zawita do nas? Gdzie? w kolegium mniejszem!! Szkoda. Lektorya szczupła, powinniśmy mu w większem kolegium salę maioris wyznaczyć!!

— Zbiegowisko będzie wielkie, mało kogo zabraknie z tych, co tyle obiecującego młodzieńca radzi posłuchać. Dostojnicy miejsca zajmą, a inni za drzwiami zostaną.

W istocie wybierali się kto żył na to czytanie. Mogło to pochlebiać bakałarzowi, mógł sobie życzyć popisu przed słuchaczami dostojnemi, a jednak skromnie się tak znalazł, iż o dniu nie głosząc, niespodzianie przed samemi studentami, sielanki Virgilego czytać zaczął.

Po czasie już dowiedzieli się ciekawsi i sala szczupła napełniła się tak, że w końcu godziny dla nikogo więcej miejsca nie było.

Znaleźli się i starzy profesorowie, których zarówno ciekawość wiodła, jak nadzieja może, iż nowemu przedmiotowi niewprawy nauczyciel niepodoła.

Ale Grześ wystąpił z takim spokojem, a czytał z taką jasnością i talentem nauczania, iż najmniejsz usposobieni z młodzieży rozumieli go doskonale.

Przytem sam ów przedmiot tak świeży, tak poezją wsi, pól, lasów i pasterskiego życia tętnący, przemawiał stokroć więcej do umysłów, do serc, niż napuszone deklamacyc, niż przesadne pochwały Staeysza... niż wszystko to, czem młódź dotąd karmiono.

Z Virgiliu powiał jakby ożyweży oddech wiosny na szkołę.. wleciała do niej ze złotemi skrzydły poezya, wykwintna, strojna, wounna, trochę zalotnie utrefiona, lecz z piersią młodą, w której serce biło. Nie dziw też, że serca młode odpowiedziały jej współczuciem gorącym.

Nie było po odczycie jednego głosu, któryby laureatowi szczędził pochwał i zaprzeczył nadzwyczajnych zdolności. Zazdrosnym zamknął usta.

Pierwsza ta lekcya poruszyła bardziej jeszcze ciekawość wszystkich. Mówiono o niej wszędzie, u biskupa Zbyszka, na zamku u królowej, po pańskich dworach, po mieszczańskich domach, w celach zakonnych.

Kto tylko mógł, obiecywał sobie iść słuchać nagle sławnym już będącego Grzegorza z Sanoka.

Ci, co go nie znali wcale i nie słyszeli o nim, dopytywali ciekawie, coby za jeden był, zkąd się wziął i jakiego był wieku? Nauczyciel budził zajęcie człowiekiem. Opowiadało, że chłopię ubogie, dziecię szlacheckie, zbiegło przed laty z miłości dla nauk z rodzicielskiego domu, tułało się po świecie i nadzwyczajnym obdarzone geniuszem, o własnej sile zdobyło naukę zdumiewającą.

Wielu podobała się odwaga młodzieńca, torującego drogi nowe, inni wątpliwie potrząsali głowami.

Na drugi odczyt zawczasu zgromadziło się tyle duchowieństwa, starszyny, ciekawych, że dla uczniów prawie miejsca nie stało.

I tym razem powszechny aplauz pozyskał sobie bakałarz młody, a po lekcji zbliżył się doń do stojny kanclerz akademii, opiekun, jej głowa, biskup Zbyszek, który był tu drugim królem, w kilku słowach uprzejmych winszując laureatowi powodzenia i zachęcając go do pracy.

Nierychło ruch ten i gorączkowe zaprzątanie Virgilim nicco się uspakając zaczęło. Słuchaczów

nie brakło nigdy, bo i młódź cała napływała z wielką żądzą i miłością dla nauczyciela.

Wykład jego nie był tak suchym i zimnym jak innych pedagogów. Z uśmiechem na ustach, z tą swobodą, jaką mu ovladanie przedmiotem dawało, bez książki w ręku, z pamięci mówił bakałarz, a przywodził i cytował dla porównania poetów innych, nie potrzebując do nich zaglądać.

Czasami żart jakiś wtrącił, porównanie rubaszne, które przedmiot najlepiej objaśnić mogło, naówczas oczy młodzieży pobłyskiwały, usta się otwierały i igraszka ta wrażała się w pamięć silniej niż poważne słowo.

Trzydziestokilkoletni już nasz Grzegorz, pomimo wieku, zachował całą świeżość młodości. Nie zhywało mu na powadze w potrzebie, lecz się w nią nie lubił przyodziewać. Czuć w nim było zawsze obok uczonego, cytarzystę i śpiewaka.

Trwoga, która w początkach opanowała była starszyczkę, obawiającą się zbytniego nowatorstwa i nadto zuchwałych wystąpień młodzika, ustąpiła wkrótce, gdy się przekonano, jak we wszystkim miarę umiał zachować. Cieszyło się niem szczególnie kollegium mniejsze, któremu dodał blasku, zagrościli kollegiacy królewscy.

Razem z tem zaczęły się znown odzywać głosy, wyzywające Strzemińczyka do obrania nareszcie tego stanu duchownego, któremu był przeznaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż pod sutanną skończyć musiał. Tymczasem nosił wprawdzie strój kleryków jak wszyscy profesorowie i uczniowie, ale do święceń się nie kwapił.

Nie odpowiadał uawet, gdy go zagadywano i milczeniem zbywał.

Z miasta przeniósł się teraz bakałarz nowy na mieszkanie wspólne do kollegium mniejszego i zajął u stołu ostatnie miejsce, bo te po starszeństwie dawano.

Życie to niemal klasztorne, do którego wszyscy byli obowiązani, podlegało pewnym prawidłom, urządzone było wedle godzin i odjęło Grzesiowi część dawnej jego swobody. Miało zarazem korzyści, bo zbliżało go do starszych i następczało wymianę myśli, które choć często na polemikę narażały, nie dawały zgnuśnić i usnąć.

W godzinach wolnych młody bakalarz nie mógł już teraz zajmować się przepisywaniem, które lubił, zarzucał go bowiem robotami. Musiał pisać nagrobki i wiersze pochwalne wszystkim zmarłym znakomitościom, a niejedna redakcja dokumentów w sprawach publicznych o niego się oparła.

Gdy szło o piękną i poprawną łacinę, Grzegorz z Sanoka uchodził tu za najbieglejszego znawcę.

Posyłał mu z kancelaryi akta biskup Zbyszek, radzili się inni. Wiersz szczególnie był jego największą chlubą.

Wśród tych zaprzątnień, które mu przyszło zapewniały, a sławę roznosiły coraz szerzej, Grześ po staremu wiernym został przyjaźni dla Balcerów,

Był tu, jak niegdyś dawniej, niby we własnym domu. Nigdy pocziwy Frączek nie zmarszczył się zastając go przy żonie, a starzy Balcerowie jak rodzone dziecko kochali. I Lena teraz uzdrowiona, spokojna, pewna, że przyjaciel młodości nie opuści zdawała się szczęśliwą.

Równie nad mężem i nkd bakalarzem panowała, a prawdę rzekłszy władała wszystkiem i wszystkimi w domu. Obcowanie z człowiekiem takim, jak Strzemińczyk starczyło jej za naukę i księgi. Uczyła się przy nim, oswajała z wielą przedmiotami, innym kobietom obcemi, i rozwijała w oczach na niewiastę męskiego umysłu i ebarakteru.

Ludzie, którzy przeciwno temu dziwnemu stonkowi zamężnej niewiasty do młodego nauczyciela sykali w początku, w końcu widząc, że jawnym był,

nikogo nie gorszył. a Frączka wcale nie jątrzył, przyjęli go jako naturalny i godziwy.

Znajdowano go w domu Balcerów zastępujące go niemal miejsce gospodarza, i nikt się już temu nie dziwił.

Lena Frączkowa nie dopuszczała też, aby jej posadzaniem uwłaczano, niewiasta była tak rozumna i zręczna, tak dumna i wyniosłego umysłu. Nikt nie śmiał ją słowem dwuznacznem zadrasnąć, wiedząc, że za nie z nawiązką zapłacić potrafi.

W dworku Balcerów powodzenie, sława i tryumfy Grzesia tak były witane radośnie, jakby do mowy zaszczyt czyniły. Chłubiła się tym przyjacielem Lena, miała go na ustach ciągle, ale też i rządziła nim despotycznie. Służyć jej musiał jak kazała, na skinienie spełniać co prosiła, i nieraz najpilniejszą pracę rzucić, gdy się jej podobało powołać go do siebie. Przeniesienie się do koleżyn nie zmieniło tych poufaleńskich stosunków. Codziennie musiał się Grześ stawiać u Balcerów, często stół wspólny zaniedbać, a niekiedy z chłopcem i latarką późno powracać, gdy się jejmości zatrzymać go podobało.

Umysłu w innych rzeczach niepodległego Grześ w sprawach powszednich nleżał niewieście, która nim jak dzieckiem rządziła. Piękna niegdyś, gdy dzieckiem była, pani Frączkowa po pójściu za mąż dopiero rozkwitła znowu w pełni wdzięku i słynęła w Krakowie jako z niewiast najpiękniejsza.

Coś dziewczęcego w niej pozostało, ale zarazem powagą okrytego i zmuszającego ludzi do poszanowania.

Przewaga, jaką miała nad umysłem Grzesia, tak była wielką, iż w największych i najmniejszych sprawach bez jej rady nie czynił.

Nie zadziwiła się więc, gdy jednego ranka wcześniej nadszedł niż zwykle i od progu począł się tłumaczyć, że ważna sprowadza go okoliczność.

— Zaprawdę! — uśmiechnęła się wstając na po-

witanie Frączkowa — czy o nowej sutannie myślicie i chcecie, abym wam wybrała flamskie sukno, albo o płaszczu?

Strzemińczyk zbyt był przyjęty tem, z czem przychodził, aby żart mu smakował, namarszczył się.

— Al gosposiu moja—zawołał—idzie o daleko ważniejszą sprawę, i gdybyś umiała po łacinie, powiedziałbym ci *paulo majora canamus*.

Powiedzcie mi to lepiej po polsku—odparła wielkie swe oczy wlepiając w niego Lena. — Cóż to tam takiego? Wyście zazwyczaj spokojni, widząc poruszonym?

— Posłuchajcież—rzekł Grzegorz.—Już z mego stroju możecie wnieść, że gdym go w powszedni dzień włożył, to nie bez słusznej potrzeby.

Widzę, suknia nowa — zawołała gosposia—trzewiki nowe. pan mój się wystroił jak na święto. Grześ potarł się dłonią po czole.

— Nie wiem co to znaczyć ma, dworzanin wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa, przybył do mnie dziś rano, zapraszając w imieniu pana, abym go odwiedził w ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie. Ja sprawy ani z wojewodą, ani u wojewody żadnej nie mam, akademia zostaje pod zwierzchnością ks. biskupa Zbyszka. Niepokój mnie ogarnął,

Lena głową potrząsła.

— Ja, równie jak wy, tego wezwania nie rozumiem — rzekła — ale nie widzę przyczyny, dlaczego ono was niepokoić miało.

Pomyślała chwilę, palce do ust przyłożywszy, a oczy wlepiając w ziemię.

— Samiście mi mówili, że często was o napisy łacińskie i różne podobne roboty napastują. Nie innego być nie może, nad coś podobnego. Wojewoda pan możny, więc się to wam opłaci.

— Ale pocóżby mnie wzywał osobiście, gdyby szło tylko o napis, który łaś dworzanin mógł zamówić u mnie?—rzekł Strzemińczyk.

— Idźcie do niego, a wszystko się to wyjaśni— przerwała Lena.

— Mam-li iść?—zapytał bakalarz—sługą pana wojewody nie jestem, ani mnie jak pacholka do siebie godziło się pozywać?

Z dumą szlachecką podniósł głowę Grześ. Lena poruszyła ramionami.

— Stary i poważny pan, senator... tyś młody— rzekła—nie ma obrazy w tem, jeżeli przez dworzannina grzecznie zaprosił. Idźcie.

Namyślał się jeszcze, gdy położywszy mu rękę na ramieniu, piękna Lena popchnęła go zlekka ku drzwiom.

— Pycha nie w miejscu—szepnęła—idź, a z powrotem czekam na wyjaśnienie, bo chcę wiedzieć, jaką miał pan wojewoda sprawę do pana bakalarza.

Jak gdyby na jej rozstrzygnięcie czekał tylko Strzemińczyk nie wahając się już sam pomiarkowawszy, że w istocie pycha chndemu pacholkowi nie przystała, szybkim krokiem poszedł do dworu wojewodzińskiego przy zamku stojącego.

Po panu krakowskim, wojewoda był tu najznaczniejszym dostojnikiem i miał władzę największą.

Lecz, gdyby nawet Jan z Tarnowa nie zajmował tego stanowiska, samo jego imię, stosunki, za możność, powaga wielka i osobiste przynioty dawałyby mu znaczenie wielkie.

Był to mąż w latach już podeszłych, lecz krzepki ciałem i umysłem, nie skwapliwy do mówienia i szermowania słowy, ale gdy raz otworzył usta, nie oglądający się na żadne względy, i rąbiący prawdę każdemu, choćby najwyżej położonemu. Mawiał ją tak nieraz samemu królowi, i gdzie była potrzeba wystąpienia śmiałego, jego naprzód popychano. bo się nie uląkł niczego. Wiek dawał mu ziarną krew i panowanie nad sobą.

Nie zalecał się świetną wymową, ani kunsztem oratorskim, ale jasnością i wyrazistością słowa. Gdy

drudzy już w szkole ówczesnej wyćwiczeni, zręcznie mieli zawikłać myśl i sztucznie ją tak przedstawiać, aby silniejsza czyniła wrażenie, Tarnowski znajdował to niemęzkim i nierycerskim, wyrażał się rubasznie, silnie a krótko.

Cechowało go to w radzie i w domu, że długo milczał, ale gdy się odezwał, zamykał rozprawy jakby ostatecznym wyrokiem.

Szanowali go wszyscy, bo oprócz tego, był to prawy senator i radca pański, który tylko dobro ogólne miał na oku, a osobistemi względami nie dawał się z prostą zbić drogi.

Pań moźny, zmuszony dla dostojności ciągle się liczyliśmy otaczać dworem i występować z pewną okazałością, nie lubił błyskotek marnych, ani przepychu dla próżności, dom był pański i dostatni, ale nie tak czczo świetny i pnszący się, jak panów z Kurozwęk i innych, którzy świeżo się do dobrego bytu dobili.

Pewna prostota starodawna zachowała się tu z czasów już zapomnianych i zatartych. Gdy inni przejmowali chętnie obyczaje cudzoziemskie, tu się ich wpływ dawał czuć jak najmniej.

Wojewoda sam wychował się w tych jeszcze latach, gdy rycerskie wykształcenie zastępowało wszelkie inne. W obcowaniu z ludźmi nabył później wiadomości wiele i oglądy, ale zawsze wzdychał nad tem, gdy go senatorska dostojność do ocierania się o Niemców, Włochów, Węgrów, ba Francuzów i innych narodowości ludzi zmuszała, gdy sprawy przychodziły, dla których łacina urzędowym była językiem, że za młodu języków mało się uczył i kancelaryjnych talentów nie nabył.

W wielu też rodzinach naówczas u nas rozumiano to, że przyszedł senator, choćby od siodła i koncerna poczynął, razem musiał też nad księgą się mozolić, aby nie potrzebował kanclerzów i tłumaczy, ciągnąć wszędzie za sobą, a w końcu na ich łasce i pod ich wpływem pozostać.

Owdowiały wojewoda, w czasie tym, miał pięciu synów, których wychowanie wielką dla niego było troską, dwaj starsi, Jan Amor i Jan Gratus. już sporemi wyrostkami będąc, dopominali się, aby o ich przyszłości postanowiono.

Wojewoda pobożny mąż, w duchu mówił sobie, iż tych dzieci, któremi Pan Bóg małżeństwo jego pobłogosławił, jedno jako prawa dziesięcina, Jemu należało, ale żadnego z nich nie wyznaczał, pragnąc, aby się powołanie objawiło samo. Inni musieli naprzód rycersko służyć krajowi, potem zdobywszy zasługą stanowisko, radą i mieniem pomagać królowi.

W ganku dworu wojewodzińskiego, który o tej godzinie pełen był rycerstwa i szlachty, ten sam dworzanin, który przychodził z wezwaniem do bakałarza, zdawał się czekać na niego, bo zobaczywszy i poznawszy natychmiast się zbliżył i nprzejmie powitał, a z sobą do komory zaprosił, dopóki by wojewoda wolnym nie był.

Dworzanin, z uboższych Leliwitów, młody człek, który już jednak próbował zapasów rycerskich, i miał chlubne po nich pamiątki na obliczu wskroś blizną różową przeciętem, był wesołego usposobienia, a łatwy do ludzi.

Z tego korzystając bakałarz nasz, po kilku słowach, zręcznie go chciał wybadać, czyby nie wiedział na co go tu potrzebowano.

— Widać, że w. miłość naszego pana nie znać, gdy się o to dopytujecie mnie, prostego posłańca? któremu wojewoda myśli swych nie powierza. Daleko poważniejsi mężowie też tem się pochlubić nie mogą. Słowa on próżnego nie rzecze nigdy... a eo myśli, jeden tylko Bóg wie, ludzie zaś dopiero naówczas, gdy myśl czynem się staje.

Nie badał więc już ciekawy gość i czekał cierpliwie, aż go do wojewody wezwano.

Przyjął bakałarza stary i poważny mąż, ręką wi-

tając i słowem miłem, a mimo młodości, dla sukni duchownej, miejsce mu wskazując nieopodał od siebie.

Sami byli w izbie sypialnej wojewody, z taką prostotą i skromnością urządzonej, jakby możnemu panoszy nie przystała. Łoże było twarde, skórą okryte, stół dębowy kobiercem starym zasłany, a sprzęt dawny i niepokazny.

Wojewoda też odziany był ciemno w długi żupan, czarnym pasem ściągnięty, a krom sygnetu z pieczęcią na palcu, żadnej nie miał na sobie błyskotki. Broda siwiejąca, ciemna, szeroka mu się na piersi rozkładała, włos spadał długi na ramiona.

— Wieleśmy o was słyszeli—odezwał się obracając do Grzegorza Wojewoda—a wszyscy wam sprawiedliwość oddają, iż uczonością i dowcipem celujecie wśród kolegium.

Wiem i to, żeście sami sobie winni to wychowanie. Ludzie was sławią, chciałem poznać bliżej tak wiele obiecującego na przyszłość męża.

Grzegorz dziękował krótko.

— Kolegium waszem — mówił wojewoda—pewnie bardzo pożytecznym młodzieży być możecie, ale dla siebie tam nie uczynicie wiele. Chudoście wyposażeni... głodem słyszę przynieracie.

— Praca to osładza—odparł Grześ.

— Piękną z niej czynicie ofiarę — mówił Jan z Tarnowa dalej — ale przy zdolnościach waszych, moglibyście łatwo wyżej się wzbić, a około młodzieży zastąpiłby was choćby i mniej zdolny nauczyciel.

Jam o was pomyślał dla siebie i dla waszej przyszłości razem — dodał stary pan.—Mam synów, radbym ich wychować tak, aby i Bogu i królowi służyć mogli rozumnie i dzielnie. Cóżbyście rzekli na to, gdybym wam zwierzyć chciał opiekę i władzę nad nimi?

Grześ, którego niespodzianie zaskoczyło to życzenie wojewody, zamilkł w początku chcąc zebrać myśli.

Pochlebniem to było dla niego, wbijało go w dumę, lecz burzyło cały gmach jaki on sobie sam budował, obiecując zawód nauczycielski w akademii

Dozorca i bakałarz wojewodzińskich dzieci świetne miał przed sobą nadzieje, byt dostatni i swobodny, zapewnioną przyszłość, ale schodził z tej drogi, która w publicznym zawodzie, wiodła do sławy i znaczenia w świecie uczonym. Mignęła mu ta myśl, że miał zaprzedać za miskę soczewicy dostojność swoją i prawa jakie dawała nauka, że się sprzeniewierzał zawodowi.

Wojewoda jakby odgadł znaczenie długiego milczenia, powolnie dalej ciągnął.

— Rozumiem ci to—rzekł—iż z katedry znijsć na bakałarstwo domowe, choćby u krakowskiego wojewody, wydać się wam może uwłaczającym; ale za prawdę ważyć powinniście, że gdy senatorskie dzieci na przyszłość radców królowi i krajowi wychowacie, w bojaźni Bożej i nauce ich doskonalc, będziecie może większą mieli zasługę, niż ubogich klechów ucząc łaciny.

Wszyscyśmy potrzebni na świecie, senatorowie i klechy, ale gdy u góry światła zabraknie, nie przyjdzie ono ze spodu.

Strzemięńczyk milczał jeszcze.

— Rozważcie to sobie—dodał po chwili wojewoda—prędkiego rozstrzygnięcia nie żądam, boć on o losie żywota waszego stanowić ma. Biorąc was do synów moich, dla których wy się poświęcicie, słuszną, abym też wam zapewnił nagrodę równą pracy. Powołanie wasze duchowne ułatwi mi opatrzenie was, przy pomocy i łasce królewskiej.

Grześ podniósł oczy i chciał już się przyznać, że suknia, którą nosił, jeszcze go żadnym ślubem nie wiązała, lecz coś mu usta zamknęło. Skłonił głowę i po całym przestanku odezwał się:

— Nie mam co rzec na to, oprócz, iż miłości waszej za zaufanie, pokornie dziękować muszę.

Zaszczyt dla mnie i chluba... ale zarazem brzemie, którego na ramiona brać nie wiem czym godzien. Inna to rzecz panie wojewodo, z katedry nanuczać łaciny, poezyi, retoryki, a ehoćby i filozofii, inna zaś podjąć się wykształcenia dzieci na ludzi. Nauka tu narzędziem i dodatkiem, a człowieczeństwo celem. Ludźmi, chrześcianami i synami korony tej być muszą, a niepoślednimi, gdy ich w spadku wielkie obowiązki czekają.

Czy ja prosty bakalarz podołam temu!

— Z pomocą i pod okiem mojem! — zawołał wojewoda — dla czegoż nie! Najlepszym dowodem, iż wychować potraficie, to, żeście sami siebie wychować byli zdolni.

Grzesz westchnął.

— Tak, panie wojewodo, ale mnie niańczyła i kształciła największa w świecie mistrzyni, nędza i sieroctwo. Kto wie, czy nie łatwiej ubogiemu się wydobyć na wierzch, gdy go smaga los, niżeli pieszczoneму w pieluchach, którego szczęście usypia, lub butnym zawczasu czyni i zachwalać!

— Zaprawdę pięknie mówicie — przerwał wojewoda — lecz nie wiecie o tem, iż ja trzymam z wami, a dzieci moje karnie i surowo prowadzę. Nie żądam też ani pozwolę, abyście im folgowali dlatego, że zrodzeni są w dostatku. owszem żądam, aby im nie pobażano, gdy wykroczą.

Młodości zbytńio lamować nie godzi się, bo onieśmielona traci siłę, ale rozbijać się też nie można dozwolić, aby znała granice.

To mówiąc powstał wojewoda i uderzywszy w dłoń, czekał na pacholę, które się we drzwiach ukazało.

— Amor, Gratus i Rafał niech tu przyjdą — rzekł i powrócił na siedzenie swoje.

Nie upłynęła chwila, gdy drugie drzwi otwarły się zwolna i troje pięknych chłopiat, jednako w szare kaftany ubranych, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście, wsunęło się skromnie i ciebo, skłonili

się ojcu pokornie i po starszeństwie przyszli podaną im rękę rodzica całować.

Na dany znak powitali też zdala bakałarza, który się im ciekawie przypatrywał. Miło było spojrzeć na te zdrowe, krasne, rumiane, pełne życia oblicza, które bez nieśmiałości, ale z poszanowaniem zwracały się ku ojcu, jakby czekały rozkazów jego.

Amor i Gratus, starsi, podobni do siebie, wiekiem się nie wiele różniący, już wyrostkami mieli w sobie coś rycerskiego. Rafał delikatniejszy, z wdziękiem niewieścim na ładnej i bladej twarzy, więcej od nich okazywał obawy i trzymał się, jakby ukryć pragnął za braćmi. Był też najmłodszym i dzieckiem prawie.

Wojewoda zapytał ich o to czem się zajmowali, co na dziś im wyznaczonem było. Amor odpowiedział na to w kilku słowach jasnych, z których zmiarkować mógł Grześ, że nauka zaledwie się rozpoczynała.

Niedługo ich zatrzymawszy wojewoda, wskazał, że odejść mogą. Chłopcy jakimś podejrziwem okiem zmierzwszy się z siebie klechę i pozdrowiwszy go zdala, ucałowali znowu rękę ojca i wyszli.

Dopiero za drzwiami słychać było swobodne i żywe a pośpieszne szeptanie uciekających i wyścigających się chłopaków.

— Chciałem abyście ich widzieli—rzekł wojewoda.—Silni są, zdrowi, nierozpieszczeni, alem zbyt zawczasu ich uczyć nie kazał, aby mogli wprzód urosnąć i skrzepić się. Teraz już im ława i siedzenie nad tablicą nie zaszkodzi.

Zapukano do drzwi. Wojewoda wstał zwracając się do bakałarza.

— Pomyślcie—rzekł—jutro lub pojutrze dacie mi odpowiedź. Nie chcę, abyście bez rozmysłu przyjęli obowiązek, a pragnę, aby wam słodkim był i co w mej mocy dla ośłodzenia go, uczynię.

Niewola to będzie—dodał z uśmiechem—ale

któryż i kiedy człowiek jest wolnym? Ani królowie się tem poszczycić nie mogą, bo ich obowiązek w żelaznych okowach trzyma.

Sklonił się Grzegorz, obiecując prędką odpowiedź i jak upojony wyszedł z wojewodzińskiego dworu.

Ztąd do Balcerów śpiesząc tak w sobie zatopiony szedł, że ludzi nie widział i co około niego się działo nie znał. Lena w oknie siedząc na niego czekała, a był tak pogrążony w myślach, iż dworek pominał i zawołać go musiała, dopiero się opamiętał.

Wyszła na próg do niego.

— Ciężkie jakieś brzemię niesieciel—rzekła.

— Zaprawdę i takie, któregom się spodziewać nie mógł—odparł Grzesz padając na ławę.

Tu począł opowiadanie o swej rozmowie z wojewodą, którego mu Frączkowa dokończyć nie dała, w ręce klaskając i wołając ojca, męża i matkę z uniesieniem, w jakie ją wprowadziła wiadomość o łasce pana wojewody.

Grzesz stał trochę zdumiony, bo mu się to więcej ciężarem wydawało, niż dobrodziejstwem, ale Lena po swojemu sądziła.

— Cóż tu myśleć? co ważyć! — zawołała. To pierwszy szczebel, do podniesienia się w górę.

Nie wiecież wy, iż dzieci wojewody codziennie na zamek chodzą, dla zabawy królewiczów, że one są towarzyszami ich i że nauczyciel Tarnowskich z nimi razem na pokoje królowej się dostanie!

Dosyć, abyście przestąpili te progi, a tam, jak wszędzie, poznają się na was. Mielizbyście dla marnego bakałarstwa odrzucać los, który dla was jest zgotowany?

Kto wie czy nauczyciel wojewodzców nie zostanie bakałarzem królewiczów! A król stary! a królowa rozumna pani, a Władysław starszy panicz ma już zapewnioną koronę. Patrzcież co się to wam otwiera i czy wy się wahać możecie przyjąć szczęście, które pieczonym gołąbkim w usta wam spada.

Grzegorz stał jeszcze zadumany, gdy napastliwa kobieta, bijąc go po ramieniu, śmiejąc się, winszując, mężowi kubek wina nalewać kazała.

— Wypijmyż prze zdrowie, przyszłego nie wiem kanclerza czy...

Balcerowie, Frączek ściskali go już jakby rzecz była rozstrzygniętą, a Lena ani słuchać nie chciała o dalszych rozmysłach.

— Jutro pójdziecie podziękować wojewodzie i wybieriecie się z kollegium. Szczęśliwej drogi, bo nie wątpię, że ona być musi szczęśliwą.

Być może, iż Strzemińczyk byłby i bez tej namowy niewieściej przyjął wezwanie wojewody, to pewna jednak. iż to, co mu rokowała Lena uczyniło na nim wrażenie i przechyliło szalę.

Wyszedł z dworku już mniej niepewien siebie, wprost zaszedł do starego ks. Wacława. Kanonik pomimo nadwreżonego wzroku, szklami się posługując, jak zawsze czytał coś w księdze, którą złożył na pulpicie, widząc wchodzącego ulubionego ucznia swojego.

— Ojciec—zawołał żywo Grzegorz — słuchajcie z czem przychodzę. Oto co mi mój los znówu zgutował.

Ks. Wacław nie odzywając się, nastawił ucha. Szybko, treściwie począł mu wszystko opowiadać Strzemińczyk, ale już w ten sposób, jakby się bronił i tłumaczył, że ofiary takiej odrzucić mu się nie godzi.

Kanonik nie przerwał ani słowem, nie okazał zdziwienia, a gdy skończył, nie rychło przemówił.

— Niech będą Bogu dzięki, jeżeli to waszym pragnieniom i nadziejom odpowiada—rzekł chłodno. — Tak, jutrzeńka ta błyska różowol lecz sądzicież, iż życie przy dworze, w zgiełku i ruchu tym, kiedy się krzyżują i ścierają żądze, ambicje, namietności, szczęśliwszem będzie, niż nasze w tych ubogich i ciłych celach, w których się nabywa mądrości, po-

gardy świata, miłości Boga i nauki? Sądzićież, że tam wam łatwiej przyjdzie zachować cnotę, umysł niepodległość i spokój ducha?

Ja nie wiem. Mówią nam o ptakach, co na falach burzliwych ściełą gniazda... ja podziwiam cuda te przyrody, ale nie zazdroszczę im, tylko tym, co pod strzechą siedzą.

I miłość nauki... potraficież zachować tam, gdzie od niej życie z pokusy swemi nieustannie was odrywać będzie?

Zamilkł starzec.

— Zaprawdę — dorzucił po chwili — gdyby więcej dali wam, nie zapłacą za to, co straciecie! Wyście im potrzebni, a oni wam?

Po rozmowie z ks. Wacławem tęsknota za życiem, którego się miał wyrzec, chwyciła go za serce, ale daleko silniej ciągnęło je jakieś nieokreślone pragnienie nieznanych, nowych, świetnych przeznaczeń.

W kolegium wiadomość o ustąpieniu Grzegorza z Sanoka uczyniła wrażenie dwoiste, uczniowie opłakiwali mistrza tego, towarzysze, starsi panowie kolegiaci czuli jakby ciężar jakiś spadł im z ramion. Obawiali się tego popędliwego umysłu, pędzącego na nowe drogi, zmuszające trzebić, gdy tak wygodnie jest wybite mi iść kolejami. Winszowali szczęścia, nie powstrzymywali wcale, znajdowali, że Grzegorz zasłużył na to, co go spotkało, a następcę na katedrze zwrócił od Virgilego do Alana, i po staremu Donata zalecał, jako najpewniejsze do łaciny wrota.

VII.

W kilka miesięcy potem, skromnego bakałarza, który na dnie powszednie w wyszarzanej chodził sukience, poznać było trudno w młodym nauczycielu wojewodzciców.

Powołanie nowe, świat wśród którego się obrać, wymagania dworu, do którego się liczył, zmusiły go nawet powierzchownie się przeistoczyć.

Pan wojewoda też od tego począł, iż dostarczył sukna i jedwabiu, aby bakałarz dzieci, codzień z nimi chodzący na zamek do królowej jejmości i królewiczów, występował jak przystało pańskim progom.

Królowa Sonka, wiadomem to było, sama lubiła strój wytworny, i od tych, co ją otaczali, wymagała ubioru, któryby oczu zaniedbaniem nie raził. Młodzi królewicze, oba zawsze występowali bardzo strojnie i wedle mody wieku.

Młodzi Tarnowscy, choć ojciec ich zbyt do błyskotliwych strojów nie chciał przyzwyczajać, musieli potroszę do wymagań królowej, której oka nie nie uchodziło, się zastosowywać. Gdy szli na zamek, ubierano ich pięknie.

Nauczyciel, który ich nigdy nie odstępował, musiał też kłaść suknie odświętne. Były to zawsze tylko czarne sutanny klechów, ale tkaniną i krojem dostatku dowodziły.

Nie zbywało też na innych wygodach we dworze pana wojewody, który zarówno zbytku jak skąpstwa niecierpiał. Trochę rubaszny i szorstki obyczaj studentów ubogich tu na inne obejście się z dziećmi pańskimi zmienić było potrzeba. Szczęściem dla bakałarza, jego młodzi uczniowie odrazu do niego tak przyłgnęli, jak on do nich. Chłopcy byli serdeczni, niepopsuci, a życia równie jak nauki chcieli.

Ale w obu starszych, bądź co bądź przemagała krew rycerska. Posłuszni siadali do tabliczek, pisać się uczyli, łacinę przeżytkali, ale dopiero, gdy powieść jaka uderzyła w strunę wojenną, oczy im połyskiwały i rumieniły się policzki. Najmłodszy był spokojniejszego ducha, Amor i Gratus nie taili się z tem, że byle im pozwolono, chętnieby pióro na szable zamienili.

Nie zapomniano też przy nauce o kształceniu ich do przyszłego powołania. Pod okiem bakałarza przychodził stary żołnierz uczyć ich szablą władać, kalwakator dosiadać kanoników, łucznik strzelać do celu. Naówczas Grzegorz mógł się przekonać, że z nich pono uczonych nie potrafi uczynić, bo przez posłuszeństwo gotowi byli męczyć się nad pergaminem i papierem, ale życie w nich wstępowało dopiero na podwórcu.

Oba pojęcia mieli bystre i pamięć dobrą, a Grzegorz nie był pedantem do form przywiązany, i uczył więcej żywym słowem, niż suchą literą.

Gdy się nad książką zdrzemali, naówczas z pamięci poczynął opowiadać rycerskie sprawy Aleksandra, albo historię jednego z bajecznych bohaterów starożytności, i słuchano go pilnie.

Godziny zabaw na zamku dla wszystkich były zarówno pożądane, królewicze i wojewodzice czekali na nie, a niemniej i panowie nauczyciele. Naówczas w wielkiej sali dolnej zamku, rozpoczynały się igrzyska, w których pilny postrzegacz już mógł przyszłe wyrostków, wykluwające się rozpoznać charaktery.

Gdy po raz pierwszy ze swemi wychowawcami zjawił się na królewskim zamku Grzegorz, chociaż bojaźliwym z natury nie był, uczył, że mu przyjdzie chwilę ciężką przeżyć, wystawionemu na wejrzenia i pytania ciekawe.

Przy królewiczach, naznaczeni na zjeździe od szlachty, znajdowali się dwaj dozorecy i nauczyciele, szlachcie niemłody już Piotr Ryterski i Wincenty Kot

z Dębna duchowny, kustosz gnieźnieński. Z nich pierwszy miał pieczę nad ciałem więcej, drugi nad umysłem wyrostków, nad któremi nieustannie czuwała sama królowa Sonka, matka troskliwa, dla której dzieci były całym światem. Miała ona oprócz nich do czuwania nad wielu sprawami, i musiała zjednywać sobie serca panów Rady, z których wielu Jagiełłońskiemu rodowi było nieprzyjaznych. Odzywały się ciągle jeszcze wspomnienia Piastów, ich praw i odwiecznego w tem królestwie panowania.

Władysław starszy królewicz dochodził do lat dziesiątka, młodszy o lat parę Kaźmirz, był jeszcze prawie dziecięciem. Rówieśnicy Tarnowskich, oba nawykli byli z nimi poobiednie spędzać godziny.

Dawniej towarzyszył im tu stary sługa Strzemiesz. Gdy raz pierwszy przyszedł z chłopcami Grzegorz z Sanoka, nie obeszło się bez natrętnej ciekawości królewiczów i zapoznania się z ks. Kotem. Poważny kustosz, który już słyszał o młodym bakałarzu, i był ciekawym go poznać, chociaż dał mu uczuć wyższość swoją, przyjął go uprzejmie.

Mąż był światły, w wieku tym, który spokój daje umysłowi. Z pierwszych wyrazów rozmowy poznał w Grzegorzu uczonego i rozumnego młodzieńca i z przyjemnością zawiązał z nim jakąś dysputę, która świetne przymioty bakałarza na jaw wyprowadziła.

Ryterski tymczasem naglądał na bawiących się chłopców, którzy po wielkiej sali wyprawiali hałaśliwe wyścigi. Starszy królewicz bywał zawsze wodzem tych wypraw wojennych, bo się inaczej jak w rycerstwo nie bawiono. Najmłodszy tylko Rafał dosyć bojaźliwie i niechętnie zaciągał się do tych szeregów, w których mały Każko stawał obok brata, mimo wzrostu i wieku.

Tego dnia, jak zwykle w ciągu zabawy, uchyliła drzwi naprzód, a potem weszła przypatrzeć się jej królowa Sonka.

Postrzegła ona postać nową i nieznaną sobie

która musiała obudzić ciekawość, gdyż zbliżyła się do ks. kustosza i dowiedziawszy się o bakałarzu, kazała go sobie przedstawić.

Grzegorz był tak szczęśliwy, że powierzchowność dobrze o nim uprzedzała, oprócz tego udało mu się na kilka pytań królowej odpowiedzieć z ręcznie i tak, że w nim umysł żywy i energiczny poznać mogła.

Po krótkiej rozmowie oddaliła się królowa a i Tarnowscy odejść musieli do domu.

Codzień potem prawie Grzegorz już śmielszy szedł z nimi na zamek, królewicze się z nim nietylko oswoili, ale polubili go, gdyż chętnie się mieszał do ich igrzysk i był w nich sędzią i rozjemcą. Ks. Kot, mający często zajęcia, poznawszy bliżej bakałarza, czasem odchodził na chwilę, zostawując mu królewiczów razem z ich towarzyszami.

Parę razy zastała tak królowa ich samych z Grzegorzem i w dłuższą wciągnęła go rozmowę. Jawnem było, że przybysz ten podobał się jej, i że umiała go ocenić. Badala go niezuacznie o synów, wzywała rady, i nawet stary Ryterski dostrzegł po niej jakim czasie, iż bakałarz zyskał łaskę pani, czego mu powinszował.

Królowa miała ten instynkt ludzi wybranych, którym, gdy samym sił brak do osiągnięcia wielkiego celu, umięą przybierać sobie pomocników, z wielką trafnością wydobytych z tłumu.

Grzegorz, który w początkach obawiał się zbliżenia do królowej, a z odgłosu powszechnego miał o niej weale iunc wyobrażenie, poznawszy ją lepiej, przekonał się jak mało cenić ją umiano i spotwarzono niegodnie.

Wzbudzała w nim poszanowanie i współczucie

Miłość jej dla nauk, których sama nie posiadała, a miała tylko jakby ich przeczucie, chętna pomoc uczonym, opiekowanie się młodzieżą ubogą, wszystko to zjednało jej cześć młodego bakałarza i chęć służenia.

A że uczucia takie zawsze się zdradzają i najczęściej są opłacane, królowa też wyróżniała Grzegorza, i zdawała się czekać tylko chwili, gdy go do służby swej zawezwie.

Były to ostatnie lata panowania zestarzałego króla, który jeszcze się podróżami i łowami zabawiał, ale rządy kraju były więcej niż kiedykolwiek w silnych rękach biskupa Zbyszka i jego rodziny.

Na zamku i u wojewody spotkał też Grzegorz wszechmocnego władcę, który okazywał mu dosyć życzliwości, szczególnie ceniąc jego łacinę i znajomość literatury.

Zbigniew z Oleśnicy zresztą był człowiekiem samoistnym i żadnym władzy, aby tych, w których odkrył energię, mogącą w przyszłości stanąć mu na przeszkodzie, pociągnął ku sobie i torował im drogi.

Poczuł on w Grzegorzu z Sanoka człowieka, który cudzem być nie mógł narzędziem, nie podawał mu więc ręki, spychając go jak ciółka na podrzędne stanowisko stylisty i wierszopisa.

Nie starał się też bakałarz o pozyskanie sobie biskupa, ograniczając się tem, aby go nie mieć nieprzyjacielem.

Królowa zaś, właśnie ceniąc tę energię w nim, na której się może w przyszłości oprzeć spodziewała, nie spuszczała go z oka.

Ani ks. kustosz, ani p. Piotr Ryterski nie zażdrościli bakałarzowi jawnych łask królowej, zresztą ograniczających się tem, że czasu zabaw rozmawiała z nim prawie codziennie, coraz poufalej. Grzegorz się z tego nie wynosił, ale przewidywał, iż to mu na przyszłość posłużyć może.

Tak stały rzeczy, gdy nagle jak piorun spadła na królową i królestwo wiadomość o chorobie, a prawie jednocześnie o śmierci Jagielly.

Biskupa Zbyszka nie było naówczas w Krakowie, a na nim polegała Sonka, iż syna jej starszego

na tronie osadzi. Poruszyło się po zgonie króla wszystko, co imię jego i powaga długim panowaniem pozyskana, spojnem i spokojnem trzymały.

Wszystkie zachcianki, nadzieje, urojenia, zabiegi przyjaciół Piastów, mściwe zachody wrogów królowej wybuchły i zakłóciły spokój.

Sonka nie miała się kim posłużyć, komu zaufać, potrzebowała ludzi. W tej godzinie stanowczej już dawno napatrzony Grzegorz z Sanoka, na myśl jej przyszedł. Posłała do wojewody i zażądała od niego, aby bakalarza swego odpuścił dla niej. Jan z Tarnowa zgodził się na chwilowe pofolgowanie mu w obowiązkach, ale nadto go umiał ocenić, aby się całkiem chciał z nim rozstać.

Grzegorz też, na teraz jeszcze pod żelazną ręką biskupa, nie bardzo życzył sobie być służką bez znaczenia i powagi.

Bakalarz czasowo przeszedł na zamek, dał się użyć jako poseł i pośrednik, ale nie rozstał się z Tarnowskimi. Aż do przybycia biskupa, który już do Bazylei nie jechał, bo pilniejsze nad sobór były sprawy królestwa, Grzegorz z Sanoka był na usługach królowej, chociaż niewidoczne i podrzędne zajmował na dworze stanowisko.

Była nawet mowa o tem, że go dodać miano posłom na sobór wyjeżdżać mającym, ale młody wiek jego i niedość znane teologiczne wykształcenie, może żywość i śmiałość, wstrzymały tę podróż.

Przypadła mu za to ciężka praca czuwania nad królewiczem Władysławem i przysposobienie młodziuchnego chłopięcia do tych wystąpień, jakie go czekały.

Dawniej już Grzegorz umiał sobie wesołością, wymową, łagodnością zyskać wielką sympatyę przyszłego króla. Nie raz Ryterski i ks. kustosz używali go nieznacznie do przełamania małego uporu, do nawowy na jakieś ustępstwo.

Grzegorz w sposób pełen uszanowania, ale żarto-

bliwy i poufały, umiał królewicza skłonić do czego było potrzeba.

Już w dziesięcioletnim panu przyszedł jego zwia-
stował się charakter, który w wielu rysach ojca przy-
pominał. Przedewszystkiem był to krwią i wycho-
waniem rycerz już, który marzył o sławie, zdoby-
czach, o wielkich wojnach i czynach nadzwyczajnych.

Z dziejów, które królewiczom czytano, Krzy-
wousty był jego ulubieńcem i wzorem. Zazdrościł
mu młodzieńczych wypraw, walk i całego żywota,
opiewanego przez Galla. Na ustach miał ciągle:
Gdy dorosnę, a wyjdę na wojnę.

Najmilszym strojem jego była mała zbroja lek-
ka, którą dla niego naumyślnie zrobiono, najulubień-
szą zabawką igrzyska na podobieństwo małych tur-
niejów w podwórzu zamkowym. Ryterski musiał go
hamować, a ks. Kot gwałtem zasadzać do nauki
i wabić do niej historyami bohaterów.

Drugą cechą młodzieńca, wziętą po matce,
i z obyczaju wieku, było upodobanie w wytwornym
stroju i elegancyi, w ogładzie europejskiej.

Książęta niemieccy przybywający do Krakowa,
opowiadanie o dworze cesarza Zygmunta, niepokoiły
Władysława, który chciał, aby polski dwór i zamek
nie ustępowały tym, które przy nim sławiono.

Po ojcu wziął królewicz nadzwyczajną ową ja-
giellońską hojność, która nigdy nikomu nie odmówić
nie umiała. Często bardzo to, co miał najulubień-
szego, przyjaciółom Tarnowskim, gdy się im podo-
bało, natychmiast chciał oddawać, a że swej woli
nie miał, biegł z tem do matki, która nigdy pozy-
skiwaniu sobie ludzi przez dzieci nie była przeciwna.

Tak mało na kogo rachować mogła!

Wśród tych dni burzliwych, gdy aż do ostatniej
godziny wichrzyciele chcieli koronacji Władysława
przeszkodzić i niedopuszczyć, gdy królewiczowi nieu-
stannie trzeba się było ukazywać, kłaniać, prosić
i mieć przytomność umysłu starego a wytrawnego

człowieka, Grzegorz z Sanoka stał przy nim ciągle ukryty, dodawał mu mężstwa, budził w nim słabnącą na widok łez matki energię, rozśmieszał go, aby mu nie dopuścić się rozplakać.

W dniu koronacyi, gdy na sali łajano się od ostatnich słów, a godziny i nie można było wiedzieć, czy obrzęd da się spełnić, gdy Władysław błądy i strwożony stał w całym ubraniu królewsko kapłańskim, czekając i drżąc, Grzegorz z Sanoka był u jego boku, udając wesołego i zapewniając biednego, że dziś włoży koronę na skronie.

Tych dni kilkanaście przebytych prawie bez przerw na zamku przy Władysławie, więcej do niego zbliżyły Grzegorza z Sanoka, niż cały rok poprzedzający. Młody król był mu wdzięczny, spoufalili się z nim, nauczył ufać, nie tał z żadną myślą najskrytszą.

Gdy wreszcie ukoronowano młodego pana, a wszystko się szczęśliwie skończyło, Grzegorz nie czując się tu już potrzebnym, pożegnał królową i powrócił do swych wychowañców.

Za tę usługę niewidoczną w dniach ciężkich, zaszczycono młodego bakałarza wezwaniem do napisania pochwalnego wiersza na cześć zmarłego króla.

Było to odznaczeniem go, ale razem zepchnięciem ze stanowiska, jakieby mógł osiągnąć. Wytykano w ten sposób palcem, jako poetę i uczonego, który miał pozostać łacinnikiem tylko i poetą.

Grzegorz z Sanoka spełnił dane mu polecenie, nie dając poznać po sobie, iż mógłby być przydać się do czego innego. Napisał pochwałę zmarłego, zebrawszy do niej rysy charakterystyczne, które dziś uderzają realizmem śmiałym i naiwnością swoją. Król chwalony wystąpił w nich jakim był za żywota, z silnie oznaczoną indywidualnością. Apologia nie stworzyła ideału, który mógł przystać do tysiąca innych postaci, dała wizerunek zmarłego.

Jak wszystko co pisał Strzemienieczyk, wiersz ten obudził i podziwienie i zdumienie. Tętniło w nim

życie, do którego w poetach owego czasu ludzie nie byli nawykli.

Młody król tymczasem sposobił się do przyszłych rządów. Biskup krakowski, panowie rady, a po za nim królowa, zastępowali go w sprawach bieżących, które silnej dłoni potrzebowały.

Władysław w tej atmosferze, jaką stworzyła mu zawczasem osiągnięta korona, dojrzywał szybko.

Przyszły władca miał już, pomimo czuwania matki, pochlebców, ulubieńców, zabiegających o jego łaski, posłuszne sługi, potajemnie rade serce jego pozyskać.

Szczęściem czuwało nad nim oko matki, a królowa Sonka, gdy nie wiedziała nawet, sercem macierzyńskim przewidywała niebezpieczeństwo.

Sklonności też młodego króla nie zagrażały jego przyszłości. Przedewszystkiem był to marzący o swem rycerskiem powołaniu młodzian niecierpliwy, który potrzebował sobie jednać przyjaciół i zawsze się otaczać rówieśnikami.

Garnęli się też do niego chętnie starsi nawet, widząc w nim chojność ojcowską. Przeciwno temu chórowi, który nigdy nie śmiał królowi w niczem się sprzeciwić, a wyprzedzał fantazje jego, trzeba było postawić jakiś samoistniejszy charakter, coby się nie wahał powiedzieć prawdy i nie dopuścić zbyt niej samowoli.

Królowa, znająca już dobrze Grzegorza z Sannoka, nie schlebując nigdy, mającego w potrzebie odwagę sprzeciwienia się, zażądała go mieć przy synu.

Zawołany na dwór, został wpuszczony do królowej, która już na niego oczekiwała.

Podawała mu rękę do pocałowania, uśmiechając się.

— Mówiłam już z Tarnowskimi odezwała się. — Jesteś wolny, żądam, abyś na zamek się przeniósł i króla nie odstępował.

Grzegorz się pokłonił.

— Miłościwa pani, zaszczyt to dla mnie wielki

ale jakież ja tu zajmę stanowisko? komu mam być podległy? jakie będą obowiązki moje?

Królowa z pewną niecierpliwością i objawem rozdrażnienia spojrzała na bakałarza. Piękne jej pełne wyrazu oczy, w których silna wola się malowała, chwilę mierzyły pytającego i przygotowywały do odpowiedzi.

— Pozostaniesz przy królu—rzekła—jako starszy przyjaciel jego, jako oko moje, jako stróż z ramienia matki. Nie będziesz podlegał nikomu oprócz mnie. O przyszłość swoją możesz być spokojnym.

— Nie troszę się o nią, miłościwa pani — rzekł Grzegorz—ale o obowiązki, jakie będą włożone na mnie, abym mógł im podołać.

Królowa oblekła się powagą i podniosła głowę namysławiając chwilę.

— Obowiązkiem waszym będzie stać przy królu i mówić mu prawdę, tam gdzie wszyscy prawić będą poehlebstwa. Władysław dobry jest, ma najszlachetniejsze serce, ale młody, rozmarzony, niedoświadczony, potrzebuje hamulec, królowi nie łatwo kto ma się odwagę sprzeciwić. Jam matka, nie zawsze przemówić mogę, nie wszystko mi się mówić godzi. Będziesz mieć odwagę za mnie?

Grzegorz myślał chwilę i rzekł z uroczystym namaszczeniem:

— Spełnię rozkazy wasze.

— Przenoście się na zamek, marszałek wskaże wam izby w bliskości królewskich.

Kończyła te słowa królowa, gdy z wesołą twarzą, strojny, piękny, wysmukły, z śniadą swą twarzą, ciemnymi oczyma, włosami w puklach spadającymi na ramiona, ukazał się Władysław. Zobaczywszy Grzegorza, uśmiechnął mu się, witając matkę.

Oba oni, starszy i młodszy nawykli byli nie tylko ją szanować, ale bez najmniejszego oporu spełniać każdą jej wolę. Sonka łagodną była dla nich, ale nigdy z rąk władzy macierzyńskiej nie wypuściła.

Cheiał odehodzić Grzegorz, gdy skinienie pani wstrzymało go.

Wskazała synowi na stojącego bakalarza.

— Grzegorz z Sanoka pozostanie na dworze, ehceć byś go miał przy sobie, spodziewam się, że ci będzie miłym.

Król młody podał mu rękę.

— Nie wiem czy kogo kocham więcej nad niego—rzekł z uśmiechem—ehociaż kłóeimy się z nim bardzo często.

— A ja właśnie dlatego sprowadzam go na dwór, aby kłócił się z tobą—przerwała królowa Sonka.—Nadto ei się wszyscy kłaniają..

— Niech on mnie strofuje! Ja się go nie boję—odparł Władysław zawsze wesolo.

Odpuszczono nareszcie bakalarza, który poszedł pożegnać swych wychowawców i, wedle zwyczajn, donieść pani Frączkowej o nowem szczęściu czy obrocie losu, jaki go spotkał.

Miał on wielkie znaczenie.

Zwlekane dotąd poświęcenie się stanowi duchownemu, musiał Grzegorz stanowczym krokiem zakończyć. Nosił suknię, nie mając święceń, wahał się jeszcze.

Dawano mu oddawna do zrozumienia, że byłby mógł otrzymać beneficjum jakieś, probostwo lub kanonię, gdyby kapłanem został. Rozdawano je wprawdzie naówczas i długo potem jeszcze, osobom świeckiego stanu z obowiązkiem trzymania wikaryuszów, lecz było to wyjątkowem i przez duchowieństwo niedobrze widzianem.

A Grzegorz nie czuł w sobie jeszcze tak jawnego powołania, aby się wyrzec na zawsze swobody życia i nadziei.

Pani Frączkowa też, która była jego Egerią, nie nalegała na pośpiech, choć przewidywała, że się na święceniu skończyć musi.

I tym razem Grzegorz poszedł do dworku Balce-

rów naprzód, pochwalić się tem, co go niewiedziło. Spotkał w progu starą Balcerowę.

— A co, matuniu—rzekł do niej wedle poufalego zwyczaju dawnych czasów. — Żle ze mną. Ludzie się Grzesiem waszxm rzucają. Tarnowscy już mnie nie chcą. Wyrzekli się.

Widząc uśmiech na jego ustach, nie ulękła się jakoś Balcerowa.

— Cóż myślisz poczynać?

— Albo to człowiek ma w czem wolę swoją?— rzekł Grzegorz wchodząc za nią do izby. — Teologowie i filozofowie powiadają o wolnej woli, ale bodaj tak świat widzieli!

Mus iest we wszystkim, chcesz czy nie, konieczność ciągnie.

— Dokąd? — wtrąciła nadchodząca Frączkowa.

Grzegorz witał się z nią i odparł obojętnie.

— Kazała mnie przywołać któłowa dziś i poleciła przenieść się na zamek, a stać przy młodym królu.

Lena przetrząsnęła głową.

— Skarżysz się na to?—zawołała.

— Jako żywo, bo ja na nic się nie zwykłem skarżyć, to raz, a powtóre, skarga się nigdy na nic nie zdała i jest rzeczą dziecinną, ale czy to bardzo wygodne i zdrowe? nie wiem.

Westchnął.

— Lepiej było w kolegium?—zapytała Frączkowa.

Wtem praktyczna Balcerowa wtrąciła.

Cóż wam na zamku przeznaczono robić? bo jużciż miejsce dać musieli.

Grzegorz głową trząsł.

— Dali mi miejsce Ezopa przy królu.

Kobiety spojrzały po sobie nie rozumiejąc.

— Cóż to jest?—spytały.

Śmiał się bakalarz.

— Trudno wytłumaczyć, mam królowi mówić prawdę, a tak słodką, aby ją przełykał—rzekł wresz-

cie. — Będę wisiał przy dworze, trochę więcej jak błaznem, a trochę mniej niż ochmistrem.

— Nie drwij—przerwała Lena, która nie lubiła, aby ją lekceważono.

— Mówię prawdę — ciągnął dalej Grzegorz — Nie dano mi żadnego urzędu, ani obowiązku, królowa chce, abym młodego pana miał na oku i ostrzegał go.

— Toć najlepszy sposób zbliżenia się, przywiązania do siebie i pozyskania.

— Nieprzyjaciela—dokończył Grzegorz.—Zbrzydzi mnie sobie.

Kobiety nie chciały tego zrozumieć.

— Druga konieczność — dodał Grzegorz — że wreszcie suknię, którą noszę, trzeba będzie dać pokropić święconą wodą i wygolić sobie koronę na głowie.

Westchnął. Frączkowa się popatrzała na niego i ramionami ruszyła.

— Nie chce mi się wierzyć w takiego księdza.

— Mnie też — dokończył Grzegorz — ale śpieszyć nie będę.

Smutnie jakoś skończyła się rozmowa. Po chwili despotyczna pani Frączkowa zawczasu zaczęła nad tem boleć, że Grzegorz na zamku zajęty o nich zapomni.

— A ja tego nie ścierpię — dodała. — Nie było nas do siebie przyzwyczajać, teraz chcesz, czy nie chcesz, musisz służyć Frączkowej.

— Tego się nie zarzekam — rzekł bakałarz. — Nie mam, oprócz was, na świecie nikogo.

W złą wyrzekł to godzinę.

Frączkowa się nagle śpieszniejszym krokiem zbliżyła do niego z dosyć zafrasowaniem obliczem.

— Nie w porę wam to oznajmię—rzekła — ale zataić trudno. Właśnieście powiedzieli, że nikogo nie macie, a bodajbyście nie woleli naprawdę nie mieć rodziny.

— Albo co?—przerwał zdziwiony Grzegorz.

Kobiety się na siebie popatrzyły.

— Nie ma co tać—odezwała się Frączkowa.—
Drugi już dzień jak tu przychodzi obdarty, pijanica,
zawadyaka okrutny, a mieni się waszym bratem
Zbilutem i szuka was. Nie chcieliśmy mu o was po-
wiedzieć, abyście wstydu nie mieli.

Grzegorz pobladł i zerwał się na nogi, ręce
łamiąc.

— Być-że to może! Zbilut tn. Rodzony mój,
Boże wszechmoeny! W tej chwili!

— Jeżeli go Viertelnicy pijanego gdzie nie po-
chwycili przy kościach, to tylko co go nie widać —
—mówiła Frączkowa.—Upał się tu chodzić. aby ko-
niecznie wymódl na nas wiadomość, gdzie ma szu-
kać brata. Ale strach spojrzeć na niego! a wam się
serce zakrwawi, gdy go zobaczycie.

— Brat, brat!! — powtarzał Grzegorz wzruszo-
ny.—Rodzony brat! Jakże ja go mogę opuścić. Je-
go jednego w świecie mam! Może nędza do tego
stanu biedaka przyprowadziła, może rozpacz każe
mu szukać zapomnienia w pijaństwie. Brat—powta-
rzał Grzegorz.

W tem w sieniach dał się słyszeć głos chrypliwy.

— Puszczej nieponiu! bo ci łeb rozkwacę. Sły-
szysz! Szlachcie! jestem ty łyku jakiś, rabie.

Frączkowa uszy zasłoniła sobie rękami i rzu-
ciła się do drugiej izby, gdy Grzegorz, domyśliwszy
się Zbiluta, zapomniał o wszystkim i wybiegł na-
przeciw niego wołając.

— Zbilut! brat!

Szedł z rękami otwartymi, aby go przycisnąć
do piersi, ale na widok, jaki mu się przedstawił,
cofnął się z jękiem przerażony.

Przed nim stał młody jeszcze mężczyzna w su-
kni zbroczonej, poszarpanej i odartej, w czapczynie
na tył głowy zarzuconej, z brodą zarosłą i rozcz-
ochraną, z włosami, w których słoma i śmiecie tkwiło.
Twarz jego czerwona krwawo. zwierzęcego wyrazu,

oczy zaszle krwią, sińcami okryte i guzami czoło, brudne ręce, czyniły go obrzydliwym i strasznym.

Na widok Grzegorza, zaniemiawszy na chwilę Zbilut, ręką niepewną, drżącą sięgnął do czapki i zamruczał.

— Czołem!

— Zbilut!— zawołał Grzegorz.

— Tak jest, Zbilut Strzemieńczyk z Sanoka — odparł helkocząc pijany.—Szukam brata zgubionego. Ten slysze tu opływa w dostatkach, a krew jego wszy jedzą. Taka sprawiedliwość na świecie.

Otarł rękawem zaślinione usta, splunął i począł niepewien jeszcze kogo miał przed sobą, bo mu się w głowie mąciło, przyglądać się Grzesiowi, który zawołał surowo.

— Chodźmy ztąd!

W Grzegorzu walczyło wzruszenie i odraza, a smutek, jakim go przejmował widok pijanego, zezwierzęconego człowieka, w którym chciał widzieć hrata. Zbilut, nie okazując najmniejszej czułości, wpatrywał się oczyma zażawionemi od pijaństwa temu, w którym się domyślał brata. Bakalarz wyszedłszy tarł czoło, myśląc co pocznie z tym człowiekiem, z którym naprawdę wstyd było się pokazać w ulicy.

Potrzeba było mieć mężstwo wielkie i miłość, jaką czuł Grzegorz, aby spełnić ciężki obowiązek.

— Masz gdzie jakie przyporzysko? gospodę? zapytał, stojąc w ulicy.

Zbilut ruszył ramionami.

— Gdzie tu w tym przekętym Krakowie znaleźć dziurę? Ludzie jak drapieżne zwierzęta! Trzy razy mnie w szynkach pobito. Nie mam kąta, nie mam grosza. Ostatnią noc nie wiem gdzie spał pod murem.

— Aleś pił i jesteś pijany!

— Co to pijany? Człowiek, gdy nie ma co jeść, musi pić—krzyknął Zbilut.—Jeżeli jesteś moim

bratem, no, to prowadź mnie do siebie na gospodę,
A jużci!

— Nie mogę — rzekł Grzegorz — ja mieszkam na zamku przy królu, a tam takich obdartusów jak ty nie cierpią. Dostałbyś się do kuny.

— No, to gdzie chcesz mnie wsadzić, aby dach nad głową, jeść i pić w bród, bom głodny — rzekł Zbilut — a nie, to po ulicach wywoływać będę coś za brat. Wstydu narobię.

Wziął się w boki.

— Jam tu darmo z Sanoka na piechotę nie przywłókł się. Powiadali ojcu i mnie, że wy tu opływacie.

— Żyje ojciec? — przerwał Grzegorz.

— Nogami suwa, ani go dobieć! — odparł Zbilut. — I grosza mi już nie daje... a trzyma co ma pod sobą.

— Nie mogłeś to pracować? — zawołał surowo Grzegorz.

Zbilut splunął.

— Ale! — wykrzyknął. — Boso, w tym kupraku, bez konia szlachcicowi służby szukać? Stary nie dać nie chciał, on wszystkimu winien.

Po krótkim namyśle Grzegorz nie przedłużając rozmowy, począł iść w miasto. Nie mógł go gdzieś indziej umieścić, tylko pod dozorem człowieka, któryby litość nad nim miał, a razem energię do powstrzymania go od pijaństwa.

Za czasów, gdy poczynił tu do szkół chodzić, bakałarz na jednej ławie siadywał z bardzo biednym, starszym od siebie wyrostkiem, którego przezywano niewiedzieć z kąd Grochowiną. Przydomek mu się ten pozostał. Grochowina, który uczyć się począł, gdy był pod wąsem, niedaleko zaszedł w szkołę. porzucił ją potem i w mieście go do straży zaciągnięto. Był starszym nad częścią pacholków miejskich, Vliertelników.

Choć sam nieuk, Grochowina miał wielkie posza-

nowanie dla ludzi stanu duchownego i nauczycieli, chlubił się tem, że z Grzegorzem razem do szkoły chodził, a spotykając się z nim, uśmiechał mu się i kłaniał. Był to człek dobry, ale nawykły do ocierania się ciągłego o gawiedź uliczną, do snrowości wdrożony i nieubłagany dla hultajów.

Wiedział Grzegorz, że Grochowina mieszkał w lichej izbie u Floryańskich wrót i spodziewając się go tam znaleźć, bratu iść kazał za sobą. Zbilut mruczając ciągnął za nim.

Grochowina stał właśnie w furcie, gdy nadeszli, na wieczorny obchód swojego kwartalu się sposobiąc.

Pospieszył bakałarz przodem ku niemu, a poznawszy go zaledwie, drab zdjął kołpak z głowy i począł się uśmiechać z dziecinną radością.

— Grochu mój! — zawołał bakałarz — patrzaj na tego, którego z sobą przywiodłem... pijanicę co się tak zatacza. Jest to mój rodzony brat! Bieda go do tego doprowadziła. Nie mam na razie co z nim począć. Miej nademną miłosierdzie. Weź go do siebie do izby... nakarm, pić mu nie dawaj, włóczyć się nie pozwalaj.

Wyjął z kalety bakałarz garść denarów i wsyłał je w szeroką dłoń Grochowiny.

— Nim się namyszę co z nim począć, może się ustatkuje. Zatrzymaj go przy sobie, ale mu za próg nie daj wychodzić i pić nie dopuść.

Grochowina słuchał z uwagą, potrząsając głową.

— Jednak — dodał litując się bakałarz — nie bądź za surowym... obchodź się z nim łagodnie. Jutro przyjdę, aby coś na przyszłość obmyśleć.

Zbilut stał tymczasem oglądając się dokoła.

— Słuchajcie — zawołał do brata razem i do nieznanego Grochowiny — a gdzieby tu się posilić? Pić mi się chce wściekle.

— Targnął za rękaw Grzegorza.

— No, cóż będzie?

Strzemieczyk. T. I.

— Zostaniesz tu, dadzą ci pomieszczenie i strawę—rzekł bakałarz.—Naprzód ci się wyspać potrzeba, nim ja z tobą mówić będę.

— Cóż to to? przecie nie gospoda — odparł chmurząc się Zbilut—wygląda na więzienie?

— Izba jest jasna i dobra u mnie — przerwał zwolna go pod pachy biorąc Grochowina, i popochając przed sobą na ciasne wschodki.—Idźmy.

Grzegorz poszedł też za nimi.

Weszli do komory sklepowej, dosyć obszernej, w której kątach był nagromadzony rynsztunek wojenny. Parę okien kraciastych, niewiele światła dopuszczających, czyniły ją dosyć smutną. W kącie stał tarczan Grochowiny, a na stole w pośrodku postrzegłszy dzban i kubek, Zbilut wprost niepytając nikogo, chwycił się do nich. Ale oboje było próżne. Z pogardą postawił je nazad i obejrzał się.

— Jeść—zawołał—i pić!

— Wszystko przyjdzie swego czasu — rzekł Grochowina — a mnieby się widziało, abyście naprzód na mój tarczan szli spocząć.

Bakałarz stał z niewymownym litości wyrazem przypatrując się odzyskanemu bratu.

— Zbilut—rzekł poważnie.—Chcesz-li, abym ci bratem był, stań-że się takim, abyś mi wstydu nie czynił.

Będziesz miał wszystko, co ci potrzeba, oddam ostatnie, podzielę się z tobą czem mogę, ale hultaja nie ścierpię.

Zbilut zdawał się słuchać, piąte przez dziesiąte rozumiejąc ledwie.

— Alboś ty mi brar albo nie brat — odezwał się—a jeżeliś mi brat, to mi powinno być wszystko w bród. Za co ja mam nędzę cierpieć, kiedy ty w flamskim suknie paradujesz.

— Ale ja na nie zapracowałem! — odezwał się Grzegorz.

— To i ja z kordem w rękę, ino mi dać co

się należy, potrafię też po łbach ludzi walić, bo to jest szlachecka sprawa. a ja jestem szlachcic zawołania Strzemię. Klechę, jako żywo nie będę, a w rycerskiem rzemiośle nikt mi nie sprostą.

Wyciągnął pięść, ale zachwiał się na wąskiej ławie, na której padł, i gdyby go nie pochwycił Grochowina, na ziemięby się stoczył. Silny drab raz go ujawszy, rzucił na tarczan i dał znak Grzegorzowi, aby był o niego spokojnym.

Zbilut znalazłszy się na posłaniu, zabelgotał coś niewyraźnie, ale wypity trunek go rozmarzał, i po chwili, choć rzucał się i chciał wstawać, sen nim ośladnął.

Bakałarz spojrział zdala z politowaniem, poszeptał z Grochowiną i odszedł.

VIII.

W tydzień potem, pijanicy Zbiluta, którym brat się zajął serdecznie, poznać było trudno. Naprzód od stóp do głów odział go swoim kosztem bakałarz, nakarmił, opatrzył, a gdy się wytrzeźwił i oprzytomniał, wymówił na nim przyrzeczenie, że pić nie będzie, obiecując mu rycerską służbę dobrą wyrobić przy jakim pańskim dworze. Zbilut otrzeźwiony, zdawał się na wszystko zgadzać. przyrzekł bratu poprawę, lecz czem był w dzieciennym wieku, pozostał i teraz, to jest najchytrzejszym i najzepsutszym z ludzi.

Umiał się przyłożyć tak i przybrać pokorną i powolną powierzchowność, że bakałarz mu uwierzył. Tłumaczył się rozpaczą, do której go nieludzkość ojca doprowadziła.

Pobyt u Grochowiny, trochę więzienny, nie podobał się Zbilutowi, obawiał się tego draba, który pilne miał na niego oko, wyprosił się więc do jakiegoś mieszczanina, z którym zrobił znajomość

Przez dni kilka układał się tak dla Grzegorza, aby go nigdy pijanym nie zastał. Późno potem w noc wykradał się do browaru i tam pił do upadłego; a że piwnice naówczas, zwłaszcza odleglejsze, pełne były kosterów, z nimi też kości rzucił i kilka guzów oberwał. Złożył je na jakiś przypadek, a przed bratem ciągle statecznego udawał, powtarzając:

— Ja teraz nie, tylko wodę! abym głodnym nie był!

Chcąc go w służbę wojskową dać, musiał Grzegorz o koniu, o zbroję, o miecz, o koncerz, o suknie i o rząd się starać, tak, że co miał tylko grosza, wydał na to. Zbilut przyjmował dosyć wdzięcznie, ale potrzeby coraz nowe wynajdywał, a potem obiecywał pokazać dopiero co umie.

Bakałarz, któremu o te czasy przypadło razem starać się w akademii o nowy stopień mistrza (magister), bo ten mu był do dalszego pomieszczenia się potrzebnym, stać u boku króla, nieraz potajemnie być wzywany do królowej, a zarazem brata tego na ludzi wyprowadzać, nie miał jednej chwili wolnej.

Przybycie Zbiluta zubożyło go... oddał mu, nie jak postanowił połowę tego co miał, ale niemal wszystko co zbierał.

Lecz nie było mu strasznem ubóstwo, bo dla siebie nie potrzebował wiele, a cieszył się tem, że brata wyrwie z błota.

Wychwalał się tą szczęśliwą przemianą przed Frączkową, która jako kobieta nie tak łatwowierna,

uśmiechała się tylko i głową trzęsła. Nie wierzyła w poprawę zawadyki i pijaka.

Właśnie gdy już mistrzem mianowany Grzegorz z Sanoka, dla odrodzonego brata spodziewał się znaleźć pomieszczenie we dworze wojskowym wojewody sandomierskiego, jednego dnia dano mu znać z gospydy, w której przebywał, że porąbany, pijany, odarty ze wszystkiego Zbilut, leżał w krwawych chustach, potrzebując więcej lekarza niż służby.

Grzegorz pospieczył do niego.

Potłuczony Zbilut, który miał się czas wytrzeźwić, nie przyznał się do tego, że go przy kosterstwie odarto i posieczono, ale zmyślił baśń, jak go nocą łotrzykowie napadli.

Przysięgał się, że całe pijanym nie był, i że stał się ofiarą zbójów.

Okazało się, że i kupiony koń znikł, bo go wzięli roztrucharze, i zbroi nie było i sukni nie stało. Słowem cała ta wyprawa, na którą Grzegorz w poście czoła zebrany grosz oddał, marnie przepadła. Uwierzyć niezręcznym kłamstwom Zbiluta nie było podobna. Wahał się jeszcze brat, mówiąc sobie, że nałogowy i popsuty człowiek nie odrazu poprawionym być może, chciał go ratować, lecz w kilka dni potem polepionego plastrami łotra zastał bez zmysłów spitego.

Wstręt i odraza, mimo litości, oburzenie go opamięnowało. Podniósł ręce, zakrył sobie oczy i zawołał do gospodarza.

— Czyli z nim co chcesz, ja więcej o nim wiedzieć nie chcę! Jego nie uratuję a siebie zgubię.

Lecz łatwiej to było powiedzieć niż uskutecznić.

Zbilut wytrzeźwiony, wylizawszy się, począł od tego, że resztę rzeczy sprzedał i przepił, potem stanął około zamku na czatach i czyhał na brata.

Ze zwykłą logiką ludzi jemu podobnych. wywoływał głośno.

— Co to on sobie myśli, że ja mu tu będę z gło-

du marł, kiedy on u króla je i pije. Albow brat albow nie brat, musi mnie tak trzymać, jak mi się należy. Ja swoje prawa znam i nie popuszczę.

Grzegorz uwiadomiony o tej napaści, która się na niego gotowała, z rezygnacją chrześcijańską zniósł ten krzyż pański. Dopóki miał nadzieję, że uratuje człowieka, gotów był na wszelkie ofiary, zrozpaczywszy o tem, postanowił nie czynić już nic, a upokorzenie znieść stoicko.

Szczęśliwy traf wyzwolił go od tego. coby go niechybnie spotkało, gdyby królowa w tajemnem poselstwie nie kazała mu jechać do Węgier do cesarzowej Barbary.

Gdy Zbigniew Oleśnicki wewnętrzne sprawy państwa, spory ze Świdrygiełłą, Krzyżakami, z warchołami husyckimi załatwiać musiał, królowa tymczasem, w części bez wiedzy jego, lub wcale mu się nie zwierając, przewidywała zawiechrzenia w Węgrzech i Czechach, po niewieściemu przygotowując się z nich korzystać.

Nie miała nawet wstrętu do hussytów, których Zbyszek odpychał jako kacerzy, przysposabiając pomiędzy nimi stronnictwo. któreby Kaźmirza małego na tron wezwać mogło.

Tak samo z pomocą cesarzowej Barbary, co ledwie do prawdy zda się podobnem, spodziewała się już Władysławowi węgierską zapewnić koronę.

Zygmunt cesarz chorzał, Barbara z zimną krwią i przewrotnością najzepsutszej kobiety spiskowała z królową Sonką, czyniąc jej nadzieję, że zaślubi Władysława i uczyni go panem na Węgrzech.

Zabiegi te były naówczas jeszcze zaledwie rozpoczęte nieśmiało; nikt o tych marzeniach królowej matki nie wiedział, oprócz cesarzowej Barbary, tymczasem jednak pilno się starano o pozyskanie ludzi wpływowych w Węgrzech i Czechach.

Królowej Sonce niedosyć było dla Władysława polskiej korony; a prawdopodobnego wielkorządziwa

na Litwie dla Kaźmirza, upajała się tą myślą dziwną, że jej synowie panować będą nad Polską, Węgrami i Czechami.

Potworna myśl przeszło pięćdziesiątletniej cesarzowej Barbary, poświęcenie syna tej kobiecie, której życie swawolne i bezwstydne dla nikogo tajemnicą nie było, wszystkie trudności tego olbrzymiego i zuchwałego planu nie odstraszały królowej Sonki.

Wiedziała ona, że zwierzyć się z tem nikomu nie mogła, bo niktby nie poblażał myśli dzikiej i wstrętnej, zdawało się jednak Słońce, że powinna była pracować dla zapewnienia synom wielkiej potęgi, i w ciszy nie ustawała knować w Węgrzech i Czechach.

Zabiegi jej okrywała tajemnica największa, a Grzegorz z Sanoka, którego sądu obawiała się królowa, tak mało wiedział o tem jak i drudzy, bo mu nie nie mówiono. Sonka tylko znając go wiernym sobie i królowi, rozumnym i zręcznym, posługiwała się nim, jako narzędziem, gdy potrzebowała listy przewieźć, lub przeznaczone do Węgier i Czech pieniądze.

Nadzwyczaj czynna królowa umiała mileżeć, a synów tak przysposabiała do ślepego dla siebie posłuszeństwa, iż najmniejszego z ich strony oporu spodziewać się nie mogła.

Władza jej nad dziećmi była nieograniczoną. Król Władysław, choć dorastał i wkrótce być miał usamowolnionym. przy matce czuł się chłopięciem tylko, które skinienia jej słuchać musiała.

Niewidoczna dłoń pani na dworze poruszała wszystkiem, nadawała kierunek, usuwała i ściągala ludzi.

Dzieci swe umiała zręcznie przygotować do tego, co wedle myśli spełniać mieli; budziła w obu ambicję wielką, żądcę sławy i panowania.

Starala się też przypatrzwszy rządowi Jagiellów który sam przez się mało lub nie nie czynił, zahar-

tować ich charaktery, aby nad sobą nikomu przewodzić nie dali.

Z Władysławem, rozmarzonym rycerzem, szło jej po myśli, gdy go do wojen i zdobyczy podzegała, ale energii w nim takiej, jakiej pożądała, wyrobić nie mogła. Jak Jagiełło dobrym był, łagodnym, hojnym i miękkim. Obok męztwa, które już w chłopięciu zapamiętało było i niczem niedające się ustrząszyć, Władysław serce miał prawie niewieście. Potrzebował aby go kochano, nie dbał, by się go lękał kto inny, oprócz wroga na polu bitwy.

Każmierz równe obiecujący męstwo, zdawał się skłonniejszym od zahartowania i więcej w sobie zamkniętym.

Grzegorz z Sanoka obcujący z nimi, musiał we-
dle skazówek królowej, wpływ na obu wywierać.

Niechętnie pozbywała go się Sonka od dzieci nawet na czas krótki, lecz gdzie tajemnicę potrzeba było zachować i przewieść jakie słowo, które do niego po drodze nęła dostać się nie powinno, tam mistrz Grzegorz jechać musiał.

I teraz więc dnia jednego znikł on z Krakowa, a nikt nie umiał powiedzieć dokąd się obrócił.

Właśnie gdy Zbilut czatował nań, zapijając się po browarach i odgrządzając na brata, Grzegorz był na drodze do Węgier.

Los chciał, by w nocnej jakiejś rozterce z łotrami, z którymi Zbilut przestawał, nie on pobity został, ale przeciwników swych pokaleczył. Schwytany z kosterami już nie poraz pierwszy, dostał się do miejskiego więzienia i tu go znalazł Grochowina

Ten znając już dobrze człowieka, a wiedząc ile strapienia przyczynił Grzegorzowi z Sanoka, postarał się o to, aby go bez zbyteńnego rozgłosu, prosto z miasta wyswiecono.

Napróżno niepoczeiwy człek odwoływał się do mistrza brata i do królowej, ponieważ nie jeden już raz poszlakowanym był, wywieziono go precz za

miasto, a Zbilut wiedział, co go czekało, gdyby, mimo zakazu, był pochwycenym.

Gdy spełniwszy posłannictwo swe wrócił mistrz Grzegorz do Krakowa, brata już tu nie zastał. Frączkowa, która się niepokoiła tym zbójem, i rada, była widzieć go wygnanym, miała o tem wiadomość. Zjawił się u niej Grzegorz i od niej posłyszał o tem, co Grochowinie był winien.

Rad był może, iż pozbył się ciężaru, ale pocziwem sercem odczuwał tę stratę. Ojciec stary, który, jak Zbilut mu opowiadał, dotąd nie przebaczył ucieczki, i ten niepoprawny łotr, składali całą jego rodzinę. Czuł się sierotą.

Wincenty Kot z Dębna, który był przy królewiczu, z nauczyciela jego postąpił na kancelerstwo, to go odrywało od młodych wychowalców, tem większy więc ciężar spadł na Grzegorza z Sanoka. Musiał on prawie nicodstępnie towarzyszyć królowi, i podzielać zabawy jego i zajęcia.

Młodzi Tarnowscy Amor i Gratus, dawni uczniowie, znajdowali się także na dworze. Wszystkim im, nie wyjmując Kaźmirza, Grzegorz umiał być miłym i zjednać ich sobie, chociaż żaden pochlebstwem się oto nie dobijał.

Owszem mówił im często prawdę, ale zarazem wesoło, dobrymi słowy, z serca płynącemi.

Królowa równie z niego była rada, chociaż surowego jego sądu obawiała się nieco i nie zwierzała mu z tego, czego była pewną, że pochwalić nie mógł. Odznaczał się tem, że przekonań swych dla przypodobania się nikomu nie zrzekał.

Jak w akademii gorszył starszych pomysłami nowemi, tak na dworze nieraz mu uniżający się i płaszczący ludzie nie mogli darować tego, iż niepodległym się okazywał.

Lecz wiedziano, że na niego, raz go pozyskawszy, rachować było można.

Życie na dworze i przy królu, wcale nie prze-

szkadzało Grzegorzowi po nocach ślęczyć nad księgami. Właściwie, dzień dla niego był służbą, noc życiem prawdziwym, bo naówczas przy lampce zasiadał do obcowania z nieśmiertelnemi duchami swych ulubionych poetów, i wczytywał się w Plauta, którego naśladować usiłował.

Żałował teraz i bolał, że za młodu przedsięwziawszy wędrowkę, nie przeciągnął jej za Alpy, do Italii tej, z której płynęły drogocenne rękopisma, słynącej skarbami swemi.

Goszcząc raz na zamku biskup Zbyszek, który piękną łacinę Grzegorza cenił wielce i przestając z nim, umyślnie może rozmowę zwracał na piśmiennictwo, aby go w inne nie wtajemniczać sprawy, usłyszał to życzenie, a raczej żal, iż mu nie dano było gościć we Włoszech.

Zmarszczył czoło i spojrzał bystro na młodego mistrza.

— Dziwnie się to składa—rzekł—bo życzenie wasze schodzi się z moją pilną potrzebą wysłania zaufanego męża na dwór Ojca św. do Rzymu? Gdyby królowa jejmość i młody pan zgodzili się na to, chętniebym wam powierzył poselstwo moje. Nic od rzeczyby też było może, abyście suknię nosząc duchowną i święcenia kapłańskie otrzymali, a te z łatwością byście tam uzyskali.

Myśl ta uśmiechała się wielce Grzegorzowi, lecz nigdy się nie spodziewając, aby ją mógł przyprowadzić do skutku, gdy nagle ujrzał blizkie urzeczywistnienia, oniemiał prawie z podziwienia i radości.

Okazywać jej jednak nie śmiał, bo będąc na usługach królowej, nie wiedział czy go odpuścić zechce. Wszystko więc pozostawił biskupowi Zbyszkowi.

Ile razy znajdował się w takim położeniu, w którym człowiek szuka kogoś, aby się z nim myślał i uczuciem podzielić, Grzegorz nawykł był zwracać się do dworku Balcerów.

Frączkowa, prawda, była kobietą nieuczoną, je-

dnakże przy tym mistrzu nabyła, przyswoiła sobie zdrowy sąd nawet w tych rzeczach, o których otwarcie powiadała, że się na nich nie znała i nie rozumiała. Słuchała Grzegorza, i często zdumiewała go sądem zdrowym. Z nią zresztą mówił jakby sam z sobą, tak znajdował jej wyobrażenia pokrewnymi swoim.

I tym więc razem, rozkołysany myślą, że podróż do Italii przyjąć może do skutku, poszedł się podzielić z Frączkową swoją nadzieją.

Już w progu, znająca go dobrze jejmość, na twarzy wyczytała, że coś pomyślnego przynosił, bo mu się oblicze uśmiechało.

Nie śpieszył jednak z dobrą wieścią.

— Coż mi tam przynosicie? — zapytała Lena siadając naprzeciw niego — bo czuję i widzę, żeście nie przyszli z próżnemi rękami.

— Otóżecie się omylili! — rozśmiał się mistrz — bo naprawdę tylko wiatr i dym przynoszę w nich!! Nadziei wszelkich inaczej nazywać się nie godzi.

— A z jakąż nadzieją przychodzicie? nalegała Frączkowa.

Grzegorz się wstrzymał trochę z przyznaniem do niej, przypominał sobie, że jejmość nie była rada gdy podróżował.

— Dawnom marzył — odezwał się w końcu — aby się do Italii dostać, bo to królestwo ksiąg i nieprzebrane źródło nauki. Otóż, otóż się tak składa, że ks. biskup potrzebuje posła do Rzymu, a po drodze bym i o Bononię i Padwę zawadził.

Skrzywiła się Frączkowa.

— Ks. biskup?? — zapytała głową potrząsając znacząco. i ironicznie się uśmiechnęła — a wy, człowiecze dobroduszny, cieszyć się z tego?

Zdumiał się Grzegorz.

— A dlaczegoż radowaćbym się nie miał? — odparł niemal obrażony.

Dlatego — poczęła Lena — że onby was rad

ode dworu, króla i królowej oddalić, bo może wam rosnącego wpływu zazdrości, może się go obawia!

Grzegorz na chwilę się zadumał, ale gdy podniósł rozumne i spokojne wejście na siedzącą naprzeciw Frączkową, która tryumfowała ze swej przenikliwości, wzrok jego niemal ją upokorzył, oznaczał on politowanie jakieś, miał siłę i wyższość, którą uczuła Lena.

— Przyjaciółko moja dobra — rzekł powoli — za prawdę, zaprawdę w troskliwości waszej o mnie, wy nigdy wszelako nie zrozumiecie, do czego ja dążę i czego pragnę!

Sądziacie, że wysokie stanowisko przy królu, że stanowczy głos w radzie, że udział w rządzie, mogą być dla mnie celem pożądanym, i że ja o nie dobić się myślę.

Tak nie jest! Marne to są sprawy, które za sobą wloką troski wielkie, walkę i odpowiedzialność. Nie pragnę, a niech mnie Bóg strzeże, abym miał wyłączać lub zastępować biskupa Zbyszka. Prowadzić nie chcę! Władzy nie pożądam, za mądrością gonię i jej szukam... a spokoju. Księga nowa, światło nowe, które pozyskam, droższe mi są niż dostojęństwo i skarby.

Na chwilę zatrzymał się, zamilkł, jakby chciał aby słuchająca, dobrze wagę słów jego pojęła.

— Tak — dodał — a jeżeliście mnie widzieli rzucającego cichy ką w kollegium dla zyskowniejszego stanowiska u Tarnowskich, potem od nich przechodzącego w służbę królowej, nie sądźcie, abym to czynił dla władzy i marzeń o dostojęństwie. Wszystko, nawet mądrość kupować potrzeba... chciałem mieć za co nabyć sobie Plauta i Terencynsza! a na później, na starość zabezpieczyć ką i strzechę, pod którąbym nie łaknąc chleba powszedniego, mógł ich czytać i rozmyślać nad niemi.

Nie troszcz się więc dobra przyjaciółko moja o los Grzegorza, który sam o niego inaczej się nie troska, tylko aby mu dał spokój do pracy.

Lena założywszy ręce na piersiach, milczała i patrzała nań.

— Rozumiem i nie rozumiem — odpowiedziała po chwili. — Można juści marnościami świata pogardzać, ale gdy tym światem ku lepszemu pokierować człowiek ma zręczność, czemużby z niej nie korzystał?

Nie dla siebie, a dla świata!

— Jejmość moja — śmiejąc się odparł Grzegorz — ostrożnie, abyśmy nie zabłądzili oboje na marnowce filozoficzne! Sądysz, że kto oprócz Pana Boga i jego wyroków kieruje światem? Sądysz, że Zbyszek, któremu się zda, że prawa dyktuje, jest czem innem, jak narzędziem w ręku Opatrzności! Mylisz się! Każdy powinien czynić do czego się czuje powołanym, a o resztę się nie troszczyć.

Mnie do Włoch woła pożądlivość ksiąg i światła, pójdę za nią, a Bóg sprawi, że moja praca na użytek powszechny się obróci.

Frączkowa tą nauką daną sobie, trochę się czuła może obrażoną i odparła żywo.

— Sądysz więc, że ja się mylę i że Zbyszek nie ma na myśli cię odepchnąć?

— Owszem obojętnie rzekł Grzegorz przyjmuję to przypuszczenie jako możliwe i trafne, ale wzruszam ramionami na to. Obawia się biskup właśnie tego, co mu najmniej grozi. Współzawodnikiem jego być nie myślę.

— A oddalenie się od młodego króla — przerwała żywo Lena — nie dozwolił innym was z jego łaski wyrugować, a samym się w nie wcisnąć?

— Nie sędzę — spokojnie rzekł Grzegorz — lecz gdyby tak było nawet, nie smuciłbym się zbytnio. Król młodym jest, wszystko co może zawinąć spadnie na doradców i przyjaciół jego, nie chcę za niego odpowiadać.

— Jam zawsze, co najmniej marzyła dla was o kanclerstwie — westchnęła Lena — ale widzę.

— Ze ja probostwem się zaspokoję! Dobra prebenda starczy!—zamknął Grzegorz z Sanoka.

— I pojedziesz do Italii?

— Z wielką radością — odparł prędko Grzegorz.—Pomyślcie ino! nie mamy w Krakowie dotąd jednego całego Cicerona, braknie nam wielu pisarzy łacińskich, bez których kalekami jesteśmy. Natomiast traktatów o filozofii, która jest bałamuctwem złożonem z formułek dziecińczych, aż nadto. Czas radzić, aby przyszłe pokolenia nie ogłupiały!

To, co mówił Grzegorz, zdawało się przechodzić granice wiedzy i pojęć Frączkowej, lecz choć może niejasnem dla niej było, tyle razy toż samo powtarzane słyszała z ust mistrza, iż jej to nie było obcem.

Dała głową znak potakujący, jakby mówiła.

— Powtarzasz mi starą piosenkę.

Ale twarz jej smutkiem się oblekła.

— Podróż za góry—westchnęła—pełna niebezpieczeństw i trudności.

— Dla tych co ją odbywają z trzosem nabitym, bo ich hultaje na drodze obdzierają, a podczas i zabijają, ale ja... mamony z sobą wieść nie będę i zaśpiewam zbójom to mnie puszcza.

Choć mistrz rozmowę starał się wesołą uczynić, Frączkowa się zasepiła. Wolalaby była, ażeby nie jechał.

Nazajutrz powołano go do królowej, która go bystrem wejrzeniem zmierzyła.

— Czyście wy się sami nastęrczyli biskupowi do poselstwa?—spytała.

— Nie—rzekł Grzegorz—bom o potrzebie wyprawienia posła nie wiedział, ale przyznać się muszę miłości waszej, że gdybym był zawiadomiony, byłbym popełnił ten grzech, bom zdawna do Rzymu i Włoch wzdychał.

— Ale wy mi możecie być lada chwila bardzo potrzebni — odezwiała się królowa, głos zniżając

krokiem poważnym, ale żywym, jak zawsze parę razy przesunęła się po izbie zadumana. Zwróciła się potem do Grzegorza.

— Nie chciałam, aby biskup zawczasu wiedział, że ja na was rachuję, więc i od tej podróży nie będę was odciągala. Jedźcie.

Tu stanęła bliżej i palec podnosząc dodała.

— Jedźcie, lecz nie bawcie tam. Poselstwo sprawcie prędko. Ojciec św. gdy zażądacie, da wam odpawę rychło. Ja tu na was rachuję. Jesteście mi przy Władysławie potrzebni, a kto wie—szepnęła tajemniczo—może i gdzieindziej. Gdzieindziej!—powtórzyła z naciskiem. — Nie będziecie żalowali służby waszej u mnie.

Grzegorz się skłonił, a królowa po chwili dokończyła patrząc nań, aby wiedzieć jakie to na nim uczyni wrażenie.

— Probostwo w Wieliczce pono opróżnione, postaram się, aby wam je dano. Będziecie je mieć, ale do czasu milczcie.

Grzegorz ucałował wzruszony rękę królowej, która żywo powtórzyła.

— Wracajcie rychło. Ja tu nikogo nie mam, komubym się zupełnie zwierzyć mogła.

Chciała mówić wyraźniej i zawahała się nieco.

— Nie skarżę się na zdradę—ciągnęła dalej—ale nie wszystko co czynię chciałam rozgłaszać przed światem, a nawet przed tymi, co jak biskup dobrze mi życzą.

Na twarzy królowej Sonki błysnął przelotny promyk dumy i pewności siebie.

— Ja kobietą jestem i po kobiecemu to czynię, co inni po mężku możeby w różny sposób od mojego chcieli zdobyć. Okaże się, komu się lepiej poszczęści!

Uśmiechnęła się królowa ironicznie trochę i natychmiast wróciła do powagi zwykłej.

— Jedźcie gdy potrzeba — rzekła — bo bisku-

powi odmawiać nie możecie, ale pamiętajcie, że powracać wam należy rychło, jeśli mnie służyć chcecie. O probostwie w Wieliczce nie mówcie nikomu, ja wam je przyrzekam i mieć je będziecie.

Dzień to był, w którym nie dano Grzegorzowi spoczynku. Biskup Zbyszek wzywał go do siebie. Podróż do Włoch była postanowioną. Pisano listy do Papieża, biskup ustnie dawał instrukcye.

Sobór bazylejski i wszystkie spory i trudności, jakie wywoływał, były przedmiotem głównym poselstwa. Sprawy kościoła polskiego, obsadzenie kateder, stanowiły także ważne zadanie, które biskup Zbyszek chciał powagą Stolicy apostolskiej rozstrzygnąć.

Wszystko to miał przedstawić w Rzymie Grzegorz z Sanoka, ale dla niego Padwa i Bolonia, skarby, które się spodziewał zdobyć, stanowiły największą tej podróży ponętę.

Jak wszystkie umysły mające przeczucie i przekonanie, że nauki postępu uczynić nie będą mogły, dopóki nie przejmą spuścizny po starożytnym świecie, Grzegorz z Sanoka w pisarzach dawnych widział kierowników odrodzenia i przyszłości. Równie z nim namiętnie inni też uczeni poczynali poszukiwać zaginionych pomników. Z nich mówił jakby głos zamilkły długo, który miał być hasłem dla postępu.

Może w tych chwilach rozbudzenia czci dla pogańskich pisarzy i mądrości, bałwochwalstwo dla nich było przesadzonem, może ono z trudnością dawało się pogodzić z nauką chrześcijańską, lecz w przekonaniu tych pierwszych koczowników, odgrzebujących gruzy, dobywających arcydzieła, świat pogrzebiony powinien był z żywym się przejednać, a wnuki przyznać do praojców.

Z tem gorącym pragnieniem światła, Grzegorz z Sanoka, o którego podróży celu mało kto był uwiadomionym, wybierał się z Krakowa.

Król Władysław nie wiedział dotąd o niej. Nie

mówiła mu o niej matka, biskup nie znajdował potrzebnem wtajemniczać go w te sprawy.

Młodego pana dotąd kształcono rycersko, dawano mu się zabawiać z rówieśnikami, lecz zawczasu nie obciążano go zawikłanemi interesami kraju. Biskup zawiadamiał go tylko o głównych wypadkach i tłumaczył mu je tak, aby zdanie jego i rady sobie przyswoił.

Władysław też wcale nie pragnął mieszać się do tego, co za niego matka i biskup szczęśliwie spełniali. Rwał się tylko do wojny, resztę chętnieby był zdał na innych.

Matka i Zbyszek tak go przyzwyczaili do tego, aby się niemi wyręczał, iż Władysław wcale jeszcze woli swej nie miał.

Wszystkie młodości upodobania i żądze, przedwcześnie dojrzewającego pochłaniały. Matka czuwając, nie stawiała im na przeszkodzie.

Wśród najprzykrzejszych zajęć na Litwie, układów z przewrotnymi Krzyżakami, młody pan mógł swobodnie zajmować się swemi końmi, zbrojami, ludźmi, których dla siebie jako straż wybierał i stroił, turniejami, wyścigami i wesołemi zabawami z Tarnowskimi.

Matka dawała czasem wskazówkę, niekiedy surowsze napomnienie. Król naówczas ręce jej całował, rzucał się jej do kolan lub na szyję i odchodził szczęśliwy, że ją widział weselszą.

Nauki matki wszystkie jedno żywiły uczucie, ambicję bohaterstwa i panowania, zdobyczy ogromnych państw, znaczenia i sławy.

Królowa Sonka nie wahała się nawet pocichu boleć przed synem, iż nieboszczyk Jagiełło nie umiał korzystać z tego, co mu się niemal narzucało. Władysław obiecywał jej śmiejąc się, że pójdzie choćby na skraj świata zdobywać, wrogów gromić i ziemie zagarniać.

Wśród wrzawy na pokojach, młody pan próbo-

wał przywiezionej zbroi, którą Tarnowscy i kilku dworzan oglądali na nim i wychwalali, gdy wszedł Grzegorz z Sanoka.

Poważnej jego postaci i sukni Władysław wcale się nie obawiał. Kazał mu więc przypatrzeć się sobie i powiedzieć, jak zbroję, a szczególnie szyszak znajduje, na którym lew i orzeł osadzeni byli. Jaskrawo wyszywane i wystrzygane misternie wiesidła spadały po obu stronach i leżały na ziemi teraz (lambrekiny), bo uzbrojenie do konia przeznaczone było. Królowi pięknie było w tym stroju, a z pod otwartego hełmu śmiała się młoda twarz pełna ognia i życia.

— Mistrzu, co mówisz na moją zbroję?—wołał król.

— Że się na niej nie znam. i gdybym ją pochwalił—rzekł Grzegorz — moja pochwała niebyła warta.

— Tak jak moja, gdybyś mi czytał twojego ulubionego poetę — odparł król.

— Jeszcze mnie — rzekł Grzegorz.

Z oczów mistrza wyczytał pewnie Władysław, że nie darmo przychodził i że coś mu miał do zwierzenia, a że się domyślał poselstwa matki, zwrócił się doń szepcząc.

— Masz co do mnie?

— Chcę waszą miłość pożegnać — rzekł cicho Grzegorz.

Król posłyszawszy to, prędko oburącz uwolnił się naprzód od hełmu, który śmiejąc się, obok stojącemu Amorowi wcisnął na głowę, potem począł zbroję ściągać, do czego mu inni dopomogli i z Grzegorzem poszedł w drugi koniec izby.

— Dokąd jedziesz? zapytał

— O podróży tej albo biskup Zbyszek, lub królowa lepiej zawiadomią waszą miłość — rzekł Grzegorz.—Jadę, bo mnie posyłają.

Król się zmarszczył.

— A jam temu nie rad — rzekł — bo mi was brak będzie. Wy jesteście moim rozumem i gdy mi zabraknie własnego, zwracam się do was jak do dzbana, kiedy kubek próżny.

Obie ręce położył młody król na ramionach ulubionego mistrza i serdecznie spojrział nań łagodnymi oczyma swemi.

— Jedziesz — rzekł — jedź gdy trzeba, ale wracaj do mnie prędko.

Tu zniżył głos.

— Nie chcę, aby mi tu was jaki inny zastąpił, z którymby mi nie było tak dobrze jak z wami.

Tak był nawykły Władysław do posłuszeństwa rozkazom matki, że więcej dopytywać nie chciał. W tej chwili tylko myśl mu przysła.

— Nie wiem dokąd cię ślą, może to być tajemnicą, ale jeżeli będziesz w jakim kraju gdzie oręż i zbroje są piękne, kup ich dla mnie.

Grzegorz głową skinął na znak zgody.

— Jeżeli się na nich poznać potrafisz — dodał.

— Ty! — wtrącił król. — Ty znasz się na wszystkim...

Wyszedł mistrz i tegoż wieczora już go nie było w Krakowie.

Są ludzie tacy, mało na pozór znaczeni, których gdy zabraknie, pozostawiają po sobie niezapełnioną próżnię. Grzegorz należał do nich. Nie występował on nigdy naprzód, ani myślał o narzucaniu się ludziom, a mimo to, trudno się bez niego obejść było. Każdy w nim czuł rozum, pojęcie bystre i szanował jego zdanie. Gdzie zachodziła wątpliwość, nawet w rzeczach obcych napozór jego powołaniu, odwoływano się do niego.

Zabrakło go na zamku krakowskim, a już o tem, jak brak było codziennego gościa w dworze Balcerów, mówić nie potrzebujemy. Frączkowa chociaż mileżąca i zafrasowana, a stara Balcerowa nie

nie mówiąc, śledziła jej kroki i pieszczotliwie głaskała pod brodę.

W kolegiach też, choć Grzegorz nie uczęszczał, nieraz za nim zatęskniono. Tu wszelki spór zwykle, jeżeli nie poddawano rozstrzygnięciu jego, przynajmniej bez zasięgnięcia zdania się nie obszedł.

Z powołania nie teolog, wcale w filozofią scholastyczną niewtajemniczony, bo się z niej wyśmiewał zuchwale, choć nigdy wyłącznie się nie zajmował ani nauką natury, ni lekami, ni matematyką, miał Grzegorz we wszystkim dość wiadomości i rozeznanie, aby dojrzeć i rozeznąć fałsz od prawdy.

Na swój czas zdumiewające były i rażące zdania jego, które wyprzedzały o wiele przyjęte naukowe aksjomata. Nie rozumiano go często, oburzano się czasami, lecz zawsze umysły miały jasnowidzenie, że prawdę głosił. Obawiano go się i szanowano.

W akademii więc tęskniono za mistrzem Grzegorzem.

W tych tęsknotach i wyglądaniu niemal cały rok upłynął. Listy naówczas tak chodziły powoli jak ludzie. Powierzano je podróżnym, kupcom, z rąk do rąk przechodziły, ginęły, a gdy się dostały do swego przeznaczenia, częstokroć ten, co je pisał, sam już także przybył z powrotem.

Ta cisza głucha, oczekiwanie czyniła tęskniejшем, można się było dorozumiewać wszystkiego zle-go i roić najstraszniejsze katastrofy.

Łatwo więc pojąć radość tych, co po kilku miesiącach trwogi, witali wędrowca z powrotem.

Grzegorz z Sanoka zjawił się naprzód na zamku, aby sakwy podróżne złożyć w starem mieszkaniu, potem szedł do dworu biskupa zdać mu sprawę z tego, co widział, słyszał i co mu zlecono w Rzymie. Zbyszek zatrzymał go wieczór cały i część nocy. Oprócz listów, świadek naoczny przywoził papieżkie życzenia i rozkazy. Położenie Ojca św. wobec Soboru i zawikłanych spraw, które się roz-

strzygały, było trudnem, a nawet groźnem. Biskup Zbyszek odczuwał to mocno, bo mu na powadze Stolicy apostolskiej wiele zależało, a lękał się, aby Sobór nią nie zachwiał.

Późno w noc ledwie mógł powrócić na zamek Grzegorz, gdzie już i królowa i młody król, dowiedziawszy się o przybyciu, dopominali się o niego.

Nazajutrz dopiero, po rannej mszy, mógł się królowej pokłonić. Nie spytała o nic, rada tylko była, że go miała z powrotem.

Pierwsze słowo, które mu rzekła, było.

— Gotujcie się do nowej podróży, będzie ona potrzebną rychło.

Król Władysław na szyję mu się rzucił radośnie, Grzegorz po kilku miesiącach niewidzenia ze zdumieniem postrzegł, że urósł znacznie.

— Przywiozłeś mi zbroję? mieczyk? tulich?

— Miłościwy panie — rzekł mistrz wesoło. — Wiadoma to rzecz, że się w podarku tym, których się miłuje, nie daje żelaza ani ostrza. Ledwie jedną tarczę i szyszak zdobył, ale się ich nie powstydzę.

Niecierpliwy król natychmiast pacholków posłał po obiecany gościniec.

Hełm był przedziwnej roboty, ale tarcza krągła piękniejsza jeszcze.

Pierwszy wyrobem włoskim był, wielce kunsztownym, lecz niknął przy tarczy krągłej, przywiezionej ze wschodu, złotem dźwirowanej, nasadzonej kulami złocistemi, w około której jak wieniec tajemniczy okręcał się napis niezrozumiały.

Król jak dziecię się nią zabawiał.

Grzegorz mógł teraz już pójść tam, gdzie mu najpilniej było, do dworku Balcerów, niosąc pod suknią poświęcane różańce i sznury koralu dla obu jejmości.

Tu jeszcze nie doszła była wieść o jego powrocie. Frączkowa od miesiąca w łóżku leżała chora.

Nie wiedziała sama co jej było, nie rozumiała choroby i matka Balcerowa, ale sił brakło i ochoty

do życia. Pobladła i wychudła biedna, a mąż na-próżno lekarzy i jadła najwymyślniejsze sprowadzał dla niej.

Gdy w pierwszej izbie wchodzący się Grzegorz nakazał, a Balcerowa radośnie wykrzyknęła tak, że w sypialni aż głos jej słyszeć było, stał się cud prawie, Frączkowa, która z łóżka się nie mogła podnieść wczoraj, narzuciła na siebie suknię i chustę, i nim się przybyły z matką rozmówił, wybiegła z krzykiem radośnym, obiema rękami chwytając odzyskanego.

Ale wnet, jakby ją ten wysiłek wyczerpał, wpół omdlała zawisła na rękach matki.

Młodość ta nie trwała długo, otworzyła oczy jasne i nowym blaskiem ożywione, a Grzegorz posadziwszy ją w krzesło, podróż swą opowiadać zaczął, dobywając podarki.

Stary Balcer i Frączek znaleźli się tu wnet także na powitanie węgrowca. Znajdowano go opalonym, wychudłym, ale jakby pokrzepionym tą pielgrzymką.

— Teraz już nie pragnę nic — rzekł — bo chybabym do grohu Pańskiego jeszcze mógł tęsknić. Wi-działem Rzym i zwiedziłem te stare gniazda, w któ-rych się nauka pielęgnuje. A nie powróciłem bez zdobyczy i owoców. Czegom kupić nie mogłem, tom nocami przepisywałem, a czegom nie zdołałem skopiować, dobrzy ludzie powierzyli mi lub dla mnie odpisywać kazali. Na całe więc życie moje mam nad czem śle-czyć, a czegóż mi więcej potrzeba?

— I dosyć już tych podróży! — zawołała Frą-czkowa.

Mistrz westchnął.

— Dla mnie byłoby ich już dosyć — rzekł — ałem sługą, a zatem niewoluikiem.

Wszyscy poczęli go zarzucać pytaniami a było opowiadać o czem, począwszy od kraju, którego nie-bo i słońce, rośliny i zwierzęta wydawały się, jakby z czarodziejskiej baśni wyjęte mieszkańcom północy, aż do gmachów, o jakich tu nie miano pojęcia... lu-

dzi i obyczaju osobliwego Grzegorz mówił z żywością młodzieńczą o wszystkim, słuchano go z poszanowaniem.

Tegoż dnia witał w kolegium mniejszem dawnych towarzyszków, przywołując im apostołskie błogosławieństwo.

Tu badano go chciwiej jeszcze, ale właśnie na te pytania, których odpowiedź była najpożądaną, Grzegorz miał usta zamknięte.

Natomiast z zapalem prawił o rękopismach, o pisarzach, komentarzach, o wszystkim, co w Bolonii i Padwie oglądał i czego się tam nauczył.

Twarz jego promieniała, gdy się o tem rozwo-
dził, a starzy nauczyciele ze złożonemi wtórowali mu rękami.

Jednych kościół, drugich nauka ciągnęła do tych Włoch, które przestawszy panować światu mieczem, królowały mu duchem i stanowiły jakby zadzierzgnięty węzeł, który miał całą ludzkość jednoczyć.

IX.

Nadcbodziła jesień i mistrz Grzegorz cieszył się dłuższemi wieczorami, które wcześniej pozwalały zamknąć się przy lampce nad księgami. W zamku i w mieście dzień kończący się rychlej do spoczynku napędzał, zabawy przerywał, a jemu dawał wolność usuwania się do komory, w której obcował z duchami przeszłości.

Biskup Zbyszek, chociaż przyjazny i życzliwość

okazujący towarzyszowi króla nie odrywał go bynajmniej, ani od jego nadzorczych obowiązków, ani od ślęczenia nad ulubionym Plantem i Wergilim.

Posługiwał się czasami łaciną łatwą i piękną Grzegorza, ale go do tajemnic kancelaryi nie przepuszczał. Znawca ludzi otaczał się chętniej takimi, którzy mu ślepo będąc posłuszni, nie mogli być niebezpieczni. W Grzegorzu z Sanoka, gdy do spraw rządowych był użytym, biskup słusznie obawiał się niezależności, z którą walczyćby musiał.

Nigdy też uczony nasz nie okazał najmniejszej chęci mieszania się do tych ciężkich zadań, jakie na biskupa ramionach leżały. Stał na uboczu, hamując zbyt żywe porywy rycerskie młodego króla, postępując królowej, gdy rady jego i pomocy potrzebowała.

Właśnie może ta wstrzeźliwość i miarkowanie Grzegorza, jednały mu królowę Sonkę. Nie było dnia, ażeby go nie powoływała, dając skazówki co do postępowania z Władysławem. Mistrz słuchał ich, nie sprzeciwiając się, chociaż nieraz w duchu się im dziwić musiał.

Niespokojna o przyszłość matka zdawała się głównie dzieci chcieć natchnąć żądzą panowania, wielkości, podbojów, co, wedle Grzegorza, na umysły młode niebezpiecznie działać mogło.

Od powrotu z Włoch, niewtajemniczony w to, co się knuło na dworze, i w otoczeniu Sonki, Grzegorz widział jakiś ruch, niepokój, krzatanie się gorączkowe. których celu pojąć nie mógł.

Szczególniej uderzały go nieustanne przesyłki, posły i listy, które z Krakowa do Wyszehradu, Budy i Pragi biegały.

Ztąd też przybywali często ludzie, którzy choć usiłowali grać rolę mało znaczących, kupców, klechów, rycerzy najemnych, wydawali się mimowoli postawą i obejściem jako mężowie znaczenia i dostojności wie lkiego. Tych z najrozmaitszemi ostrożno-

ściami pod różnemi pozorami, zwykle przeprowadzano tajemnie do królowej, która miewała z nimi narady.

Ponieważ biskup Zbyszek albo wcale o tem nie wiedział, albo nie chciał dać poznać po sobie, że był wtajemniczony; cała ta jakaś robota skryta zdawała się dziełem królowej.

Ilekróć się trafiło, że podobny przybysz ukazał się w Krakowie, poznać było można po królowej, iż ważne jakieś przywoził wieści. Była zajęta, niepokojna, uradowana, albo gniewna.

Grzegorza z sanoka dotąd nie wzywano nigdy, ani do narad, ani do pomocy; a wysyłając go z listami poufnemi na Węgry, królowa nie zwierzała mu, ani co zawierały, ani nawet dla kogo były przeznaczone.

Tak samo jak z Wyszehradem i Budą, ciągle się z bliższą Pragą znoszono. Tu czujnego oka biskupa Zbyszka starano się widocznie unikać, a Grzegorz łatwo rozumiał przyczynę. Biskup wcale mieć nie chciał do czynienia z kacerzami, za jakich uważał nawet tych husytów, dla których Sobór Bazyjski skłaniał się do powolności.

Nawet korzyści państwowe, jakie Polska wyciągnąć mogła, stając po stronie nowatorów, nie zdołały biskupa pociągnąć i przejednać. Dla niego jedność i zgoda z Rzymem, posłuszeństwo stolicy apostolskiej, było pierwszym warunkiem, zapewniającym przyszłość Polski.

Ci, co z Czech przybywali do królowej, po pewnych znakach łatwo się kazali domyślać, iż do katolickiego obozu nie należeli.

Z rozmów z królową, jakkolwiek ostrożną, gdy one o religję potraçały, Grzegorz zdawna wyrozumiał, iż Sonka do kacerstwa wielkiej nie przywiązywała wagi, i gotową była podać mu rękę, byle ono synom jej zapewniło wpływ lub owładanie Cze-

chami. Zdradzała się czasem z tą myślą, że tron czeski przystałby młodszemu Kazimierzowi.

Mistrz nie, objawiał wcale swojego zdania w tych sprawach, słuchał i badał, lecz stał zupełnie na stronie. Nie okazywał też takiej zażyłości przeciwno lussytom w ogóle, jak biskup Zbyszek, który na wspomnienie ich, burzył się, dowodząc, że z tego nasienia wyrośnie chwast, którego wieki wypłenić nie potrafią.

Szczęśliwym był Grzegorz, iż mógł nie mieszać się wcale w tę walkę, nad którą ubolewał.

Ten pozorny chłód jego i obojętność, a wypróbowana wiara sprawiły, że królowa się nim chętnie posługiwała, gdzie trzeba było, nie pytając coś spełnić i zachować tajemnicę.

Jednego jesiennego wieczora, gdy młody król już znudzony przejażdżką poszedł na spoczynek, a Grzegorz zabierał się do pracy, i lampkę swą włoską zapalał, pacholik z komorników królowej przyszedł go wezwać do niej.

Godzina była trochę spóźniona, sprawa więc pilną być musiała.

Gdy mistrz zjawił się na progu komnaty królowej, znalazł ją siedzącą u stołu i śpiesznie kartę jakąś chowającą za suknię.

Słynna ta niegdyś piękność, była dotąd jeszcze niewiastą pełną majestatycznego wdzięku, oczy jej cały dawny blask zachowały, ale dziś była to nie owa uroczą Sonka, która wszystkich, co się do niej zbliżali, czarowała, matka tylko i królowa.

Stroiła się zawsze i lubiła, aby jej okazywano cześć, a wrażenie, jakie czyniła na ludziach, szmer podziwienia i zachwyty nie był jej obojętnym, ale teraz ta władza, jaką mogła mieć nad niemi służyła za narzędzie tylko do wyższych celów.

Gorączka jakaś trawiła ją i nie dawała spoczynku.

Lękała się widocznie, ażeby biskup i syn nie

usunęli jej od udziału i wpływu w rządach, nie chciała z rąk puścić tego, co raz pochwyciła.

Z biskupem potrzeba było postępować ostrożnie, z synem tak, aby się z pod władzy nie wyzwolił.

Ta nieustanna potrzeba baczności, ta obawa ciągła, nie dawały jej spoczynku.

W wewnętrznym zarządzie krajami Korony i Litwy, królowa zaledwie mogła ogłędnie bardzo dopilnować, aby nieprzyjaciele jej nie zdobyli stanowisk ważnych, zaledwie śmiała biskupowi podszepnąć, lub przez jego przyjaciół poddać kogo życzyła, a kogo się obawiała.

Za to cała jej czynność i zbiegliwość zwracała się ku stosunkom zewnętrznym... tu pragnęła okazać całą swą przebiegłość i namiętność, tu na sercu jej leżało, dokazać cudów i zdumieć wszystkich.

Ni mniej ni więcej, szło o zawładnięcie Węgrami i Czechami, chociaż żył jeszcze cesarz Zygmunt i córka jego, której mąż był naturalnym spadkobiercą praw Luksemburczyka.

W Pradze i na Węgrzech zawiązywano stosunki, jednano przyjaciół, i cesarzowa Barbara rozgniewana na zięcia i córkę własną, z pomocą brata hr. Cilly i synowca, zdawała się nieobcą zuchwałym planom królowej Sonki.

Tajemnice tych knowań nie były jeszcze zdradzone. W tym roku właśnie ukoronowano Barbarę w Pradze, ale cesarz mąż jej, zapadał na zdrowiu. Szemrano, że mu długiego życia obiecywać nie było można.

Cesarzowa już rachowała na to i potajemnie skupiała około siebie zwolenników.

Gdy Grzegorz z Sanoka wpadł, zwróciła się żywo królowa ku niemu.

— Potrzebnę was—rzekła,—Nie pytajcie mnie o cel podróży, spełnijcie tylko co wam polecę. Nieprawdaz, iż na wierność waszą rachować mogę? Jest tu Czech, który was przeprowadzi. Pojedziecie z nim

do Pragi, nie wiem zresztą dokąd wypadnie. Oddacie listy hrabiemu Fryderykowi Cilly, bratu cesarzowej, niepotrzeba, aby was tam widziano i znano jako mojego posła!

Królowa mówiła pośpiesznie, żywo, jakby długo wprzód nagromadziwszy, to, co miała powiedzieć, a mimowolnie teraz gorączkowo, starając się do razu całą myśl swą wyrzec, i wrażenie jej pochwycić. Wlepiała oczy w słuchającego z powagą i chłodem Grzegorza.

Ten milczał jeszcze, Sonka wstała z siedzenia i zbliżyła się ku niemu.

— Pojedźcie do Pragi, zdacie mi sprawę z tego, co tam będziecie widzieli i słyszeli. Być może, iż Cilly powoła was potajemnie do cesarzowej, że ona pytać będzie o mnie, o syna.

Tu zarumieniała się królowa, srom ją jakiś ogarnął. Nie chciała przyznać, co miała w myśli.

— Miłościwa pani — rzekł Grzegorz — spełnie wiernie co mi polecicie, lecz, że nie dość jestem świadomym kraju i ludzi, trzeba by się upewnić o przewodniku, abym ja za jego niezręczność nie odpowiadał jeżeli w tem tajemnica jest potrzebna.

— Tajemnica! — przerwała gorąco królowa — tajemnica jest wszystkim! Nikt z otoczenia cesarskiego wiedzieć o was, ani się domyślać nie powinien.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — wydaje mi się to trudnem bardzo, gdyż cesarz, jak głoszą, chory jest i cesarzowa Barbara przy nim być musi.

Sonka wzruszyła ramionami, oczy jej błysnęły.

— Cilly i cesarzowa — rzekła — stanowią jednę, Zygmunt drugie. Sprawa ta wcale cesarza nie dotyczy, i on o niej wiedzieć nie ma.

Nie wchodźcie w to więcej, dowiecie się, gdy przyjdzie czas.

— Mistrz skłonił głowę.

— Zastosuję się do woli miłości waszej — rzekł pokornie.

— Czech Biedrzyk, którego wam daję — doloży-

ła królowa—świadom jest tam wszystkiego, zręczny i przebiegły, możecie mu zaufać, bo wam przystęp do Cillego ułatwi.

Przeszła się, dłoń przykładając do gorącego czoła i poczęła dalek.

— Jeżeliby cesarz zachorował niebezpieczniej, albo się gorszego czego spodziewać można, naówczas pośpiesznie dacie mi znać.

To mówiąc, Sonka dobyła gotowy już zapieczętowany list, i wręczyła go Grzegorzowi. Ręka jej drżała.

— Nie omylcie się—rzekła—list jest do Fryderyka Cilly, a dwu ich tam znajdziecie.

Jeżeli cesarzowa wezwie was do siebie, a pytać będzie o króla.

Tu głos jej zadrżał.

— Powiecie, że jest ślicznym młodzieńcem, że żadnego z rycerskich przymiotów mu nie braknie.

Grzegorz słuchał i na myśl mu tylko przyszło, iż z którą pokrewną cesarzowej młodego Władysława swatać chciano.

— Miłościwa pani odważył się wtrącić—łacno domyśleć się, iż widoki dla przyszłości króla naszego kochanego swatać go każą, leez lepiejby stokroć było tę myśl zawczesną małżeństwa oddalić, młody jest.

Sonka wstrząsnęła ramionami niecierpliwie.

— Królowie—rzekła żywo—rządzić się muszą innemi względami, i poświęcać dla nich. Gdzie idzie o zdobycie panowania, co znaczy jakieś małżeństwo, wczesne czy późne z starszą lub młodszą niewiastą?

Grzegorz mimo całej powolności swej dla królowej, nie mógł stłumić w sobie żalu, jaki go ogarnął, kochał króla.

— Miłościwa pani—odparł—po cóż królowi starać się o rozleglejsze królestwo i większe troski? Nie masz on dosyć ziemi i luzi?

— Królowi żadnemu nigdy dosyć być nie powinno!—zawołała nakazująco i prawie gniewnie królowa.

Wzrok jej dopowiedział reszty.

Zamilkł Grzegorz z Sanoka, królowa przechadzać się zaczęła.

— Jutro rano przyjdzie zabrać was z sobą Biedrzyk—rzekła—ale niepotrzeba, ażeby was z sobą widziano, ani mówiono o tem z kim i dokąd jedziecie.

Wysłuchawszy urywanych przestróg i zaleceń królowej, Grzegorz nareszcie komnaty jej opuścił, zadumany i smutny. Wiedział już i przeczuwał, że jego ulubiony pan młody, zaledwie się rozwijający do życia, poświęcony zostanie jakimś rachubom politycznym. Trapiło go to, chociaż nie przypuszczał całej poczwarności planu, który knowano.

Zamiast zasiąść przy lampce do księgi, musiał myśleć o tem, jak się do tajemniczej przygotować podróży. Spokojnej izby i życia żał mu było.

Rozglądał się jeszcze dokoła, gdy do drzwi zapukano i nieznajomy zupełnie człowiek wsunął się z pokłonem, ciekawie wlepiając oczy w mistrza. Łatwo się było w nim domyśleć zapowiedzianego na dzień jutrzejszy Biedrzyka, i zicha przedstawił się gospodarzowi, jako przez królowę przysłany.

Do tej roli jaką odegrywał, lepiej dobrać nie było można człowieka. Ow Biedrzyk podobnym był do tysiąca innych ludzi, twarzą, postawą i dobraną do nich odzieżą, tak się wydawał pospolitym, nieznośnym. tak trudno było w nim pochwycić jakieś znamię zdradzające, kim był i czem się zajmował, że Grzegorz chwilę stał zdumiony, nie mogąc nawet oznaczyć, jak się miał do niego odezwać i z nim obchodzić.

Nie czekając zaproszenia, przybyły Czech na-przód zajął miejsce przy stole, na którym złożył czapkę i rękawice, potoczył dokoła oczyma, i głosem

równie obojętnym, bez dźwięku, cicho zaczął mówić do Grzegorza.

— Królowa oddała wam listy?—jesteśmy więc w gotowości, ja dziś jeszcze wyniosę się do gospody, a jutro do dnia z ludźmi moimi czekać na was będę za wrotami miasta. Przyszedłem tylko pokazać się wam, abyście mnie poznać mogli, a ja was.

Zadumał się trochę, wlepiając oczy w stół, przy którym siedział.

— Nie obojętna to rzecz—dodał—jak się przysposobicie do podróży, dla ludzi, co na siebie oczów sięgnąć nie chcą, i suknia wiele znaczy.

— Duchowna przecie a skromna—odparł Grzegorz—nie zadziwi nikogo. Jest nas wszędzie klechów i *włoków* dosyć. Gdy podszarzaną włożę.

Biedrzyk głową pochylał.

— Jeżeli chcecie suknie wasze zatrzymać—rzekł—weźcie takie, aby nie oznaczały stanu, a wprawiały w wątpliwość. Najstarsze, najmniej okazałe, najlepsze będą.

Musimy się przesunąć niepostrzeżeni.

Napomknawszy jeszcze o potrzebnych do podróży przyborach, o skrzętnem przechowaniu listów, aby na wszelki wypadek, łatwo znalezionemi być nie mogły, Biedrzyk pokłonił się i zniknął.

Krótką z nim rozmową, i to co słyszał od królowej, wprawiły Grzegorza w ujemną troskę, widział teraz, że poselstwo jego było niebezpiecznem i trudnem, a sama tajemnica, którą się otaczało była mu wstrętliwą.

Cieszył się tem tylko, że niewtajemniczony, sumieniem swem nie odpowiadał za czynności, których był posłusznym narzędziem.

Do dnia otwarto bramę wyjeżdżającemu z zamku, i oprócz stróżów, nikt go nie widział. O mroku przebył puste ulice i w miejscu oznaczonem zastał już Biedrzyka, w kilka koni oczekującego za miastem. Orszak składał się z tak dobranych ludzi, że w nich

pana od sług rozpoznać było trudno. Nie można też było oznaczyć: kupcy, mieszczenie, czy ubogie rycerstwo jechało, a suknie tak miały krój i barwę nieoznaczoną i startą wszelką cechą miejscową, że po nich narodowości się domyśleć nikt nie mógł.

Z drogami Biedrzyk i jego ludzie byli tak dobrze obeznani, że nie trzymając się głównego gościńca, bocznymi szlaki jechali, nie rozpytując nikogo. Czech nie wiele mówił.

Drugiego dnia wszakże, jakby lepiej oswoiwszy się z Grzegorzem, i mniej go obawiając, Czech otwartym być począł.

Utyskiwał on nad wojnami, które kraje niszczyły, z przyczyny wiary, wzdychając do tego, aby pod lepszym panowaniem pokój powrócił. Z kilku słów domyśleć się było można człowieka, który z husytami trzymał. Grzegorz nie chciał się z nim w żadną wdawać dysputę, odpowiadał ogólnikami.

— Wy Polacy z nami Czechami powinniście się połączyć i podać nam ręce—mówił Biedrzyk—nie obcy jesteśmy sobie, boć język tego dowodzi. Królowie nas rozłączyli, król jeden powinien złączyć. Z Niemcami my nigdy nie przyjdziemy do ładu. Wszystkim się o to starać potrzeba. Jest nas dosyć, aby się ostać i obronić.

Nie przeczył Grzegorz, ale przypominał, że Zygmunta w Pradze przyjęli, uznali, ukoronowali jego i żonę, więc sami mu się w ręce oddali.

— Oho!—przerwał Biedrzyk—nie wszyscy! Zresztą cesarz Zygmunt niedługowieczny, a cesarzowa.

Tu uśmiechając się, spojrzał z porozumieniem na Grzegorza, który odparł.

— Córkę ma, która pewnie z mężem weźmie po ojcu spuściznę.

Okiem pomrugując, Czech się uśmiechnął i nie mówił więcej.

Zbliżając się do Pragi, Biedrzyk na noclegu zatrzymał, wysłał przodem człowieka, który powrócił

nad ranem. Grzegorz spał jeszcze, gdy Czech przyszedł go budzić.

— Wstawajcie — rzekł — trochę będziemy musieli z drogi się zbici, mam wiadomość o cesarzowej.

Jedzie ona wezwana do chorego męża do Pragi, Zygmunt źle jest bardzo, ogień piekielny wdał mu się w ciało. Palce u nogi już mu odciać musiano, ale to nie pomoże, kto raz dostał spalenizny tej, nie wyjdzie z niej i umierać musi.

Z mowy Biedrzyka widać było, że wcale Zygmunta nie żałował, i że przeciwnie wiadomość o ogniu prawie go uradowała.

— Cesarzowa śpieszy do Pragi, i dziś tam ma przybyć. Nam się trzeba tak zwrócić, aby jej zabiedz drogę i poselstwo sprawić, nim dojedzie do męża — mówił Biedrzyk. — Łatwiej też nam będzie niepostrzeżonemu w jej orszaku, który liczny być musi, wśliznąć się do Pragi.

Natychmiast ruszyło się wszystko z noclegu, a Grzegorz też rad był, że mu się łatwiej składało spełnienie polecenia królowej.

Posepny dzień jesienny, smutny a mglisty, z początku, dżdżysty potem, nie wstrzymał ich w pośpiesznej jeździe po manowcach, i przed wieczorem jeszcze napędzili cesarzową Barbarę.

Jechała ona otoczona wielkim i okazałym dworem Węgrów i Czechów, a poczty brata jej hrabiego Cilly i synowca dodawały świetności orszakowi.

Sama prawie młodzież urodziwa, strojna, butna, wesola, otaczała kolebkę i składała dwór prawdziwie cesarskim odznaczający się przepychem. Wszyscy aż do kapelanów i kanclerza cesarzowej Barbary, byli w wieku kwitnącym, bo niemłoda już pani wcale nie tała swych upodobań i fantazyj, dwór dobierając z ulubieńców.

Pośpiech do chorego małżonka i cel podróży niewesoły, wcale nie zdawały wpływać na humor

pańskiego dworu, który jechał ze śmiechami, okrzykami, harcując swobodnie i zbytnio niehamowany karnością.

Biedrzyk, który znawał się tu znać wszystkich i być poufałym, posunął się przodem, dostał aż do kolebki złocistej, w której cesarzowa dla deszczu się schroniła, i wśród gościńca, w gołym polu cały pochód się zatrzymał.

Po krótkiej oczekiwania chwili Czech przybiegł do Grzegorza z Sanoka, i tak jak stał kazał mu iść z listem do cesarzowej, która na niego już oczekiwała. Widać było nawet zdala, jak rozsunęła skórzane zasłony kolebki i wyglądała oznajmionego jej posła.

Wszystkich oczy zwrócone na niego były. Zsiadł z konia Grzegorz i przybliżył się do powozu. Tuż przy nim stali we zbrojach, na koniach rycerstwo, dumnie po pańsku spoglądający dwaj hrabowie Cilly, brat i synowie Barbary. Nie miał czasu się im przypatrywać, ani ich pozdrawiać mistrz, bo wyciągnięta ręka już na list, który podać miał, oczekiwała.

Twarz cesarzowej, która powinna była obudzić poszanowanie, wejrzenie jej zuchwałe i wyzywające, odrazę jakąś i obawę sprawiły przystępującemu do kolebki Grzegorzowi. Lice stare, zwiędłe, z podbitymi oczyma, pofałdowane marszczkami, całe umalowane i ubielone, miało wyraz tak cyniczny i bezwstydnny, tak gminny i nieszlachezny, że poseł zawahał się chwilę, z uznaniem w niej tej pani, której dostojęństwo inaczej wyobrażał sobie.

Życie, charakter, obyczaj piętnowały się tak wyraziście na obliczu, jak gdyby nie chciała sobie nawet zadawać pracy, aby się wydać inną. Głosem krzykliwym, z jakimś śmiechem niezdrowym, odezwała się kilka słów niezrozumiałych, mierzając oczyma postać męzką Grzegorza.

Smutku i niepokoju z powodu niebezpiecznej

choroby męża wcale na niej widać nie było, zdawała się tylko niecierpliwą i podrażnioną.

List przywieziony wziął z rozkazu jej starszy hrabia Cilly, a Grzegorzowi polecono jechać razem z orszakiem do Pragi.

Wszystko odbyło się pośpiesznie, wśród wrzawy i Grzegorz ledwie się opanował, gdy mu Biedrzyk konia podać rozkazał, a sam wiodąc go z sobą, miejsce w orszaku naznaczył. Było ono dosyć oddalone od kolebki cesarzowej i przedniejszego dworu, tak że on i Czech, prawie w końcu długiego sznurą wyciągniętego na gościńcu, pośród pośledniej czeladzi jechać musieli, ale tu tak utonęli i wnięszali się w tłum, jak gdyby do niego należeli.

Spoglądano z ukosa na przybyszów, lecz wkrótce dawna wesołość wróciła i Grzegorz znalazł się wśród gawiedzi rozpasanej, z którą nie miał ochoty ani znajomości zabierać ni rozmowy poczynać.

Szybko ze dworem cesarzowej posuwali się ku Pradze, której mury i wieże za zasłoną szarą deszczu, wkrótce się ukazały. Biedrzyk podszeptując towarzyszowi, iż gdy raz do miasta i na gród się dostaną, on mu w pobliżu pomieszczenie opatrzy.

Zdawało się, iż w Pradze już na cesarzowej przybycie oczekiwano i spodziewano go się dnia tego, gdyż znaczny poczet rycerski wyjechał na jej spotkanie. Na czele jego, jak Biedrzyk objaśnił, wysłany był Węgier, ulubieniec cesarski, Michał Orszag. Widok jego nie zdawał się wielkiej sprawiać przyjemności hrabiom Cilly, którzy go sztywno i dumnie przywitali.

Kazała go do siebie powołać cesarzowa, aby o zdrowie małżonka zapytać. Odpowiedź rozeszła się, zaraz z ust podawana. Mówiono, że Zygmunt był bardzo źle i że lekarze najmniejszej żyć nie czynili nadziei. Wiadomość ta na cesarzowej nie zrobiła żadnego wrażenia, skrzywiła tylko usta i rzuciła ręką.

Orszak dodał, że Zygmunt wezwał do siebie córkę i zięcia.

Usłyszawszy to cesarzowa nagle zapuściła zastłonę kolebki i dano rozkaz do dalszej podróży. U obu Cillych, liczniejszy niż było potrzeba dla uczczenia przybywającej cesarzowej, poozet wojskowy, który otoczył kolebkę i jednych, jakby ich chciał pilnować i zaprzec im drogę, wywołał niepokój pewien. Zaczęli coś szeptać z sobą, lecz jechali dalej większą jeszcze okazując butę.

W bramach miasta zwykłym obyczajem, mieszkaństwo witało cesarzową, która się śmiejąc i dziękując ze zbytnią grzecznością i uprzejmością wychyliła ku nim.

Na Biedrzyku wojskowy oddział w początku zrobił wrażenie nieprzyjemne, zbłądził trochę i począł się oglądać niespokojnie, ale przyjęcie w bramach miasta, rozproszyło tę troskę.

Grzegorz, czując się już spokojniejszym, bo całe swe posłannictwo spełnił, mógł się swobodnie rozpatrywać po mieście i ludziach. Świeże Włoch wspomnienie, pięknie zamurowaną Pragę mniej może wspaniałą w oczach jego czyniło, ale pobyt cesarski, który ją napełniał rycerstwem i mnóstwem pocztów możnych panów i magnatów, dodawał blasku miastu, które na przyjęcie Zygmunta się przystroiło odświętnie.

Wśród tych tłumów widać było niezwykle ruch, zajęcie wielkie, niepokój i krzątanie, którą przybycie cesarzowej zwiększyło jeszcze.

W ulicach przejazd był trudny; kouni, piesi, wozy, jedni przeciągali, drudzy szukali pomieszczenia.

Z orszaku cesarzowej wylatywały pytania ciągle o cesarza, na które jednostajnie odpowiadano groźnemi wykrzykami i niemniej znaczącemi ruchy.

W ścisku tym, wśród ogólnego zajęcia chorem Luksemburczykiem i przybywającą żoną jego, Grzegorz z Sanoka zginąwszy wśród natłoku, niewidziany,

niepostrzeżony, mógł się przypatrzyć i przysłuchiwać wszystkiemu co się działo wokoło niego. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że przybył tu może, aby być świadkiem końca tego człowieka, który wpłótł się tak smutnymi wspomnieniami w dzieje Polski.

Czoło to, na którem teraz spoczywała cesarska korona, niegdyś miała uwieńczyć Bolesławowska. Zygmunt nigdy nie zapomniał o tem i mścił się za pierwszy w życiu doznany zawód do końca.

Przyjaciół pozorny, a wróg nieprzejednany utrzymywał nieustanny niepokój w kraju, który rozszarpać pragnął i osłabić. Posługiwał się Polakami, nie spuszczał z oka żadnej zręczności wmieszania się w polskie sprawy, podżegania nieprzyjaciół, wyzykiwania wszystkich słabości, omyłek i zrządeń losu.

Nie zwyciężył wprawdzie i nie przywiódł Polski do tego stanu bezsilności, jaki wchodził w jego rachuby, ale ciężko dał się we znaki tym, co go niegdyś wywiedli do granic, prosząc, aby więcej nie powracał.

Życie jego pełne zmian i gorączkowych porywów, wysiłków, przebiegłości, zamachów, zamykało się wprawdzie z blaskiem najwyższego dostojęstwa, ale z łuną pożarów, które na głowie zapłonąć miały. Córka i posłuszny zięć mieli wziąć po nim w spadku tę szatę Nessusa.

Grzegorz dumiał nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchając obijających się o uszy jego najsprzeczniejszych wykrzyków.

Jedni ubolewali nad Zygmuntem, drudzy szydzili z niego i cesarzowej. Dostawało się i przeciągającemu jej dworowi po drodze, witanemu grubiańskiem wołaniem

Biedrzyk zajął się swym gościem i razem z nim pomieścił się pod samym grodem, w którym cesarz leżał chory.

Zaledwie kąś znaleźć tu mogli i jakiekolwiek

pożycwie. Mieszczanie, dwór, co żyło, poruszone było wiadomościami z zamku przynoszonymi.

Piekielny ogień, jak go naówczas zwano, zgorzelizna (sacer ignis) żarła za żywota ciało Zygmunta i od nóg posuwając się w górę, groziła mu śmiercią co godzina. Chwile były policzone.

Nie oglądano się tak dalece na Grzegorza, który z Biedrzykiem tu przybywszy, uważanym był za wtajemniczonego w to, co się tu działo.

W drugiej izbie, obok której drzwi stały otworem, zbiegali się mieszczanie, dworzanie i rycerstwo z orszaku Barbary. Chcąc nie chcąc Grzegorz rozmów ich słuchał musiał, z których nauczył się wiele, bo dotąd nie wiedział, w jakie wpadł gniazdo osie.

Zjawilo się naprzód kilku dworzan.

— Nabraliśmy się strachu—wołał jeden — gdy nas na gościńcu Orszag otoczył. Hrabio wie i cesarzowa i wszyscyśmy już sądzili, że zwąchali co się gotuje i wszystkich nas tam, z Barbarą razem uwiężą. Ale nie! Postrach był próżny! Zygmunt ją tak przywitał, że chyba niczego się nie domyśla; a choć Albrecht zięć i córka niebardzo są czuli, trudno po nich wymagać tego, gdy wiedzą, że oni tu panować nie będą.

— Cesarz gdyby chciał — począł drugi — nie wazyłby się tu w Pradze nie uczynić żonie, bo wie i on i jego zauszni Szlik, że znaczniejsza część miasta za niąby się ujęła i byłaby rzeź na ulicach a może i i na grodzie.

— Ja go tam ani bronie, ani miłuję—przerwał trzeci — a co prawda to prawda. Życie nie umiał, umierać umie. Ciało mu już kawałkami pada, a tak siedzi spokojny na twarzy i na umyśle, jakby na ucztę czekał... i stroić się każe... aby ludzie nie wiedzieli, że na poły zgnił.

— Ja go też nie kochałem—odparł inny — zły człowiek był i król nam niedobry, przez którego krwi dużo poszło wylanej na wszelką rozpustę i zbytki,

ale pychę umiał nadrabiać zawsze i o cesarskiej swej godności nie zapominał nigdy. Wszyscy wiedzą, jak z papieżem rozmawiał.

— A noż spytał inny, czemu Grzegorz z Sanoka, gdyż o rozmowie tej nie słyszał nigdy, rad był bardzo.

— To wprost Eugeniuszowi rzekł: my Ojczy święty we trzech rzeczach się różnimy, ale we trzech też jesteśmy do siebie podobni. Wasza świątobliwość śpisz rano, a ja wstaję przededniem; pijesz wodę, ja wino; niewiast unikasz, ja się za nimi upędzam; ale za to w innych rzeczach równość między nami. Wasza świątobliwość hojnie szafujesz skarbami kościoła, a ja też sobie nie żałuję; Wasza świątobliwość masz ręce chore, a ja nogi, naostatek Wy niszczyście kościół, a ja cesarstwo.

Wpadł ktoś świeży. Posypały się pytania.

— Cóż cesarz? Co cesarzowa?

— Przyjmuje żonę tak, jakby nie przeciw niemu nie zawiniła. Chyba o niczem nie wie i nie domyśla się, ale uchowaj Boże na nią posądzenia i przeciw niej jakiego zamachu! Nie damy krzywdy babie uczynić.

Nieustannie tak w sąsiedniej komorze wrzało i gotowało się.

Niektórzy opisywali, jak chory Zygmunt w szatach paradnych, z wieńcem na głowie, sykający z bólu, usiłował prowadzić rozmowę z Barbarą, z córką, z kanclerzem swym ulubionym Szlikiem i przygotowanem dnehowieństwem.

Z rozmów widać było, że dwór i przyjaciele Barbary, obawiający się jakiegoś na nią zamachu, zupełnie zostali uspokojeni. Biedrzyk też z wycieczki powrócił do Grzegorza, zapowiadając mu, że jak skoro cesarzowa wolną będzie, pozwie go dla rozpytania się o polskim dworze.

Zdawało się, że tej nocy na grodzie albocale nie spano, lub ci tylko poszli na spoczynek, którzy żadnemi wypadkami niepokoić się potrzeby nie mieli.

Mistrz nasz miał wprawdzie wskazaną sobie szeroką ławę w kącie, na której mógł się położyć, lecz wyciągnąwszy się na niej, oka zmrużyć nie mógł, bo światła nie gaszono, a Biedrzyk i inni przez całą noc wchodzili i wychodzili, naradzali się, szeptali.

Pomimo zapewnień, że cesarzowa i jej brat niczego się obawiać nie potrzebują, w nocy młodszy hr. Cilly przyszedł do sąsiedniej komnaty (poznał go przy świetle kaganka mistrz Grzegorz) i kazał swoim ludziom zalecić, aby w gotowości byli, gdyby nagle odjechać przyszło. Dokąd, o tem nie mówił.

Chociaż z tego wszystkiego co słyszał, pewne już wyobrażenie o położeniu powziąć mógł Grzegorz, i wyjaśniało mu się ono, spełna jednak nie pojmował, jaki związek mógł zachodzić między sprawą cesarzowej Barbary a królowej Sonki i jej syna.

Następny dzień, był to 10 listopada, nie zmieniło się nic, tylko poruszenie wczoraj żywe i jawne, stało się mniej wyraźnem, starano się więcej pokryć niepokój i strzedz z nim okazać. Ale ta sama biegania, przygotowania, narady pokątne, ciągle się odbywały. Biedrzyk wychodził niespokojny i powracał naprzemianny zafrasowany lub uspokojony.

Grzegorz z Sanoka, czując się wpośród tych ludzi obcym i jakby zapomnianym, a nie mając spoczynku, bo się odosobnić nie mógł, w końcu pod wieczór powracającemu Biedrzykowi wprost powiedział, że chce mieć odprawę i nie widzi potrzeby zatrzymywać się tu dłużej, tembardziej, że zapowiadający się zgon cesarza wymaga, aby o nim w Krakowie zawczasu wiedziano.

Czech się po głowie poskrobał.

— Nie możecie tak odjechać z niczem—rzekł. Cesarzowej teraz widzieć, ani z nią mówić nie podobna, czekać musicie spokojniejszej chwili. Zygmunt nie wiadomo dla jakiego dziwactwa umierać tu nie chce i jutro rano poniosą go do Znaima, a my

za nim z cesarzową razem iść w ślad musimy. Miejcie cierpliwość i dotrwajcie do końca.

Biedrzyk dodał wreszcie, iż nie mógł odprawić go, nie zwracając uwagi, a unikać było potrzeba wszystkiego, co na cesarzową podejrzenia jakie ściągnąć mogło.

— Jakie podejrzenia? a co? — zapytał mistrz.

Czech spojrzał nań, podumał, ale nie nie odpowiedział.

Z południa gdy na ławie spokojnie siadłszy dumał Grzegorz nie rad z tego, co mu się tu przygodziło, do komory sąsiedniej wpadło nagle kilku ludzi ze starszym hrabią Cilly. Jak wczoraj tak i teraz wcale na niego nie zważano, bo dom ten miano za oddany sobie i pewny.

Fryderyk hr. Cilly bardzo gwałtownie począł wyrzekać i dowodzić, że cesarz ma względem żony i jej rodziny jakie zamiary, że łatwo to z oczów Albrechtowi i kanclerzowi Szlikowi wyczytać, że dla tego tylko chce nazajutrz z Pragi się oddalić, bo wie i domyśla się, że ta cesarzowa Barbara i oni mają przyjaciół, którzyby im nie uczynić nie dali.

— Róbcie wy co chcecie — dodał hrabia Fryderyk — a ja z drogi z Ulrykiem ujdę... bo głowy nie mam na zbyciu.

Drudzy zakrzyczeli, iż obawa była próżną, ale hrabia sobie tego nie dał wmówić.

— Jeżeli wasza miłość ujdziecie, tem właśnie na cesarzową panią ściągniecie podejrzenie.

— Ślepi ludzie! — wołał hr. Cilly — co tu mówić o podejrzeniu, kiedy Szlik, ten wąż co się wśliźnie wszędzie i Bruno (della Scala) Włoch przebiegły, na pewno o wszystkim wiedzą. Nie darmo ciągle coś cesarzowi do ucha przynoszą.

Ja też w oczach najjaśniejszego szwagra nauczylem się czytać!

Tyle tylko słyszał Grzegorz rozmowy, która nagle urwaną została.

Wieczorem co żyło, czyniło przygotowania do podróży. Znowu więc o śnie i spoczynku mowy nie było. Rozkaz wydany został, aby o samym świetle wszystko było w gotowości.

Dla cesarza przygotowano nosze, na których w krześle purpurą okrytem nieść go mieli tragarze poodziewani w suknie paradne szyte w herby cesarskie.

Cesarzowa w kolebce zaraz za nim jechać miała, w towarzystwie brata i synowca. Do jej dworu Biedrzyk z Grzegorzem z Sanoka miał się przyłączyć.

X.

Dzień się zaledwie robić zaczynał, gdy tłumy niezliczone zalegały już ulice Pragi, któremi cesarz miał ciągnąć. Na zamku poczty zbrojne, wozy, czeładź, kolebki, komornicy, urzędnicy, już tylko oczekiwali na to, aby Zygmunta wyniesiono.

Cesarzowa Barbara siedziała w otwartej kolebce. po obu jej bokach mając brata i synowca w pysznych zbrojach i płaszczach gronostajami podbitych. Niemniej wspaniały od cesarskiego dwór skupiał się poza powozem pani.

Nosze, na którym stanąć miało siedzenie cesarskie, na ziemi ustawione oczekiwało. Sześciu ludzi, mających się zmieniać co chwila, ubranych w kapy, szyte herbami, w tokach z piórami na głowie, czekali na Zygmunta. Tnż halebardnicy z poślaczanami w rękach halebardami, ubranymi w sznury purpurowe.

we, gotowi byli otoczyć ten tron przenośny, obok którego konno jechać mieli kanclerz Szlik, Bruno della Scala, Michał Orszag i Matik pan slawoński, wszyscy Zygmuntowi ulubieńcy. Tuż także towarzyszyć miał cesarzowi Albrecht, a za cesarzową jechała sama córka jej Elżka.

Pomiędzy nią a matką, widocznem było więcej niż oziębienie. Nie mówiły prawie z sobą, a cesarzowa do kolebki wzięła jedną z pań swoich, aby nie zaprosić do niej córki. Wszystkich biło to w oczy. Obaj hrabiowie Cilli, na koniach już siedzący, twarze mieli zasępiione, oglądali się i jechali jakby zmuszeni.

Cesarzowa wychylała się z kolebki, otaczającym mnogim, znanym sobie z rycerstwa i mieszczan dając znaki głową i rękami. Uśmiechano się też do niej.

Dwory dwa choć połączone w całość jedną, widać było, że się rozłamywały jakby na dwa obozy. Towarzyszący Barbarze, z ukosa spoglądali na cesarskich, Zygmuntowi na Cillyjskich.

Po długiem oczekiwaniu, dzień się już robił, gdy ze sklepionej bramy, na ramionach czterech pacholców, którzy w górę podniesione krzesło złożone dźwigali, ukazał się Zygmunt cesarz. Siedział majestatycznie, tak jak wizerunek jego na wielkiej państwa pieczęci.

Odziany szatami uroczystymi, w sukni ze złotogłówn, w płaszczu szkarłatnym krojem dalmatyki, na piersiach spiętym wielką klamrą kamieniami sadzoną, z łańcuchem na szyi.

Blada jego, żółkła. wychudzona twarz, z długą brodą, rozwianą na piersi, o czole szerokiem i oczach zapadłych, ale jeszcze patrzących dumą i jakąś ironią życia a pogardą śmierci, pokryta była lekką koroną złotą, około której, świeży, zielony obwijał się wieniec laurowy.

Bladych, kościstych rąk dwie, okrytych szytami

złotem rękawicami, spoczywały na krzesła poręczy. Nogi przysłaniały opony futrem podbite, z karmazynowego aksamitu.

Tak Zygmunt ostatni raz chciał się pokazać swoim Prażanom, w całym majestacie, którego śmierć nadchodząca pozbawić go nie mogła.

Jechał zwyciężcą, w laurze i w istocie zdawał się uragać nawet wyrokowi Bożemu, który go powolną karał śmiercią.

Ludzie w początku patrzeli osłupieni na to zjawisko, jakby z grobu wyszłe i do grobu idące, chwila litości i podziwu oniemiała tłum. Wtem uderzono we dzwony.

Tron cesarski stawał na noszach, tragarze brali go na ramiona i podnosili wysoko. Zygmunt nie drgnął, żaden fałd jego twarzy nie zdradził bólu, którego doznawał, patrzył z jej wysokości na lud, na pokłony, na blask, który go otaczał, oczy zwrócił ku kolebce żony, potem na Szlika, i dał znak do pochodu.

Ruszyło wszystko, zadrgały tłumy. On i lud ten wiedział, że jechał do grobu, ale na twarzy pańskiej nie widać było ani żalu, ani smutku, tylko ironiczną powagę i dumę.

Okolo zamku zebrane gromady ciekawych, zachowały się spokojnie, nie dały oznaki ani boleści, ani uragowiska, ale w ulicach Pragi, zbita ciżba na wstępie w nie, powitała okrzykami.

Ucho najmniej czułe, mogło w nich wyraźnie rozeznąć wołanie.

— Wracaj uzdrowiony! Sława tobie!

I krzyki.

— Jedź, Jedź! bodajbyś był nigdy tu nie przybywał i nigdy nie wracał. Jedź na stracenie!

W niektórych miejscach przekleństwa i uragowiska stały się tak dobitnymi, że halebardnicy zmuszeni byli ostrza przeciw gminu nastawić i grozić rozpędzaniem.

Nie to nie pomogło, bo gawieź rozproszona, wracała tłumnie z nowym wrzaskiem, hałaśliwszym jeszcze.

Przez cały ten czas, gdy placami i ulicami ciągniono, aż do wrót miejskich, krzyki nie ustawały. Zygmunt, którego uszów dochodzić musiały, nie odwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku zniechęcenia i gniewu. Tylko kanclerz Szlik podnosił rękę ściśniętą w żelaznej rękawicy, a oczy jego i Orszaka pioruny cisnęły. W orszaku cesarzowej, którą witano mnogiemi: żywie i sława! hrabiowie Cilly błedli, twarze się okrywały wyrazem trwogi, a sama pani z poza zasłon ręką dawała mu znaki dziękczynne.

Wszyscy odetchnęli dopiero, gdy za wroty miejskimi krzyki ustały i tłum się przerzedził, a potem zniknął. Orszak jechał dalej w milezeniu, cesarz tylko przywołał swojego Szlika i coś mu szepnął, na co on głową skinął posłuszną.

Świadek tej sceny, która na kartach dziejów zapisaną być miała, Grzegorz z Sanoka, jechał wśród dworzan cesarzowej niepostrzeżony, razem z Biedrzykiem, rozmyślając i dziwując się. Los go niósł dalej, mimo woli, a wszystko zwiastowało, że chwila rozwiązania zagadek, które się cisnęły jego oczom i umysłowowi postrzegawczemu, zbliżyć się musiała.

Niepodobna już było orszaku cesarzowej opuścić, lecz że na gościńcu dalszym szeregi ściśnięte musiały się rozluźnić, mistrz Grzegorz wyzwolił się nieco z nie milego sąsiedztwa komorników nieznajomych i dziwnie się mu przyglądających, pozostając na boku z Biedrzykiem.

Czech był podrażniony tak, że ciągle milezący dosyć i niewywnętrzający się, począł się z natrętnymi myślami i niepokojem zdradzać.

— Zaprawdę — odezwał się do towarzysza po cichu — teraz i ja niemal trzymam z hrabią Fryderykiem, że i im i cesarzowej grozi niebezpieczeństwo. Nie darmo cesarz chciał opuścić Pragę! nie darmo!

Czuł, że w niej nie było mu bezpiecznie. Słysze-
liści te krzyki! Głupi lud... Chcąc okazać miłość
swą dla pani naszej, wyrządził jej krzywdę, kto wie
jakie mogącą mieć skutki!

Cesarz nie darnje swej obrazy.

Wołali jej: żywie i sława, a jemu: pohybel
i przekleństwo.

Patrzałem z boku na oblicze jego... było jak
maska nieporuszone, kamienne, ale oczy piorunowa-
ły. Biada nam! biada nam!

Grzegorz z Sanoka bojaźliwym nie był, lecz
słowa te zatrwożyły go o skutek poselstwa. Wie-
dział, że bezwątpienia pomyślny skutek jego zależał
od powodzenia cesarzowej i jej obozu.

— Cóż cesarzowej zagrażać może? — zapytał
Biedrzyka.

Czech podniósł oczy w górę.

— Nie wiem, odgadnąć trudno, lecz lękam się
wielce. W Pradze ona miała obrońców, tu ich już
mieć nie będzie. Spojrzcie na orszak Zygmunta
i kupkę naszą.

Podróż w jakimś złowrogiem milczeniu ciągnę-
ła się dalej do Znaima.

Tu nadbiegł Biedrzyk do chaty, w której
z Grzegorzem stanęli, oznajmując mu naprzód, że
cesarz dalej już żywym niesiony być nie może, le-
karze oświadczyli, że godzina śmierci się zbliżała.

Zaledwie miał czas szepnąć o tem Grzegorzowi
gdy wpadł zbladły, z załamanymi rękami komornik
cesarzowej. Z twarzy jego Biedrzyk wniósł, że Zy-
gmunt chyba skonać musiał, lecz chłopak krzyknął.

— Cesarzową naszą pod strażą zaprowadzono
do zamkowej wieży, do więzienia.

Popłoch się stał niezmierny, Biedrzyk jak sza-
lony wybiegł.

Grzegorzowi, gdyby się ta dziwna wiadomość
sprawdziła, nie pozostawało nic, jak myśleć o wła-
snem bezpieczeństwie i uchodzić

Jawnem było, że projekta uwięzionej pani, musiały wprost być woli umierającego przeciwnemi. Mistrz Grzegorz miał do niej listy, była w stosunkach z królową Sonką, pismo przywiezione znaleźć się mogło i jemu więc zagrażało więzienie.

W pierwszej chwili nie wiedział jeszcze, czy oczekiwać na Biedrzyka, czy radzić o własnej sile, lecz chciał doczekać potwierdzenia wiadomości, którą mu się jeszcze nieprawdopodobną zdawała.

Los cesarzowej mogli podzielać jej dworscy i wszyscy co byli w jej orszaku, zdawało się więc Grzegorzowi najbezpieczniejsem trochę się od niego usunąć i w tłumie, który nappełniał miasteczko, szukać mniej podejrzanego schronienia.

Nikt nie zważał na niego. Biedrzyk nie powracał, mógł więc konia swego wyprowadziwszy i ciągnąć go za sobą, ujść ku rynkowi i stanąć na boku, jako nienależący do żadnego dworu podróży.

Uczył też to natychmiast tak szczęśliwie, że niczyich na siebie oczu nie ściągnął.

W rynku nie podpadało już wątpliwości, że coś niespodzianego i niepokojącego zajść musiało. Część pocztu cesarskiego siadła na koni i w pogoni się puszczała.

Ludzie stojący pod domami opowiadali sobie, że wprzód nim cesarzową uwięziono, obaj hrabiowie Cilli, przeczuwający niebezpieczeństwo, jakie im groziło, w czasie podróży zamienili zbroje i ubiory ze swemi dworzanami, a sami wdziawszy ładajakie szaty umknęli.

Za niemi właśnie pogoni wysłana była.

Słuchał jeszcze tego opowiadania, gdy mężczyzna w sukience księżej, niemłody już, o kijku idący, zobaczywszy jego sutannę i poznawszy w nim duchownego, zbliżył się doń i pozdrowił po łacinie.

Na pierwszy rzut oka poznał w nim katolika Grzegorza, który już w drodze nauczył się rozróżniać

husyckich od prawych księży. Rad był wielce spotkaniu.

— A wyście zkąd? — zapytał stary zawiedły księżyna.

Grzegorz musiał skłamać ratując się a przynajmniej nie całą mu prawdę wyjawić.

— Podróżnym jestem — rzekł — i dziwny traf mnie tu rzucił w taką godzinę zamieszania jakiegoś, którego nie rozumiem, bom obcy.

— Zaprawgęł zaprawdęł — westchnął ksiądz — nawet my, cośmy tu w Czechach od lat wielu do krwawych przygód i osobliwych wypadków nawykli, zdumiewamy się temu, co się tu u nas dziś stało. Cesarz żonę własną więzić każe. Brat i synowiec jej zbiegają.

Poruszył ramionami.

— Lecz jakaż przyczyna tej srogości cesarza względem własnej małżonki? — zapytał Grzegorz.

— Dziwy prawiał! — począł ksiądz — właśnie od zamku idę. Tam głośno dowodzą, że Barbara zdradę knuła, rachując na śmierć męża, przeciwko własnej córce.

Miała jakoby znowę z królową polską, za której syna wydać się postanowiła i z nim nad Czechami i Węgrami panować

Grzegorz usłyszawszy, o nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia.

Ojczy mój! — zawolał — potwarz to być musi. Cesarzowa babką-by młodego króla polskiego być mogła.

Liczy on lat zaledwie czternaście, gdy ona bodaj przeszło pół wiekul Potworne małżeństwo takie.

Ksiądz nie dał mu dokończyć.

— I takie potworne dla żądy panowania się składają małżeństwa — odparł. — Ale Bóg sam nie dopuścił, aby się to dokonało!

Grzegorz stał struchlały, zmieszany, upokorzony, pytając się w duszy, czy mogło to być aby on za

narzędzie do takiego knowania miał być użytym. Nie chciał wierzyć słowom księdza i wzdygał się.

— Ojcie mój — rzekł po namyśle. — Nieprzyjaciele cesarzowej mogli na nią rzucić potwarz, wierzyć temu trudno. Matka spiskująca przeciwko własnej córce, kobieta w jej wieku chcąca się wydać za wyrostka, który dzieckiem jest jeszcze prawie!

Ksiądz popatrzył na mówiącego ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Cóż — rzekł cicho — co się na świecie nie dzieje dla zaspokojenia namiętności ludzi zepsutych! Są niewiasty święte i anielskie, ale gdy złe są, przechodzą w złości mężczyznę, w zuchwalstwie i bezwstydzie szatana.

Grzegorz zamilkł. Nawykły do szanowania królowej swej, której służył, nie chciał jeszcze przypuścić, aby ona do tak poczwarnych planów miała rękę podawać i własnego syna im poświęcić. Lecz poselstwo jego potajemnie i to co się cesarzowej Barbarze przygodziło, zruszało w smutną tę rzeczywistość uwierzyć.

Ksiądz miejscowy, który miał tu znajomych wielu, dopytywał na wszystkie strony i zewsząd mu toż samo powtarzano, że istotnie cesarzową Barbarę z rozkazu męża w wieży zamknięto, kilka sług załedwie zostawując przy niej. Ze znaczniejszych osób, mianowicie Czechów, którzy jej towarzyszyli, kilku też czy kilkunastu uwięzionych być miało. Grzegorz domyślał się, że ten los mógł i czynnego spotkać Biedrzyka. Nie było więc na co oczekiwać i ratować się musiał sam, myśląc o sobie.

Ksiądz, z którym rozmawiał, widząc na nim suknię duchowną, a z zawiązanej rozmowy przekonawszy się, iż katolikiem był, jako podróżnego zaprosił go do siebie, ofiarując mu gospodę.

Grzegorz nie przyznając się, iż do Polski chce powracać, musiał powiedzieć, że na Śląsko jedzie.

Poszli tedy razem do bardzo nbożuchnego schronienia. które ostatni tu duchowny, katolicki zajmował. Skarżył się on na srogość i prześladowania husytów i na opłakany stan kraju, ale znosił swe męczeństwo cierpliwie, spodziewając się, że Bóg nareszcie nad nieszczęśliwymi ulituje się Czechami.

Przyjęcie było tak skromne, jak gospodarz i jego chata. Grzegorz odetchnął, sądząc, że tu będzie mógł bezpiecznie pozostać. Uchodźcie nocą, ani nawet nazajutrz rano nie zdawało się dobrem, bo miano baczość na tych, co cesarzowej towarzyszyli, a ktoś z orszaku Zygmunta poznać go mógł i wskazać.

Pomimo spóźnionej pory, rozmowa przy kaganuku i piwie ciągnęła się jeszcze, gdy zastukano do drzwi i dworzanin cesarski, którego łatwo było można poznać po stroju wszedł do izby.

— Pan nasz Zygmunt dogorywa — zawołał — nocy tej pewnie nie przeżyje. Co jest duchownych zbiera się około konającego dla czytania modlitw i oddania mu ostatniej posługi... Idźcie i wy... Wdziecie szaty obrzędowe. Cesarz chce aby jak najwięcej osób przytomnych było ostatnim jego godzinom.

Tu przybyły zwrócił się do siedzącego Grzegorza z Sonka.

— Z sukni widzę, że i wy jesteście duchownym.

— Tak, alem obcy tu, podróżny.

— Katolik wśród katolików nigdzie obcym nie jest, macie obowiązek i wy oddać ostatnią posługę chrześcijańskiemu cesarzowi i królowi rzymskiemu.

— Sukni nie mam — odparł Grzegorz.

— Te się u miejscowego księdza znajdą — nalegał dworzanin. — Mam polecenie wszystkich księży na zamek prowadzić. Pójdziecie z nami.

Zaskoczony w ten sposób Grzegorz, chociaż miał wielką obawę, aby go nie poznano, opierać się nie śmiał, nie chcąc podać w podejrzenie.

Ksiądz też dawał mu znaki i upewniał, albowiem komżę lub kapę, znajdzie dla niego. Dworzanin naglił. Musieli się co najprędzej przyodziać i iść z nim do zamku.

Noc tymczasem nadeszła była.

Na szarem tle jesiennego nieba, czarny zamek z oknami gorejącemi światłem, zdawał już jakby katarfalk olbrzymi wyglądał. Bramy, podwórza, sienie, wszystko pełne były ludu, rycerstwa, dworzan, czeladzi, zbrojnych straży, wozów i koni.

Dworzanin cesarski, który prowadził księdza i Grzegorza z Sanoka, zrobił im przejście i wwiódł naprzód do wielkiej sieni, której drzwi na oścież otwarte prowadziły do przestronnej izby sklepionej.

Widok majestatyczny a dziwny uderzył ich oczy.

Cesarz Zygmunt zaledwie przybywszy tu, a czując się słabszym coraz, zawołał lekarzy, surowo im nakazując powiedzieć jak mógł żyć długo. Spowiednik i oni nie ukrywali przed nim, iż nocy przeżyć nie miał.

Naówczas rozkazał cesarz odziać się tak, jak miał być do grobu ubranym. Włożono mu cesarsko-kapłańskie szaty, koronę na głowę, dano berło w ręce i jabłko, okryto płaszczem i posadzono na tronie w sali.

Chciał konać w obec ludzi, dla okazania męztwa. Na koronie zielony wieniec kazał pomieścić.

Ale jabłko i berło już dla rąk jego osłabłych były za ciężkie, ustawiono je tak, aby ich trzymać nie potrzebował. Pod ciężarem korony ugięła się głowa, lecz tej zdjąć sobie nie pozwolił.

Przy świetle pochodni, które trzymali stojący komornicy, widać było już trupią bladością okrywa-

jącą się twarz, wśród której oczy jeszcze niekiedy z pod ciężko podnoszących się powiek błyskały.

Żył jeszcze. Lekkie drganie głowy, nieznaczne poruszenie szat i okryć, które nogi ostanialy, zdradzało razem cierpienie i życie.

Jak gdyby w ostatniej godzinie tej, obrazy życia całego przechodziły przed nim i potraçały go wspomnieniami, widać było poruszającą się brodę, zaciskające usta, marszczące czoło?

Kancelarz Szlik, zięć Albrecht stali tuż przy nim, córka Elża u nóg płacząc klęczała, w rękach załamanych trzymająca różaniec. Duchowieństwo ustawione blisko, cicho odmawiało modlitwy, spoglądając na konającego Zygmunta. niewzruszonego, dumnego, spokojnie walczącego ze śmiercią.

Cisza panowała ugniatająca w sali, której powietrzem ciężko było oddychać. Woń woskowych pochodni, lekarstw, któremi Zygmunta pojono, kadzidel i tylu zebranych ludzi wyziewy, czyniło je nieznośnem.

Z rozkazu cesarza wpuszczono na salę z kolei cisnących się ciekawych ludzi, chciał być widzianym.

— Niech wiedzą jak cesarz umiera! — szepnął Szlikowi.

Obumierający wzrok jego niekiedy padał na klęczącą córkę, na blisko stojącego zięcia, któremu państwo po sobie przekazywał, na wiernego Szlika, a potem zamykały się powieki, aby oczy wewnątrz duszy patrzyały.

Lekarz stojący obok dostrzegł naostatku, że walka ostatnia się rozpoczynała. Oddech stawał się coraz pośpieszniejszym i trudniejszym, pierś podnosiła się gwałtowniej, ręce konwulsyjnie drgały, otwarty się usta. Zdawało się, że śmierć zwycięży i wyrwie okrzyk bóleści. Wtem Zygmunt zacisnął usta, głowa wyprostowana dotąd poczęła się chylić na piersi i z czoła spadła korona potoczyła się na nogi.

Cesarz nie żył.

Duchowni nklękli, pierwszą za duszę uleciałą odmawiając modlitwę.

Elża u stóp klęcząca krzyknęła i odniesiono ją na pół zemdloną.

Szlig i Orszak bojąc się, aby ciało martwe nie zsunęło się z tronu, przytrzymali je z obu stron, póki by nie ostygło, a Albrecht podniesioną koronę włożył na skronie.

Ale na niej lanrowego wieńca nie było i potomność przywrócić go nie miała.

Śmierć cesarza dozwoliła Grzegorzowi z Sanoka trochę wolniej odetchnąć. Wszysey nadto nią byli zajęci, aby się zaprzętać sprawą cesarską. Zatrzymano ją wprawdzie w więzieniu, bo taka była wola umierającego, ale nikogo nie prześladowano i nie ścigano hr. Cillich.

Albrecht nadto miał w tej chwili do ezynienia w Węgrzech i Czechach, aby się znucał nad kimkolwiek i nowych sobie nieprzyjaciół przyczyniać.

Nazajutrz postanowił mistrz nasz pusić się w drogę do Krakowa. Biedrzyka ani mógł szukać, ani on mu się nastęczył. Sam więc jeden, rozpytawszy o gościńce, ufając sukni duchownej, która go mogła obronić od napaści, jeżeli by husytów i włóczęgów nie spotkał, wyjechał Grzegorz z Sanoka przejęty tem co widział i co wiódł królowej Sonce.

Poselstwo jego poszło najnieszczęśliwiej i w Krakowie nie spodziewał się dobrego przyjęcia, ale winy w tem jego nie było.

Małymi dniami ostrożnie się przebijając od miasteczka do miasteczka, odpoczywając po katolickich probostwach, znużony i wycieńczony tą podróżą, zbliżył się wreszcie Grzegorz do Krakowa.

Im więcej rozmyślał nad tem, co go spotkało, co słyszał i czego się mógł dorozumiewać, tem smutniejszy powracał do królowej. Odkrył w niej to, szego

nie przewidywał, niezmierną żądzę zdobywania dla dzieci ziem i państw, żądzę, której oni paść mogli ofiarą. Żał mu było Władysława, który już sam rycerskie miał popędy i wyobraźnię gorącą. Dusza jego przeżuwała zawody i koniec smutny.

Lecz mógłże on co przeciw wszystkim i przeciwko samemu charakterowi młodzieńca, którego od dziecka marzeniami bohaterstwa karmiono?

Pod Krakowem już spotkawszy znajomych dworzan panów z Tęczyńszczyzny, przekonał się z rozmowy z niemi, że wiadomość o śmierci cesarza i uwięzieniu Barbary, jeszcze tu nie doszła. On więc pierwszy miał być zwiastunem tych wypadków.

Na zamku przywitano go zdziwieniem, tak on i koń jawnie świadczyli, że tajemnicza podróż poszła niepomyślnie. Już powrót bez sług i towarzysza, złym była znakiem, a twarz Grzegorza z Sannoka nosiła na sobie ślady przetrwanych niewczasów i troski.

Zaledwie przebrawszy się mistrz kazał o sobie oznajmić królowej, która go natychmiast powołała do siebie,

Niecierpliwa wyszła naprzeciw niego, aż do progu, mierzając ciekawemi oczyma.

Zmęczona twarz i smętne wejrzenie posła mówiły za niego.

— Co mi przynosisz? — zawołała natęczywie — w dwu słowach mów! Gdzie Biedrzyk? Co cię stało?

— Miłościwa pani — rzekł ponuro Grzegorz — nie mam szczęścia i złym jestem posłem, ale nie własną winę, zrzędzeniem Opatrzności.

Zastałem cesarza już prawie konającym. Z Pragi kazał się nieść do Znaïma. Cesarzowa była przy nim. Przed samym zgonem z jego woli uwięziono cesarzową Barbarę.

Sonka wydała krzyk rozpaczliwy i ręce załamała.

— Cesarz umarł! zawołała.

— Przekazawszy państwo Albrechtowi i córce—
dodał Grzegorz.

Chwilę stała królowa osłupiona, nie mogąc się
jeszcze pogodzić z tem: co słyszała, nie wierząc
uszu własnym.

— Cesarzowa! Cesarzowa uwięziona—przerwa-
ła — i nikt nie stanął w jej obronie! Gdzie byli
Czechy! Gdzie się podzieli brat i jej synowiec?
Czy i oni uwięzieni?

— Uszli oba — rzekł Grzegorz spokojnie i po-
ważnie. — Zdaje się, że cesarz dla tego z Pragi wy-
jechał już niemal konający, aby uniknąć Czechów,
sprzyjających cesarzowej Barbarze.

— Wszystko! wszystko przepadło — zawołała
patrząc w ziemię z wyrazem bólu i rozpaczony królo-
wa! — Wszystko przepadło, co memu pierworodnemu
wielką zapewniało przyszłość.

Grzegorz wejrzeniem pełnem wyrzutów odpo-
wiedział tylko, a po chwili milczenia odezwał się
odważnie.

— Miłościwa pani, Bogu dziękować należy, iż
pana naszego obronił od sromotnego małżeństwa
i losu, który go czekał z tą niewiastą!

Stało się wedle miłosierdzia Opatrzności.

Złożył ręce nie kończąc... Królowa spojrzała
gniewnie.

— Tak, stało się — odparła, odwracając się od nie-
go — lecz... bądź co bądź, jedną z tych koron posię-
dził. Przepowiednie się spełnią...

I zimna na pozór, ale wzburzona i gniewna,
kazała sobie ze szczegółami opowiadać wszystko, co
Grzegorza spotkało w podróży.

Twarz jej mieniła się, usta ściągały, ręce szar-
pały suknię, gniew zdawał się co chwila wybuchać
i stłumiony krył się we wnętrzu.

Z ironicznym uśmiechem, gdy skończył opowiadanie mistrz Grzegorz, odprawiła go skinieniem głowy dumnem.

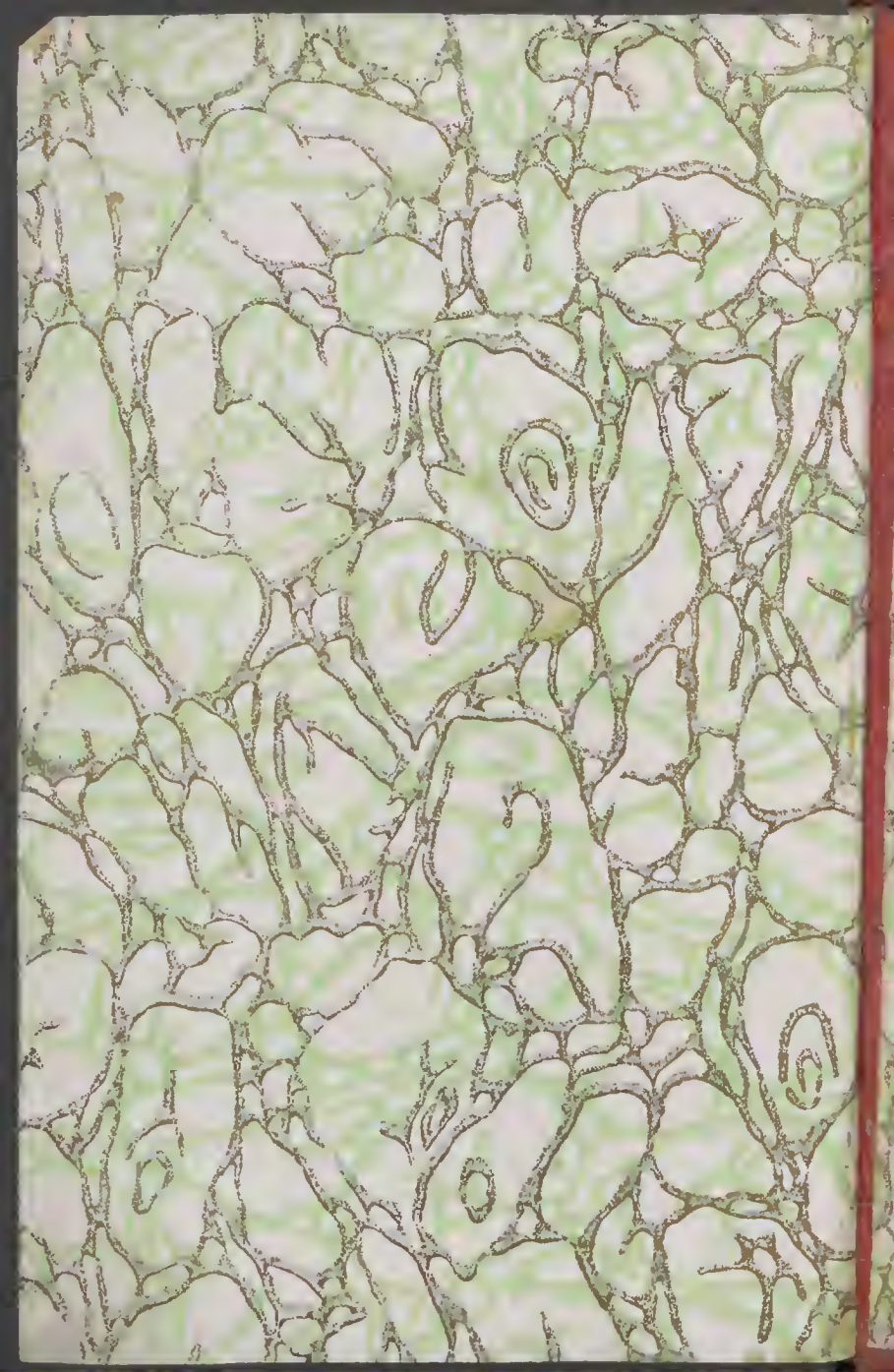
— Na nowo więc rozpocząć potrzeba! — zamruczała. — Władysław młody, czas mamy.

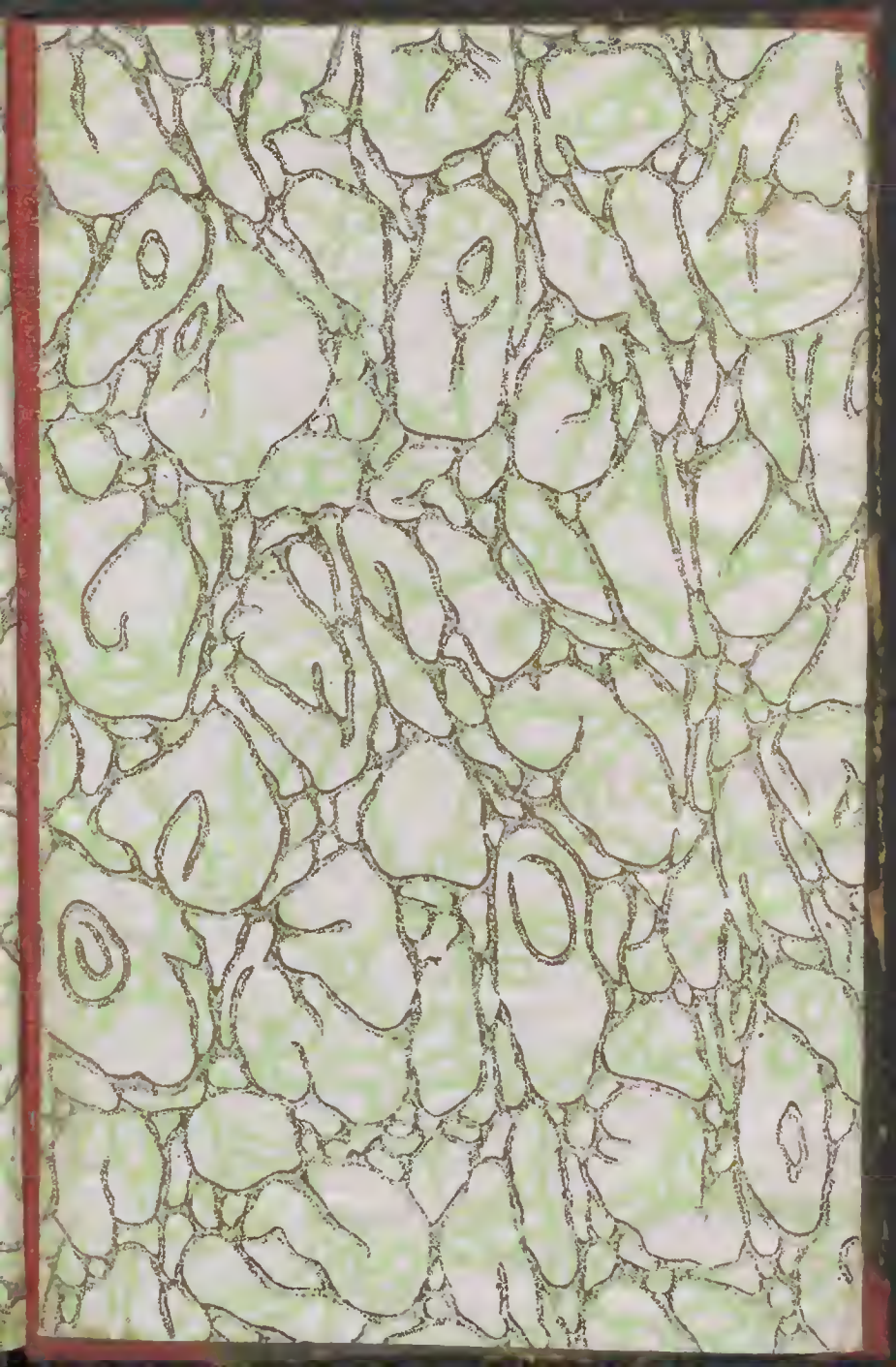
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



MANITOWISH 2 11

20





Biblioteka Raczyńskich

JK 1408



JK1408